

DUŠAN FABIÁN

RYTUAŁ

TOM 1

Przekład: Alina Kalandyk



GW

Notka od wydawcy:

Nazwy niektórych miejsc oraz imiona niektórych bohaterów zostały zmienione. Wszelka zbieżność jest przypadkowa. Stało się tak na życzenie Stowarzyszenia Wtajemniczonych oraz pana Imricha B., którzy od tego uzależnili swą zgodę na wydanie niniejszej książki. Sami zrozumiecie dlaczego...

PROLOG

STAŁO SIĘ NA POCZĄTKU

Znów cienie nocy wyszły z ukrycia.
Gdy są spragnione, zbliża się koniec,
w ich zimnych oczach czai się żądza krwi.
Przyszły, by odebrać nam dusze.

Robert Westerholt
(Within Temptation „Gatekeeper”)

Nadszedł czas, by zdobyć
to, co kiedyś należało do nas.
Przez okno czasu
odbierzemy nasz świat.

Peter Tagtgren
(Hypocrisy „Through The Window Of Time”)



Przez całą drogę do Augsburga padało. Wolf długo był w trasie. Przejechał kawał Europy, ale powoli zbliżał się już do miejsca, w którym miał oddać przesyłkę. I wcale nie był z tego zadowolony. Gęsty deszcz nie dodawał mu humoru. Nie ucieszyło go nawet, że autostrady wreszcie zaczęły wyglądać jak prawdziwe autostrady. Siedział zachmurzony za kierownicą ciężarówki i ze skupieniem patrzył to na mapę, to w roztaczającą się dookoła ciemność, którą rzadko kiedy przecinały światła jadących z naprzeciwka samochodów.

Południowe Niemcy spały głęboko.

Nie po raz pierwszy Wolf przemierzał tę trasę na spotkanie z klientem. Aż do Senden umiał trafić z pamięci. Ale w pajęczynie bocznych dróg, które zostawił za sobą, wijących się przez dziesiątki kilometrów niczym węże między gospodarstwami farmerów, jak zwykle omal się nie zgubił. Zawsze czuł ulgę, gdy w świetle reflektorów w końcu dostrzegał wysoką żelazną bramę z drutem kolczastym. I wtedy na chwilę zniknęło uczucie niesmaku wywołane mającym nadejść spotkaniem.

Dzisiaj jednak prawie przegapił bramę z powodu trwającego wiele godzin oberwania chmury. Na przedniej szybie samochodu utworzyła się nieprzejrzysta wodna zasłona. Z całą pewnością to nie był dobry znak.

Wolf skręcił, delikatnie wcisnął hamulec i bezpiecznie zatrzymał ciężarówkę.

Nie zatrąbił i nie wysiadł z kabiny. Znał instrukcje. Wystarczyło bezmyślnie obserwować ciężkie krople opadające na maskę i posłusznie czekać, dopóki nie obudzą się kamery przymocowane do betonowych słupów. Dokładnie obejrzą go w ultrafioletowym świetle i ktoś kompetentny zadecyduje, że elektroniczne obwody mogą wpuścić ciężarówkę do środka.

I jak zwykle brama się otworzyła.

Wolf wrzucił bieg. Pozwolił, aby wóz powoli toczył się po wysypanej żwirem drodze, a potem długą, wysadzaną drzewami aleją. Na końcu wolno zjechał ze wzgórza i zatrzymał ciężarówkę na szerokim parkingu przed luksusową piętrową willą. Zanim wysiadł, odłożył do

przegródki swoją broń z dokładnie startym numerem seryjnym. Ze schowka pod siedzeniem, w którym zwykle przemycał alkohol i papierosy, wyciągnął zapieczętowaną paczkę. Schował ją pod płaszcz, żeby nie zmokła na deszczu, i truchtem pobiegł w stronę domu. Zostawił włączone światła i silnik. Zamierzał zabawić w tym miejscu jak najkrócej.

Przy wejściu do willi przywitała go ochrona.

Dwaj wysocy mężczyźni wyglądali jak przeciętni przedstawiciele swojego gatunku. Wolfowi wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że należą do tej samej rasy co on. Oni też nie mieli problemu z określeniem jego pochodzenia. Ze złośliwym uśmiechem dali mu znak, aby podniósł ręce. Zrobił, co chcieli. Nie potrafił zrozumieć, jak istoty tej samej krwi mogą zniżyć się do takiej roboty. To prawda, czasy są podłe, ale istnieje godność i pewne granice. Z pogardą na twarzy, ale nie rzucając żadnej prowokacyjnej uwagi, pozwolił się przeszukać. Po tym nieprzyjemnym rytuale w końcu wszedł do środka.

Długa sień zaprowadziła go do holu. Stamtąd został odesłany na piętro do pracowni właściciela. Gdy szedł po schodach, nieustannie obserwowały go oczy uzbrojonych strażników i ruchome kamery. To tylko pogłębiało nieprzyjemne uczucie w żołądku. Warknął w duchu i westchnął z rozpaczą. Posiadanie materialnego ciała ma swoje plusy, ale za starych czasów soczewki kamer wcale by go nie zdenerwowały. Właściwie nie powinien był brać tej roboty. To był błąd.

Właściciel domu już na niego czekał. Siedział na masywnym starożytnym krześle. Obok znajdował się indyjski barowy stolik w kształcie słonia. Pan domu trzymał srebrny kielich napełniony alkoholem, którego drażniący słodki zapach wypełnił całe pomieszczenie. Na aksamitne domowe ubranie narzucił płaszcz, jakiego nie powstydziliby się nawet rosyjski car. Z rozkoszą smakował napój. Jedwabną chusteczką wycierał gęste krople, które od czasu do czasu grzęzły w jego koziej bródce lub kapały mu na palce.

Wolf kiwnięciem głowy pozdrowił gospodarza, stanął obok drzwi i wbił wzrok w pustkę nad ramieniem klienta. Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć ani w jego fałszywe, zmrużone oczy, ani w czarny jak węgiel otwór w czole, który ział na tle oliwkowej skóry niczym wejście do bezdennej przepaści.

- Witaj, Wolf - przywitał go głęboki, dudniący głos. Jak na obcokrajowca mężczyzna perfekcyjnie mówił po niemiecku. - Jak idą interesy, *mein Freund*?

- Standardowo. - Wolf zrobił krok w przód i podał mu paczkę. Starł się odpowiedzieć obojętnym tonem, ale zadrżał mu głos.

Nie, nigdy nie bał się ludzi. Był przyzwyczajony, że to jego się bano, ale w obecności tego czarnoksiężnika zawsze dostawał gęsiej skórki.

Klient odłożył na bok srebrny kielich i oblizał się z rozkoszą, biorąc do rąk przesyłkę. Błysk w jego oczach nie zostawiał wątpliwości, że czekał na nią niecierpliwie.

- Wiesz, co to jest? - zapytał.

- Nie - szorstko odpowiedział Wolf, starając się, aby czarnoksiężnik usłyszał w jego głosie: „i wcale nie chcę”.

Właściciel domu tylko złośliwie się uśmiechnął.

- To są greckie i etruskie przekłady starych asyryjskich tekstów - powiedział, łamiąc pieczęć i odwijając papier. Wydobył gruby zeszyt w twardej oprawie. - Jedyne zachowane z serii dziewięciu zakazanych ksiąg magicznych. Bardzo ciekawa lektura.

Wolf spojrzał w okno.

- Twierdzi się - kontynuował klient - że pierwszą, początkową wersję napisał trzech mędrców krwią niewiniątek na żywcu zerwanej skórze z babilońskich kurw. Jakże to poetyckie! Niestety król Salomon kazał zniszczyć dzieło. Szkoda, prawda? - Czarnoksiężnik głośno się roześmiał, nagle otworzył książkę i z podnieceniem przejechał koniuszkami palców po prastarych literach. Potem znowu podniósł wzrok na doręczyciela.

- Umiesz w ogóle czytać, Wolf?

Chciał go sprowokować, to jasne. I udało mu się. Ciało Wolfa zdrząło niczym w gorączce. „Jasne, że umiem czytać, ty ciulu” - miał ochotę powiedzieć, ale opanował nerwy i dalej stał w bezruchu, nie mówiąc ani słowa.

Właściciel domu upił łyk z kielicha.

- *Gut*, Wolf. - Kiwnął głową. - Ostatnia przesyłka i jesteśmy kwita. Pan Sidonius czeka na nią. - Sięgnął do kieszeni i wręczył Wolfowi małą szkatułkę z kutego srebra. - Oddaj mu to w ramach podziękowania i serdecznie go pozdrów.

Dostawca wziął do lewej ręki szkatułkę i nie oglądając, wsadził ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- I żeby nie zabrzmiało to jak kondolencje. Postaraj się używać czasowników, *mein Freund*.

Wolf obojętnie kiwnął głową, co było zarazem zgodą oraz pożegnaniem. Szybko obrócił się na pięcie i pospieszył do wyjścia. Miał wrażenie, że zwymiotuje, zanim dotrze do drzwi. Ochroniarze odprowadzili go z szerokimi uśmiechami. Prawdopodobnie rozbawił ich wyraz jego spoconej twarzy. Zignorował to. Wybiegł na deszcz, zatrzasnął za sobą drzwi samochodu i gwałtownie obrócił ciężarówkę w stronę bramy. Uciec, jak najszybciej wydostać się z tej śmierdzącej, zawszonej dziury!

Gnał przed siebie z taką prędkością, że co chwila wpadał w poślizg, a żwir rozpryskiwał

się na wszystkie strony.

Poczucie niesmaku i gniewu na myśl o tym, jak żałośnie wypadł, wstrząsały nim jeszcze długo. Zostawił za sobą dwieście kilometrów trasy, na wschodzie zaczęło się rozwidniać, ale on myślał wciąż o tym samym. Naiwniak! Idiota! Udaje twardziela, a omal nie narobił w gacie. Po co brał się za coś, do czego nie ma jaj?

Deszcz powoli ustawał. Jakies sto metrów przed sobą Wolf zauważył na poboczu autostrady drobną osóbkę łapiącą stopa.

Trochę zwolnił i wyostrzył wzrok.

Blond włosy spięte w kok, wysokie czarne kozaki, przemoknięty płaszcz. Poczuł, jak zjeżyły mu się włosy na głowie, a przez kręgosłup i ramiona przebiegło podniecające mrowienie. Mózg błyskawicznie przeanalizował i ocenił sytuację.

Kobieta. Młoda, samotna autostopowiczka.

W jego oczach zapłonęła iskra. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu! To na pewno poprawi mu humor.

Wolf przyglądał swoje rudawe włosy, wyczarował przyjacielski uśmiech, włączył kierunkowskaz i skierował ciężarówkę na pobocze. Zanim wpuścił autostopowiczkę do środka, mimochodem schylił się za siedzenie i dla pewności sprawdził, czy ma przygotowane sznury i futerał ze skalpelami.

CZEŚĆ 1

DAWID

W twoim świecie noc nie jest straszna,
za to w moim świecie mrok
zmienia się w wizję piekła,
tego, co niepojęte i przerażające.

Anders Fridén
(In Flames „Colony”)

Jak to się mogło stać?
Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?
Słyszę głos, który mówi: „Jesteś wybranym!”.
Nie wybrałem życia ofiary,
nie wybrałem bólu,
nie chcę brać udziału w eksperymencie,
jedyne, czego pragnę, to opuszczenie piekła!

Peter Tägtgren
(Hypocrisy „Inquire Within”)



Elektroniczny pisk zakłócił ciszę zimnego wrześnieowego poranka. Szósta zero zero.

Automatycznym ruchem wysunąłem rękę spod poduszki i za drugim razem udało mi się wyłączyć dokuczliwy dźwięk budzika.

Znowu cisza. Rozkosz dla uszu. Ostrożnie otworzyłem oczy i przez chwilę bezmyślnie rozglądałem się dookoła. Jestem w domu. To jest moje łóżko, mój pokój, chociaż...

Niezdarnie uniosłem się na łokciach.

„To przez ten sen - uświadomiłem sobie. - Jakby się jeszcze nie skończył. Był taki rzeczywisty, psiakrew!”

Ledwie zamknąłem oczy, ponownie mnie pochłonał:

Przygnębiający półmrok. Korytarz. Trzynaścioro drzwi. Mosiężne klamki o dziwacznych kształtach. W tym starym domu czułem się jak obcy. Tymczasowa wizyta. Tymczasowy gość.

To był dom bez okien i drzwi wejściowych. Nie były potrzebne. Za murami roztaczała się pustka. Wszystko, co miało jakąś wartość, znajdowało się w środku. W jednym korytarzu i za drzwiami trzynastu magicznych komnat. Tak zadecydował właściciel.

Panowanie księcia Prospera było wolne od stereotypów nudy i zepsucia. Właściciela domu łączyło z księciem zamilowanie do osobliwych kolorów i kształtów.

Miałem klucze do dwunastu komnat. Widziałem przed sobą sześć par rozmieszczonych naprzeciw siebie drzwi. Każda z nich kryła dwa bliźniacze wnętrza będące kopiami niebieskiej, purpurowej, zielonej, pomarańczowej, białej i fioletowej sali Prospera. Wszystkie komnaty pokryto aksamitem i obwieszono gobelinami. Były w nich też ornamenty i ślepe szyby okienne w odpowiednim kolorze.

Do trzynastej komnaty nie miałem wstępu. Na podstawie tego, co już widziałem, mogłem jednak łatwo wyobrazić sobie jej wygląd. Prawdę powiedziawszy, nie myślałem o tym, żeby odkryć jej tajemnice. Byłem przychylnie widzianym gościem na dwunastu nigdy niekończących się przyjęciach, na których albo medytowałem, albo ucztowałem z pozostałymi

gośćmi. Świątowałem, piłem i jadłem, ile się dało, debatowałem z artystami, flirtowałem z tancerkami, słuchałem symfonii muzyków o dziwnym guście lub wierszy szalonych, a zarazem genialnych poetów.

Ale tajemnica jest niczym dokuczliwy robak zżerający ludzkie wnętrzości, a w chwilach zwątpienia potrafi łatwo zawładnąć całym człowiekiem. Przysięgam, że nigdy nie sięgnąłem po klamkę w kształcie czaszki do trzynastej komnaty - nawet tylko po to, żeby zaspokoić zwykłą ludzką ciekawość, sprawdzić, czy naprawdę jest zamknięta, jak się jednak mówi, okazja czyni złodzieja. Co się stało, już się nie odstanie.

Tej nocy właściciela nie było w domu. Właśnie szedłem korytarzem i rozmyślałem, co zrobić. Iść do fioletowej komnaty po lewej stronie i wziąć udział w odsłonięciu nowego obrazu Reana, czy trochę dalej na prawo do pomarańczowej i posłuchać wariacji Beethovena w wykonaniu nieznanego fińskiego wirtuoza gitary. Nagle zauważyłem, że drzwi do trzynastej komnaty są uchylone. Od razu zapomniałem o obydwu możliwościach. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem.

Zastanawiałem się, kto złamał zakaz Sinobrodego. Kto był na tyle odważny albo głupi, żeby wejść do środka? Jakiś nowy, lekkomyślny gość?

Za uchylonymi drzwiami panowała cisza. Tylko wahadło ściennego zegara monotonnie odmierzało nieubłagany czas. Zapragnąłem zobaczyć ten zegar. Na pewno wyglądał tak jak w opisie Edgara Allana Poeego - wysoki, ze szlachetnego hebanowego drewna, ze złotą tarczą i szklaną gablotą na gigantyczne wahadło. Ale wyobrażenie a rzeczywistość to dwie różne sprawy. Pomyślałem sobie, że tylko zajrzę. Tak, żeby nikomu nie przeszkadzać i niczego nie dotknąć. Uchyliłem drzwi nieco bardziej, abym mógł się precyzyjnie, i wszedłem do środka.

Tak jak oczekiwałem, trzynasta komnata była pokryta czarnym aksamitem, jednak w przeciwieństwie do pozostałych, bogato urządzonych sal - prawie pusta. Pośrodku stał tylko czarny skromny ołtarzyk, a na nim paliło się trzynaście szkarlatnoczerwonych świec. W dalszym ciągu słyszałem tykanie zegara, ale w pomieszczeniu żadnego nie dostrzegłem. To trochę mnie rozczarowało.

Nagle poczułem przeciąg. Podmuch powietrza przeleciał przez komnatę, a wszystkie płomienie wygięły się w jednym kierunku. Boże, tylko nie to! Zatrzasnąłem drzwi, zanim ogniste języczki zdążyły pozostawić po jednej stronie świec dowód mojej winy. Nie chciałem, by właściciel domu poznał, że ktoś był w środku. Płomienie zadrżały, większość z nich posłusznie się wyrównała, ale jeden po lewej stronie zgasł.

Po co, do diabła, w ogóle tu wlażłem?! Teraz, nie daj Boże, oberwę za jakiegoś durnia.

„W porządku - starałem się uspokoić. - Tylko nie trać głowy. Z powrotem zapalisz tę

świecę i znikniesz".

Powoli, nie wykonując żadnego szybkiego ruchu, podszedłem do ołtarza i przeszukałem swoje pożyczone, śmieszne ubranie. Żadnych zapalek, zapalniczki ani krzesiwa. Nie szkodzi. Operacja będzie Wymagała więcej ostrożności, ale wszystko da się naprawić. Chwyciłem świecę stojącą obok i spróbowałem przenieść płomień na tę, co zgasła. Trzęsy mi się ręce, a roztopiony воск prawie skapnął mi na nadgarstek. W końcu zdołałem ostrożnie przechylić płonąca świecę. Jednak ledwo dwa knoty zbliżyły się do siebie, zgasł ten zapalony. Świeca o mało nie wypadła mi z rąk.

„Uspokój się - powtarzałem sobie. - Nic się nie dzieje. To się zdarza".

Ostrożnie odstawiłem świecę na miejsce i drżącymi palcami sięgnąłem po następną. Gdy tylko ją przechyliłem, płomień momentalnie zgasł. Od razu również ten obok.

A potem znów do komnaty wtargnął niespodziewany przeciąg. Wszystkie ogniste języczki zatrzęsyły się i gasły jeden po drugim. Siódma świeca, ósma, dziewiąta, dziesiąta...

Próbowałem osłaniać je rękami, ale to nie pomagało. Gdy zgasła dwunasta świeca, drzwi za moimi plecami nagle otworzyły się na oścież. Podmuch powietrza szybko wygiął ostatni trzynasty płomień, który zadrżał z rozpaczą i walczył ostatkiem sił.

Odwróciłem się, zasłaniając go własnym ciałem, a wtedy w drzwiach zobaczyłem postać właściciela domu. Była ciemna i straszna. Z oczu bił gniew, a z gardła wydobywało się wściekle charczenie. Nigdy przedtem nie widziałem go w takim stanie.

Podniosłem rękę w obronnym geście i skurczyłem się w oczekiwaniu straszliwej kary. Właściciel zrobił krok do przodu i...

...uratował mnie budzik - surowy odgłos rzeczywistości.

Potrząsnąłem głową, wyrzucając z niej resztki nieprzyjemnego snu i o wiele łaskawiej spojrzałem na niewinny plastikowy przedmiot. Szósta dziesięć.

Czas ruszył do przodu, a przede mną był nowy tydzień. „Kolejny wypełniony pracą" - westchnąłem w duchu. Tydzień, który zaczął się budzącym dreszcze nocnym koszmarem. Pięknie dziękuję!

Sen dawno minął, ale pozostało nieprzyjemne uczucie. Poszedłem do łazienki, starając się myśleć o czymś innym.

Odkręciłem wodę i spojrzałem w lustro. Czy wszyscy mężczyźni w poniedziałek rano wyglądają tak strasznie, czy tylko mnie się to przytrafia? Cienie pod oczami, rozczochrane jasne włosy, trzydniowy zarost.

„No, nie jest aż tak źle - uśmiechnąłem się. - Dwie, trzy operacje plastyczne i będzie ze mnie Brad Pitt".

Wsadziłem ręce pod zimny strumień i ochlapałem wodą twarz. Nagle znowu zdrętwiałem. Czy to, co poczułem przed chwilą, to naprawdę był gorący wosk?

DZIEŃ PIERWSZY

PONIEDZIAŁEK 11.09

Nienawidzę poniedziałków, a ten był zupełnie do kitu.

Spóźniłem się na trolejbus. Środek lokomocji, którym w końcu dotarłem do pracy, był tak zapchany, że prawie nie dało się oddychać. Zaraz po przyjsciu ochrzanił mnie szef. Za spóźnienie, za to, że jestem nieogolony i że rano zdenerwowała go żona. Poza tym zachorował kolega i czekała mnie praca za dwóch.

Przez cały dzień siedziałem w gryzącym krawacie i z wymuszonym uśmiechem obsługiwałem idiotów, z których większość, mimo porozwieszanych wszędzie wzorów, nie była zdolna wypełnić rubryki z własnym adresem. I jakby naumyślnie w tym dniu było ich kilka razy więcej niż zazwyczaj. Wpłacali i wypłacali pieniądze, zakładali i likwidowali rachunki, karty kredytowe lub książeczki oszczędnościowe. Wszystko robili z rozdrażnionym wyrazem twarzy i w pośpiechu, jakby zbliżał się koniec świata.

Kolejki tego dnia ciągnęły się w nieskończoność i tak jak mogłem przewidzieć, nie dałem rady wyskoczyć na obiad. Od śmierci głodowej uratował mnie wyschnięty batonik mars, który podczas krótkiej przerwy znalazłem na dnie swojej półki. A po zamknięciu banku i tak musiałem zostać w pracy i prawie do zmroku wypełniać następne dokumenty. Kiedy wreszcie o wpół do siódmej wyszedłem ze sterylonego budynku ze słabą i nieodświeżającą klimatyzacją, nawet nie pomyślałem, żeby iść do domu. Miałem wdrapać się na szóste piętro do jeszcze okropniejszego lochu niż ten, który opuściłem? Spotkać na schodach gadatliwą dozorczynię i zaliczyć obowiązkową, mało interesującą rozmowę? Ugotować sobie trenczyńskie parówki, włączyć DVD i zasnąć przy kolejnej płytkiej hollywoodzkiej zbieraninie? W żadnym wypadku. Miałem ochotę porządnie się najeść i równie porządnie upić.

Niedaleko banku była restauracja i chociaż nie miała najtańszego menu, zdecydowałem, że po dzisiejszej harówce zasługuję na coś niestandardowego. Nawet nie pomyślałem o tym, aby się przebrać, tylko zdjąłem znenawidzony krawat, schowałem go do kieszeni, przebiegłem przez ulicę i z wyciągniętym portfelem wtargnąłem do środka.

Gdy spojrzałem na ceny ciepłych posiłków, przeszła mi ochota na rozrzutność. Oprócz tego kotlet wiedeński przypomniał mi o wczorajszej rozmowie telefonicznej z mamą. Toczyła się wokół jedzenia, smażenia, a głównie wokół tego, czy „tam w Koszycach” znalazłem już sobie odpowiedni obiekt płci żeńskiej, który zgodziłby się na urodzenie jej wnuków. No i pytała, kiedy razem z ojcem mogliby mnie „niespodziewanie odwiedzić”. Nie miałem

najmniejszej ochoty na ich wizytę.

Zamówiłem sobie kanapkę i kawę i w głębokiej depresji, marząc o miejscu, gdzie mają tani alkohol i szybką obsługę, błdziłem wzrokiem po snobistycznej restauracji.

Była prawie pusta. Na sali oprócz mnie siedziała tylko para podstarzałych, dobrze trzymających się emerytów i piękna dziewczyna w białym kostiumie stukająca w laptopa.

Ciekawe, jakby zareagowała, gdybym przedstawił jej pomysł mojej mamy dotyczący wnuków?

Wyglądała naprawdę zachwycająco. Niezbyt wysoka, ale też nie niska, o prawie dziecięcej twarzy, a przy tym o krągłych kobiecych kształtach. Miała gęste kasztanowe włosy obcięte tuż przy ramionach. Przepięknie falowały i oślepiająco błyszczały w promieniach zachodzącego słońca świecącego przez szybę prosto na stolik, przy którym siedziała. Błyszczało na jej pierścionkach i złotym kolczyku, którym nieznamozna rozkosznie bawiła się od czasu do czasu. Jej oczy ozdobione czarnymi jak smoła rzęsami błyszczały pięknym opalizującym błękitem, a na zmysłowych ustach świecił malinowoczerwony, ale wciąż delikatny róż. Była to kobieta, której plakat świadomie powiesilibyście sobie w pokoju tylko po to, aby pastwić się nad większością waszych przyjaciół płci męskiej, którzy wpadliby do was z wizytą. A może i małej grupki płci żeńskiej.

Minęło dobrych dziesięć minut, gdy do restauracji wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Pewny siebie bysior w markowym beżowym płaszczu. Źródło siły tego osobnika z całą pewnością było spod jego lewej pachy. Obojętnie, co tam się znajdowało - telefon, wypchany portfel czy nabita spluwa - nie ma dnia, żeby nie trafić na podobnego typu.

Skierował się w moją stronę i poprosił o ogień.

Automatycznie podniosłem rękę do kieszeni na piersi, ale już w połowie drogi uświadomiłem sobie, że niczego nie znajduję. Ostatniego papierosa wypaliłem pięć lat temu. Uśmiechnąłem się tylko usprawiedliwiająco i pokręciłem głową. W tym samym momencie przyszło déjà vu i wczorajszy sen nagle zyskał na aktualności. Mężczyzna dostrzegł moje wahanie, a jego kurzy mózdzek ocenił to jako słabość. Ręką, w której trzymał niezapalonego treasurerera, oparł się o stolik, niczym żigolo pogładził tłuste ciemne włosy, zbliżył pysk do mojej twarzy i prowokacyjnie powiedział:

- Prawdziwy mężczyzna zawsze powinien mieć przy sobie ogień. Pamiętaj o tym na przyszłość.

Potem w pełnym pogardy uśmiechu wyszczerzył do mnie żółte zęby, wyprostował się i mrugnął do piękności w białym kostiumie. Podeszedł do baru, głośno powtarzając tam prośbę, z którą najpierw zwrócił się do mnie.

„Zwykły, zarozumiały debil” - powiedziałem sobie. Ale skojarzenie ze snem ciągle nie opuszczało moich myśli.

Poza tym z przykrością zarejestrowałem, że urocza dziewczyna chowa swój laptop, zapina żakiet i wstaje. Upiłem łyk gorącej kawy i z rozczarowaniem obserwowałem, jak jedyny jasny punkt tego dnia mija mój stół, a potem kieruje się prosto do wyjścia. Daremnie szukałem pretekstu, żeby się do niej odezwać: niczego nie wymyśliłem.

* * *

- Mogę się na chwilę przysiąść?

Jej pytanie zaparło mi dech w piersiach. Zatrzymała się tak niespodziewanie, jakby powodowana nagłym bodźcem.

- Oczywiście - przytaknąłem i szybko odstawiłem kawę na spodek, żeby nie widziała, jak z podniecenia trzęsą mi się ręce.

- Przepraszam pana, ale wydaje mi się pan znajomy - powiedziała z usprawiedliwiającym uśmiechem i usiadła obok mnie. - Nie chodzi pan do galerii? Mam wrażenie, że właśnie tam pana widziałam. - Gdzieś w tle jej słów niewyraźnie usłyszałem delikatny obcy akcent.

- Rzadko, ale chodzę - skłamałem, modulując głos, aby brzmiał bardziej męsko. - To możliwe.

- Nazywam się Tamara Bernáthowa. - Podała mi nad stołem rękę. - Pracuję jako dziennikarka, a w galerii robiłam parę drobnych reportaży. Niech się pan nie pyta dlaczego. Nie jestem znawcą sztuki. - Wyczarowała na ustach piękny uśmiech i tajemniczo spojrzała na mnie spod aksamitnych rzęs. - Pan jest...

- Dawid Abel. - Postarałem się przyjacielsko uśmiechnąć. - Prawdę powiedziawszy, ze mną jest podobnie. Na kulturalne imprezy chodzę tylko jeśli wyciągną mnie koledzy z pracy. A jedynymi dziełami sztuki, które kupuję, są gipsowe krasnale do ogródka mojego dziadka. Pracuję naprzeciwko w Banku Tatra.

Wiem, że to nic, co mogłoby zrobić wrażenie. Ale brzmiało lepiej niż suche: Dawid Abel, urzędnik bankowy.

Dziewczyna uśmiechnęła się z rozbawieniem i w zadumie zerknęła w stronę kontuaru, przy którym głośny klient i obsługujący go barman właśnie rechotali z jakiegoś taniego dowcipu.

- Mogę pani jakoś pomóc? - Chciałem z powrotem zwrócić na siebie jej uwagę.

- Wie pan... Właśnie chciałam pana poprosić... Zna się pan na samochodach?

Wzrok, jakim mnie obdarzyła, rozпалиłby nawet zmarzniętego polarnika.

- Tak - stwierdziłem pewnie i zaraz przypomniałem sobie wieloletnią skodę ojca, którą dwa razy tankowałem, a raz pomagałem zmienić w niej olej. - Jak najbardziej.

Gdybym powiedział „nie”, szybko zebrałaby manatki i podeszła do tego zarozumiałego imbecyla. Wątpię, czy kiedykolwiek dostałbym od niej jeszcze jedną szansę. W żadnym wypadku. Dlatego od czasu do czasu trzeba zaryzykować. Może w końcu los okaże mi litość albo stanie się jakiś cud?

- Mam problem z odpaleniem samochodu. Nie byłby to dla pana kłopot, gdyby pan na to zerknął?

- Żaden problem - odpowiedziałem, błyskawicznie dopiłem wciąż gorącą kawę i dałem znak, że możemy od razu iść.

- Jaki ma pani samochód? - zapytałem, przytrzymując jej otwarte drzwi wyjściowe.

- Saaba - odparła, a ja poczułem, jak żołądek podpływa mi do gardła. Na Boga, szwedzki wóz! Nawet nie wiem, gdzie ma silnik. To przedstawienie wymaga solidnej gry aktorskiej.

Moja twarz przybrała stanowczy wyraz ukrytego geniuszu w dziedzinie techniki. Poszedłem za pięknością w białych szatach za róg i skręciłem w wąską uliczkę schowaną między murami starych kamienic, gdzie zaparkowała swój samochód. Z moją wiedzą techniczną sam nie rozpoznałbym, czy to saab, czy nie saab, z pewnością był jednak ciemnoniebieski.

Tymczasem słońce dosięgło horyzontu, cienie wydłużyły się, a wszystko dookoła poczęła zalewać głęboka, uspokajająca szarość.

Gdy byliśmy już prawie przy aucie, a Tamara właśnie łąwiła w torebce swoje klucze, usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Dziewczyna obejrzała się pierwsza, a niepokój, który zobaczyłem na jej twarzy, zmusił mnie, żeby zrobić to samo.

Na końcu uliczki pojawił się mężczyzna w beżowym płaszczu i szedł prosto w naszą stronę.

Widziałem tylko jego postać - postawiony kołnierz, ręce w kieszeniach i odstające brzegi rozpiętej marynarki kołyszące się na wietrze. Szedł wolno, niby wyglądał na zamyślonego, ale jego milczenie i sposób, w jaki stawiał kroki, były bardziej niż niepokojące.

- Życzy pan sobie czegoś? - zapytałem, pilnując, żeby mój głos nie utracił swej siły. Tym razem nawet najmniejszego przejawu słabości!

Nie odpowiedział. Tylko zatrzymał się, zarechotał, stanął w rozkroku, wyciągnął ręce z kieszeni, otworzył pudełko zapalek i zapalił papierosa. Czerwony płomień jasno oświetlił jego twarz wykrzywioną w wyzywającym grymasie.

Dlaczego tacy idioci muszą szukać zwady właśnie wtedy, gdy mam wszystkiego powyżej uszu i ledwo się trzymam na nogach? Poczulem nieprzyjemny, ostry i drażniący zapach zapalanej zapalki. Przenikający smród siarki. Wydawało mi się, że wypełnił całą ulicę.

Wleciał mi aż do płuc i miałem wrażenie, że za chwilę dostanę zawrotów głowy.

Mężczyzna szybko potrząsnął płomieniem, a jego złośliwy uśmiech zniknął w ciemności. Jednak dziwnym zbiegiem okoliczności oczy tego typu nie zgasły. Świeciły w mroku niczym dwie halogenowe świetlówki i na chwilę omotały mnie swoją przenikliwą hipnotyzującą siłą. Nagle przede mną nie stał już prymitywny wulgarny typek z Koszyc, ale o dwie głowy większy potwór kłapiący ostrymi zębami i wymachujący pazurami. Strzygł długimi spiczastymi uszami i poruszał pokrytymi skórą skrzydłami koloru popiołu. Pod nimi to napinały się, to rozluźniały prawie ludzkie kości i żyłaste mięśnie o dziwacznej anatomii.

Choć kosztowało mnie to niewiarygodnie dużo wysiłku, musiałem potrząsnąć głową, żeby pozbyć się dziwnego wyobrażenia, ale osiągnąłem tylko efekt rozdwojonego obrazu. Przed oczami krążyły mi czarne plamy. Widziałem jedną rozmazaną sylwetkę pokrywającą inną, a potwór wyglądał tak samo nierzeczywiście, jak ten we wczorajszym śnie. Nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje, ale byłem porządnie wystraszony. Przewidzenia? Czy to z głodu? Boże, chyba tu nie zemdleję?!

Zebrałem w sobie wszystkie siły, wziąłem się w garść, wyszczerzyłem uzbrojone amalgamatowymi plombami zęby i z rycersko wypiętą piersią szybko wskoczyłem między napastnika a Tamarę. Na końcu języka miałem przygotowaną pikantną odpowiedź, ale w końcu nie zdołałem jej wypowiedzieć. W następnej chwili zarejestrowałem tylko, jak ręce mężczyzny-potwora błyskawicznie połączyły się ze sobą i wysunęły do przodu. Oślepił mnie błysk światła i ogłuszył potężny wybuch. Gdzieś przede mną wytrysnęła ogromna erupcja nieznannej siły, która najpierw wzbudziła silny podmuch mroźnego powietrza, a potem uniosła mnie lekko niczym piórko i tępym, zapierającym dech uderzeniem w klatkę piersiową odrzuciła w tył.

Zatrzymałem się na zderzaku samochodu Tamary. W całym moim ciele zaczął pulsować okrutny ból. Krzyknąłem i skuliłem się w kłębek. Na szczęście trwało to tylko chwilę. Kurcze szybko ustały i mogłem dotknąć zranionej potylicy. Krwawiła i - mógłbym przysiąc - pulsowała w dzikim, bolesnym rytmie.

Spróbowałem dostrzec, co się dzieje dookoła mnie. Nie byłem pewny, czy słyszę kolejne detonacje. W uszach ciągle dudniło mi echo pierwszego wybuchu. Nic nie widziałem, z wyjątkiem niekończącej się białej przestrzeni.

Wziąłem głęboki oddech. Blask przed moimi oczami zaczął blednąć, a razem z nim

powoli znikala świadomość.

* * *

Odzyskałem przytomność dopiero wtedy, gdy dwóch młodzieńców w lekarskich kitlach kładło mnie na nosze.

Przez chwilę byłem tak samo zdezorientowany jak rano, tuż po przebudzeniu. Ocknąłem się z omdlenia, ze snu, a może przechodzę z jednej rzeczywistości w drugą?

Podniosłem głowę i obojętnie spojrzałem na uliczkę. Kilka nieznanych twarzy i trzyosobowy lekarski personel. Nie było saaba, Tamary ani mężczyzny w beżowym płaszczu. Zamiast nich stała karetka pogotowia na sygnale, z włączonymi światłami oraz gromadka zaniepokojonych przechodniów. Nie, to na pewno nie był sen...

Co się, do diabła, w takim razie stało?! Próbowałem na szybko podsumować całą tę nieszczęsną sytuację, która doprowadziła mnie do spotkania ze zderzakiem samochodu owej piękności z restauracji. Ale spowodowało to tylko nowy ból głowy i parę kolejnych plam przed oczami. Na chwilę musiałem wyrzucić z mojego umysłu niepokojące pytania.

Dopiero w telepiącej się karetce, z maską tlenową na twarzy, zdołałem zregenerować siły i osiągnąć przynajmniej względny wewnętrzny spokój. Podróż trwała krótko. Na traumatologię dojechaliśmy szybciej niż w dziesięć minut. W końcu szpital stał tuż za rogiem, a o tej porze na ulicach nie było korków. Rozmyślałem, na jak długo mogłem stracić przytomność. Krew na potylicy powoli zasychała, więc... kwadransik? To zależy od tego, kto i kiedy zadzwonił po pogotowie. Znowu z niepokojem wróciłem do sceny na ulicy. Ale przed oczami mignęła mi niejasna mieszanina cieni, błysków i grzmotów. Gdzie się podziała uroczą dziennikarka i dziwny grubiański typ? Czego w ogóle chciał od nas ten prowokator?

Bąłem się o Tamarę.

Gdy wynosili mnie z karetki, próbowałem wyciągnąć jakieś informacje od lekarzy. Wszystkim, co umieli mi powiedzieć (oprócz ciągłego upominania, abym cicho leżał), było to, że do centrali zadzwoniła nieznana kobieta, zgłaszając znalezienie rannego mężczyzny, prawdopodobnie ofiary bójki lub napadu. Gdy dotarli na wskazaną ulicę, nie znaleźli przy mnie nikogo. Gapie zbiegli się dopiero później.

Do gabinetu lekarza dyżurnego trafiłem poza kolejką. Najpierw obejrzał, wyczyścił i opatrzył mi ranę na potylicy. Poprosiłem, żeby spojrzał również na moją klatkę piersiową, która już zaczynała się robić fioletowa, ale po szybkich oględzinach tylko machnął ręką. Według niego żebra były całe, a na smarowanie bolących miejsc zostało mi dużo czasu.

Rana na głowie też niby była powierzchowna, ale o wiele bardziej zmartwiła lekarza. Zbadał mi wszystkie możliwe odruchy i przez dobre dziesięć minut wypytywał, jak się czuję, jak się nazywam, gdzie pracuję, jak to się stało, czy znowu nie czuję się źle, czy nie mam zawrotów głowy, zaburzeń widzenia, mdłości...

Uświadomiłem sobie, że jak na to, co mnie spotkało, czuję się całkiem dobrze. Odpowiadałem jasno i zrozumiale i próbowałem przekonać o tym doktora. On jednak prawdopodobnie należał do tych bardziej odpowiedzialnych, bo chociaż przez cały czas uśmiechał się z zadowoleniem i przytakiwał, w końcu tak dla pewności posłał mnie na EEG.

Podczas czterdziestopięciominutowego czekania na personel obsługujący elektroencefalograf, prawie że oszalałem z nerwów. Wydawało mi się, że jestem w dobrej formie i gdyby nie czekał ze mną jeden z sanitariuszy, prawdopodobnie poszedłbym sobie ze szpitala.

Na szczęście przez parę minut zabawiał mnie funkcjonariusz policji, który przyszedł z pytaniem, czy jestem zdolny złożyć zeznanie. Oczywiście, że byłem!

Załatwiliśmy to od razu na korytarzu. Już wcześniej zdążyłem przypomnieć sobie najważniejsze szczegóły, więc nie tracąc czasu, wymieniłem wszystko, co zapamiętałem od wyjścia z pracy. Jak najdokładniej opisałem mu wygląd mężczyzny w beżowym płaszczu (oczywiście bez fantasmagoryjnych ubarwień, choć ciągle miałem je żywo przed oczami), a nasze spotkanie dla pewności uprościłem do zwykłej bójki. Ale przede wszystkim naciskałem, żeby dokładnie zapisał nazwisko Tamary. I żeby, jak tylko stwierdzi, czy wszystko z nią w porządku, natychmiast mnie o tym zawiadomił. Chociaż z twarzy policjanta nie sposób było odgadnąć, czy po zamknięciu notesu kiedykolwiek do niego zajrzy, poczułem ulgę, że część odpowiedzialności i obaw zrzuciłem na barki kogoś innego.

W końcu doczekałem się na badanie. Elektroencefalogram nie pokazał żadnych jednoznacznych uszkodzeń, ale - według słów lekarza - nie wyglądał idealnie. To trochę mnie wystraszyło. Czyżbym aż tak się pomylił? Według ostatecznego werdyktu dwuosobowego lekarskiego konsylium miałem zostać w szpitalu na obserwacji do jutra, a gdyby do dwudziestu czterech godzin wszystko się nie wyjaśniło, pójdę na CT. Rentgen pokaże więcej.

Zaraz potem sanitariusz zaprowadził mnie na oddział. Tam pielęgniarka dała mi piżamę, papucie, szlafrok i twarde łóżko w czteroosobowym pokoju, ale tylko z jednym współlokatorem. Biedak bardzo się ucieszył z mojego towarzystwa, ale mina mu zrzędła, kiedy dostał zakaz rozmawiania, ponieważ według słów siostrzyczki, zaleca mi się „maksymalny spokój i dobry sen”. Pracownicy służby zdrowia potrafią mówić o różnych rzeczach z taką powagą, że po chwili już nie wiedziałem, czy naprawdę ogarniają mnie

mdłości, czy tylko wmawiam sobie, że jestem w ciężkim stanie. Wykład o regułach używania przycisku służącego do zaalarmowania personelu też nie dodał mi pewności siebie.

Gdy pielęgniarka odeszła, zapoznałem się ze współlokatorem, przestrzegając w ten sposób zasad dobrego wychowania. Potem zupełnie wyczerpany i głodny opadłem na brzuch, zanurzając się w sterylnych pierzynach. A na myśl o niezbyt kuszącym, ale kalorycznym szpitalnym śniadaniu, powoli zaczął ogarniać mnie sen. W innych salach gasły już światła.

Gdzieś na dnie świadomości ciągle męczyły mnie niepokojące pytania i straszliwy obraz mężczyzny-potwora zbliżającego się do mojego gardła. Zmęczenie szybko zmyło te wyobrażenia.

* * *

Stałem boso na zimnej wybrukowanej ulicy i drżałem z chłodu. Stałem pod dymiącą uliczną latarnią niczym na wyspie utkanej ze światła.

Cały staromiejski rynek był zanurzony w głębokiej ciemności, ale brak turystów, przenikający smród gnojówki i niezwykła cisza zamiast warczenia samochodów jednoznacznie podpowiedziały mi, że to nie jest Praga, jaką znam. Wprawdzie Orloj¹ był na swoim miejscu i jak zawsze powoli przygotowywał się do rozpoczęcia swojego powtarzanego od wieków przedstawienia.

W słabym świetle lampy ledwo rozpoznałem szczegóły tego prawie sześćsetletniego dzieła sztuki. Ale ani ciemność, ani chłód nie mogły przeszkodzić mi w podniesieniu wzroku i oczekiwaniu magicznego przeżycia.

Zegar wskazywał za minutę dwunasta, a w niezwyklej ciszy uświadomiłem sobie, że wyraźnie słyszę, jak tyka.

Tik-tak - biło serce stworzone ze sprężyn i kólek we wnętrzu urządzenia. Z fascynacją obserwowałem, jak wyimaginowana odliczająca sekundy wskazówka, którą tworzył wąski promień księżycy, wędruje do liczby dwanaście. Wydawało mi się, że za każdym razem, gdy dotykała rzymskiej cyfry, gdzieś z tyłu słyszałem dzwonek, jeden cichy półton z dwunastotonowej gamy. Od najniższego do najwyższego.

Dzyń, dzyń.

Po plecach mimowolnie przebiegły mi ciarki.

Obserwowałem, jak promień wędruje przez las ornamentów przedstawiających słońce,

¹ Orloj - praski zegar ratuszowy z 1410 r., jeden z najstarszych na świecie. Oprócz odmierzania godzin obrazuje ruch Słońca i Księżycy na tle zodiaku, a z wybiciem pełnej godziny wprawia w ruch alegoryczne figury.

księżyc, planety i znaki zodiaku. Strażnik czasu zatoczył koło ponad rozświetlonym impulsywnym Baranem, wytrwałym Bykiem, przystępnymi Bliźniętami, opiekuńczym Rakiem, biegnącym ze wszystkich sił Lwem, punktualną Panną, sprawiedliwą Wagą, fanatycznym Skorpionem, lubiącym rywalizować Strzelcem, konserwatywnym Koziorożcem, nieobliczalnym Wodnikiem i zgodnymi Rybami.

Ostatni dzwonek.

Dwunasta.

Mikromoment przerażającej ciszy brzmiącej w nieskończoność.

Aż się zdrygnąłem.

Wszechświat osiągnął równowagę. Nieubłagany czas przypomniał o sobie.

Cykl zaczynał się od początku i aby to uczcić, Orloj rozpoczął swe średniowieczne, drewniane panoptikum.

Zaczął dzwonić kościotrup, otworzyły się drzwiczki nad zegarem i - by pokłonić się samotnemu widzowi - wyszli sami apostołowie: Piotr, Maciej, Jan, Andrzej, Filip, Jakub, Paweł, Szymon, Tadeusz, Bartłomiej i Barnaba. I niewierny Tomasz. Jak również miłosierny Jezus. Głosiciele wiary, którą prawie jedna trzecia świata przyjęła na całe dwa tysiące lat jako jedyną, absolutną i niepodważalną. Głosiciele cudownego objawienia z magicznym ziarnem prawdy na dnie. Co z tego, że wciąż tej samej prawdy, którą ludzkość poznała dawno temu? Od wieków wierzyliśmy, że oprócz tego brudnego, śmierdzącego, pełnego nienawiści świata jest coś jeszcze. A dla odmiany przyjemnie było posłuchać, że to coś jest piękne i dobre...

Dzwon żałobny umilkł, drzwiczki się zamknęły.

A potem znów się otworzyły.

W jednych ponownie stanął święty Piotr, w drugich ten, którego nie powinno być między apostołami - przeklęty Judasz. Nie byli już tylko figurkami, ale istotami z krwi i kości patrzącymi z powagą w moje oczy.

- W końcu przyszedłeś - przemówił Piotr. Z pokorą spuściłem głowę.

- Miasto niecierpliwie czekało na twoje przybycie. Spowija je dusząca chmura mnożących się przejawów bezbożności, wolnomyślicielstwa i grzechu. Potrzebuje odpoczynku. Musi w końcu się oczyścić.

Pod moje liche ubranie wtargnął mróz, musiałem mocniej przycisnąć je do ciała. Słuchałem w napięciu.

- Bądź dumny z tego, że zostałeś wybrany, nasz wyzwolicielu - kontynuował święty. - Pójdiesz od domu do domu i podzielisz się bożym darem, który został ci powierzony. Nie

zatrzymuj się i nie trać wiary. Pamiętaj, że pokora i oddanie zostaną wynagrodzone na końcu twojej drogi.

Słowa miały przerażającą siłę. Poczulem się zakłopotany.

- Nie rozumiem - wyszeptałem nieśmiało.

- Witaj w świecie doskonałych boskich planów! - powiedział sarkastycznie Judasz i złośliwie się uśmiechnął. - Nic nie musisz rozumieć. Wszyscy jesteśmy tylko pielgrzymami, wykonawcami Jego nieodgadnionej woli. Nie pytaj się i tyraj...

Patrzyłem na nich z całkowicie bezradnym wyrazem twarzy.

- Ciągle nie rozumiem. Co właściwie mam robić? Czym mam się podzielić? Jaki dar otrzymałem?

Judasz omal nie parsknął śmiechem.

- Kłątwe, przyjacielu, starą dobrą kłątwe...

DZIEŃ DRUGI WTOREK 12.09

Rano Tamara weszła do swojej kancelarii parę minut wcześniej niż zazwyczaj. Mechanicznie przywitała się z zawałonym papierami asystentem, zawiesiła na wieszaku przemoczony do suchej nitki płaszcz, usiadła za stołem, podłączyła laptop do sieci, położyła na klawiaturze palce i ze zmarszczonym czołem patrzyła na powoli ożywający ekran.

Spróbowała napisać jedno zdanie, ale mimo ogromnego wysiłku, by się skoncentrować, nie zdołała przełamać wewnętrznej blokady, która przeszkadzała jej w ubieraniu myśli w słowa.

Po niecałej minucie odwróciła głowę w stronę pokrytego kroplami deszczu okna i spoglądała na beznadziejną, dżdżystą scenerię za szybą. Nerwowo gryzła przy tym dolną wargę i stukwała tępym końcem ołówka w stół.

- Czy coś się stało? - siedzący naprzeciwko chłopak oderwał się na chwilę od własnej roboty, podniósł wzrok i włożył okulary z okrągłymi szklami.

- Wczoraj... - Tamara zaczerpnęła powietrza - spotkałam astrala.

- Zazwyczaj podobne rzeczy nie wyprowadzają cię z równowagi - uśmiechnął się asystent.

- Hmm - niepewnie skomentowała jego uwagę.

- Powiesz mi o tym coś więcej? Z wysiłkiem oderwała wzrok od okna i w zamyśleniu spoglądała na chłopaka.

- Przy kolacji kończyłam artykuł. Jak zwykle w restauracji przy Šturowej. Zazwyczaj nie ma tam ludzi, tak samo było wczoraj. Oprócz mnie siedziało tylko dwoje emerytów i mężczyzna z banku naprzeciwko. Dawid jakiś tam... Abel.

Na chwilę zamilkła i obrysowała ołówkiem mysz od komputera.

- Astral pojawił się chyba o osiemnastej piętnaście. Ledwo wszedł do środka, od razu go poznałam. Wiesz, że mam na nich nosa, obojętnie, czy przybierają postać ludzką, czy nie. Wyglądał jak typowy sycylijski mafiozo w beżowym prochowcu. Zachowywał się bezczelnie i pewnie. Naumyślnie zwracał na siebie uwagę. Zabawiał się z Dawidem i barmanem. Chciał być widoczny. Chciał, żeby wszyscy dookoła poczuli jego obecność. Normalne postępowanie. Przecież wiesz. Pomaga im to w odgadywaniu charakteru danej osoby i wyborze ofiary.

- Prawdopodobnie nie interesowali go emeryci - odgadł asystent. - Przyszedł po ciebie albo po tego... Dawida?

- Nie mam pojęcia. - Tamara wzruszyła ramionami. - Wydawało mi się, że wybrał

Dawida. Ale wiesz, jacy nieprzewidywalni są ci samotni łowcy. Może chodziło mu o coś innego, ale równie dobrze, koniec końców, mogło mu nie chodzić o nic. Tylko o zabawę. W każdym razie postanowiłam jak najszybciej stamtąd uciec. A dla pewności zabrałam ze sobą Dawida. To był najlepszy sposób, żeby sprawdzić, jakie zamiary ma żywiołak. Wzdychając, odłożyła ołówek i znów spojrzała przez okno.

- Miałam rację. Wybiegł za nami i zaatakował za pomocą magii.

- I? - niecierpliwie zapytał chłopak, jakby usłyszał tradycyjny scenariusz bez oczekiwanej zaskakującej puenty.

- Ten głupek, którego starałam się uratować, zrobił to, czego nie powinien! Mogłam załatwić to od ręki, ale Dawid mi przeszkodził. Głupek, bohater wypchany testosteronem! Nie miałam szansy temu zapobiec. Jest w szpitalu.

- Csy... - pokręcił głową asystent. Zamyślił się. - Wróćmy do początku. Istnieje możliwość, że to właśnie ty miałaś być ofiarą?

Tamara znowu tylko wzruszyła ramionami.

- Nie pierwszy raz.

Jej współpracownik skinął potakująco głową.

- Co to był za astral? - spytał.

- Demon ognia. Ifrit.

- Arabski dżin tutaj? - zdziwił się chłopak.

- Wszystko to jakoś dziwnie wygląda - stwierdziła Tamara, przygryzając ołówek.

- Ale z drugiej strony... - zaczął asystent po chwili namysłu - w mieście jest wielu Arabów. Co roku Bliski Wschód zbliża się coraz bardziej...

- Czy Stowarzyszenie ma jakieś problemy z Arabami?

- Z tego, co wiem, to nie.

- Dokładnie tak, nie ma - zachmurzyła się dziewczyna. - Ja osobiście też nie mam. Chociaż... Mimo to będzie trzeba im się przyjrzeć. Dla pewności...

- Zadbam o to. - I sprawdź Dawida. Może to on miał być ofiarą.

W dzisiejszych czasach ludzie zadają się z demonami i nawet o tym nie wiedzą. To wcale nie musiało być przypadkowe polowanie.

- Z tego, co mówiłaś, facet jest zielony.

- To było... - urwała Tamara, jakby uciekło jej odpowiednie słowo.

Chłopak spojrzał na nią pytająco, drapiąc się po brodzie.

- Pierwsze spotkanie z astralem to nic przyjemnego - przyznał. - Pamiętam swoje. I mówisz, że wplątała się w to magia. Jest jakieś ryzyko?

- Jak zawsze, niczego nie można wykluczyć.

- Powinnaś wpaść do niego - stwierdził stanowczo asystent, zdjął okulary i zaczął oglądać swoje papiery - przynajmniej dla własnego spokoju.

Dziewczyna pokręciła głową.

- To byłoby nierozważne, a poza tym zbyt szkodliwe. Już po wszystkim. Im szybciej przestanie rozmyślać o całej sprawie, tym lepiej dla niego. Nie ma sensu wciągać go w szczegóły, dopóki to naprawdę nie będzie konieczne. W każdym razie ifrit da mu spokój.

- Więc jednak zajęłaś się demonem? - Asystent uniósł brwi.

Tamara bez zbędnych słów przytaknęła i pełna samozaparcia wróciła do laptopa.

* * *

Szpitalne śniadanie smakowało gorzej niż wyglądało. Ale po wczorajszej głodówce pożarłem je w mgnieniu oka. Dojadłem również rogalik z kremem po współlokatorze, chociaż nie przepadam za słodyczami.

Wkrótce potem młoda szykowna siostrzyczka zmierzyła mi temperaturę i ciśnienie (człowiek nie uwierzyłby, jakie rzeczy mogą czasem sprawić mu przyjemność) i zaprowadziła mnie na EEG. Ponownie zbadali mi tam głowę i zmienili opatrunek. Co prawda nie wyspałem się najlepiej, ale odpowiadając na pytanie lekarza, pozwoliłem sobie ocenić swój stan zdrowia jako bardzo dobry. Po powrocie do sali wyżebrałem od siostry oddziałowej pozwolenie na rozmowę telefoniczną.

Zadzwoiłem do pracy - najpierw do sekretariatu, a potem do kolegi Maroša. Poprosiłem go, żeby jak najszybciej do mnie przyjechał. Pał sześć dezodorant, ale potrzebowałem chociaż szczoteczki do zębów i czystego ubrania na drogę do domu. Mój urzędniczy garnitur podczas wczorajszego wypadku porządnie ucierpiał i trzeba go będzie przywrócić do stanu używalności. Czyli czekał mnie wydatek na pralnię.

Tak jak obiecałem pielęgniarce, przed obchodem lekarskim z powrotem byłem w swoim łóżku.

Otoczyła mnie liczna grupa doktorów, studentów i siostr, którzy ze znudzonymi minami podróżowali po oddziale. Zajrzeli do mojej karty choroby.

„Abel Dawid, podejrzenie lekkiego wstrząsu mózgu. EEG polepsza się. Jeżeli po wieczornych badaniach zupełnie się znormalizuje, jutro pacjent zostanie wypisany do domu”...

Brzmiało to niczym ulotka. Ordynator zadał jeszcze dwa próbne pytania studentom, by

udowodnić, że o encefalogramach wie o wiele więcej, niż ktokolwiek w tym pomieszczeniu. Po chwili wszyscy wyszli.

Nie miałem nic lepszego do roboty, więc postanowiłem się zdrzemnąć. Zamknąłem oczy. Rozmyślałem o zaginionej Tamarze, przerażającym mężczyźnie w beżowym płaszczu i pracowitym policjancie, który przesłuchał mnie zaraz po rozpoczęciu nocnej zmiany. Potem odszedł nie wiadomo gdzie i na wszelki wypadek już się nie odezwał, a teraz pewnie tak samo jak ja pochrapuje sobie w błogim spokoju.

Deszcz monotonna uderzał o parapet i swoim melancholijnym szumem przypominał mi o kolejnych przygnębiających sprawach.

Coś się jednak zmieniło.

I coś dziwnego stało się również ze mną...

Zacząłem dociekać przyczyn swoich wczorajszych fantasmagorycznych przewidywań, uczucia nierzeczywistości i koszmarnych snów. Były przecież tak niepokojąco prawdziwe, że pamiętałem je w najdrobniejszych szczegółach. Nigdy przedtem nie przytrafiło mi się nic podobnego.

„Dobrze - na początek zacząłem układać sobie w głowie niezbite fakty - mamy dwunastego września. Marii. Dzień, w którym trzeba zadzwonić do babci i złożyć życzenia imieninowe. Ale sen pełen dwunastek?! Jakby nie było, dosyć dziwny sposób przypominania. Już iks razy zapomniałem o tym i nie miałem z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia”.

Musiałem naprawdę głęboko się zamyślić albo zasnąć, bo gdy otworzyłem oczy, przy łóżku współlokatora zobaczyłem trzy dyskutujące osoby w białych kitlach. Nie zarejestrowałem momentu, gdy weszły.

„Boże, następna wizyta!” - pomyślałem i z niesmakiem obróciłem się na drugi bok, udając, że ciągle śpię.

Kątem oka zauważyłem, że lekarze właśnie przesunęli się w moją stronę.

- A co z tym, panie Blud? - zapytała jakaś kobieta, zaglądając w papiery, które trzymała przed sobą. - Ma całkiem odpowiednią diagnozę. Trochę mu pomożemy i jest nasz. Pojutrze będziemy go mieć na psychiatrii.

- Obawiam się, że nic z tego, pani Harašilowa - odparł jej kolega. - Niech pani spojrzy na jego aurę.

Lekarka podniosła wzrok.

- Och, do diabła! Ten nie nadaje się do użytku. Jakie jest pańskie zdanie, panie Bies?

Najwyższy z nich pokręcił gładko ogoloną głową.

- Wielka szkoda - westchnęła pani Harašilowa - wygląda na młodego, sprawnego fizycznie. Mógłby nas długo żywić...

Nie wierzyłem własnym uszom. Co to za przedstawienie?

Mocniej zacisnąłem powieki i zwolniłem oddech. Tak, śpię i nic nie słyszę! Nie dam się złapać na jakiś głupi dowcip. Doktorzy jeszcze przez chwilę szeptali między sobą, ale dopóki nie ucichli, nie poruszyłem żadną częścią ciała.

Nie usłyszałem, jak wyszli, jednak gdy otworzyłem oczy, już ich nie było.

Zachmurzony usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po sali.

- Nie wie pan, kto to był? - spytałem współlokatora. Podniósł wzrok znad książki, a na jego twarzy dostrzegłem wyraz zdziwienia.

- Słucham?...

- Troje ludzi w białych kitlach przed chwilą... - zacząłem, lecz głos ugrzązł mi w gardle.

- Chyba coś się panu przyśniło - uśmiechnął się mój sąsiad z sali i bez najmniejszego zainteresowania wrócił do lektury.

Nic mi się nie przyśniło! A może i tak...

Znowu przez chwilę czułem, że balansuję na granicy dwu światów i sam już nie wiem, który gorszy.

* * *

Od czasu śniadania mój apetyt nie zmniejszył się ani trochę. Obiad połykałem z takim zapalem, że cały byłem umorusany jedzeniem. Do pochłonięcia kopiastej porcji haluszek z kapustą brakowało mi tylko paru kęsów, gdy siostrzyczka przyszła oznajmić, że mam gościa.

- Niech wejdzie - powiedziałem z pełnymi ustami. Byłem pewien, że to Maroš, któremu jakimś cudem udało się wyskoczyć z pracy. No i tym bardziej nie ma czasu stać na korytarzu, czekając, aż zjem.

Gdy zamiast mojego kolegi z banku w drzwiach pojawiła się Tamara, byłem tak zaskoczony, że zadławiłem się kluskami i w trakcie krótkiego ataku kaszlu oplułem sobie piżamę. Jaki wstyd! Psiakrew...

Dziewczyna jednak nie zauważyła mojego zakłopotania. Stała w drzwiach zdrętwiała jak słup soli, a jej szeroko otwarte oczy patrzyły prosto na moją głowę.

„Och, Boże!” - wyczytałem z niemego szeptu wydobywającego się z jej drżących ust. Mimowolnie dotknąłem turbanu z bandaży, który prawdopodobnie był przyczyną przestrawu Tamary.

- Jak się pan czuje? - zawołała bez przywitania.

- Dobrze - odparłem jak najuprzejmiej i uśmiechnąłem się. - Wszystko ze mną w porządku. - Próbowałem niezauważalnym ruchem wytrzeć piżamę serwetką. - Powierzchnowa rana. Może do wieczora zdejmą mi opatrunek.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła i z zatroskanym wyrazem twarzy pokręciła głową.

- Myślałem, że już nigdy w życiu pani nie zobaczę - wyznałem z zadowoleniem, odkładając na bok tacę.

- Przyszłam się usprawiedliwić - spuściła wzrok - za wczoraj. Nie powinnam była zostawiać pana samego... W tym stanie... Tak mi przykro.

- Wszystko dobrze się skończyło. Proszę nie robić sobie żadnych wyrzutów - zapewniałem ją. - Jak w ogóle mnie pani znalazła?

- Jestem dziennikarką, pamięta pan? - W jej oczach na chwilę zabłyśła figlarna iskierka, niestety zaraz zgasła. - Co mówią? Naprawdę wszystko z panem w porządku?

Dokładnie opisałem dziewczynie przebieg wczorajszych badań, podałem diagnozę i powtórzyłem pozytywne rokowania. Oczywiście wszystko w jak najlepszym świetle. Problemy z powodu snów i przywidzeń zostawiłem dla siebie.

- To dobrze. - Na pozór wydawało się, że powiedziała to z ulgą, ale w jej głosie było słychać obawę.

- Czy to pani zadzwoniła wczoraj na pogotowie? - spróbowałem skierować rozmowę w innym kierunku.

Przytaknęła.

- Wie pani - kontynuowałem - nie umiem uporządkować sobie wczorajszych wydarzeń. Może to przez uraz, a może to konsekwencja szoku. Nie mogłaby pani z własnego punktu widzenia opisać mi tego, co się stało?

Zawahała się przez chwilę.

- Co dokładnie chciałby pan ode mnie usłyszeć?

- Hm. Pamiętam, jak wyszliśmy z restauracji i podeszliśmy do pani samochodu. Potem na ulicy pojawił się ten mężczyzna w beżowym płaszczu, który wcześniej siedział przy barze. Podeszedł do nas i zapalił papierosa. To wszystko. Nic więcej nie umiem sobie przypomnieć...

Naturalnie, że to nie była prawda. Ciągle miałem przed oczami straszidło, w które zmienił się tamten facet. Świejące oczy, drżące nozdrza, rozpostarte skrzydła koloru popiołu. Nie zapomniałem nawet o eksplozji. Jednak wołałem przekonać się, jaka była prawdziwa wersja wydarzeń.

Znowu się zdenerwowała i odwróciła wzrok.

- Chyba panu za bardzo nie pomogę, panie Abel. Byłam odwrócona tyłem, otwierałam samochód. Chciałam panu zaproponować, żebyśmy odjechali, zanim coś się wydarzy. Ale wszystko stało się tak szybko... Dokładnie nie wiem, co właściwie. Usłyszałam odgłosy bójki: parę szturchnięć, uderzenie, krzyk. Kiedy się obejrzałam, pan już leżał przy tylnym zderzaku mojego wozu i trzymał się za głowę. Ten mężczyzna uciekł. To był moment. Zaczęłam za nim krzyczeć, ale nawet się nie obejrzał i zniknął za rogiem. Coś panu zabrał? Pokręciłem przecząco głową.

- Myślałam, że chciał pana okraść. Możliwe, że wystraszył go pański upadek i wołał uciec. - Wzruszyła ramionami. - Ja sama trzęsłam się ze strachu. Leżał pan nieprzytomny, a pomiędzy palców ciekła panu krew. Nie odważyłam się nawet pana dotknąć. Wsiadłam do samochodu, wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam po pogotowie.

Tamara zamilkła.

- A potem? - zapytałam delikatnie.

- Spanikowałam - szepnęła z miną winowajcy. - Jest mi bardzo przykro. Po prostu nie potrafiłam siedzieć beczynn timer i czekać. Samochód jakby naumyślnie od razu odpalił, a ja bez zastanowienia pojechałam do domu. Chwilę trwało, zanim uświadomiłam sobie, co robię, i mniej więcej w połowie drogi opamiętałam się i wróciłam na miejsce. Ale pana już nie było.

Bez słowa zacząłam bezmyślnie gapić się w ścianę naprzeciwko. Więc nie miała żadnych zwiódów podobnych do moich. Siedzę w tym sam...

Może na poważnie powinienem zastanowić się nad własnym zdrowiem psychicznym?

OK, na ulicy było ciemno. Zadziałała moja wyobraźnia. Zmęczony umysł mógł z cieni wytworzyć sobie nieistniejące kształty. Ale co z błyskiem, z wybuchem? To, co odrzuciło mnie w tył, to na pewno nie były czyjeś ręce. I dlaczego wszystko wydawało mi się tak bardzo realne?

„A może sprawy wyglądają inaczej - chwyciłem się ostatniej deski ratunku. - Może widziała to, co ja, i tak samo w to wątpi, nie chcąc dopuścić tego do świadomości. Dlaczego nie patrzy mi w oczy?! Czemu jej słowa brzmią tak przekonywująco, a jednak im nie wierzę?”

- Znał pan tego człowieka? - wyrwała mnie z zadumy.

- Nie - z zaskoczeniem pokręciłem głową - a pani?

- Widziałam go pierwszy raz w życiu - powiedziała. - No... może to było tylko wrażenie... wie pan... ale nie wyglądał mi na tutejszego. Powiedziałabym, że to taki ciemny typek. Bardziej wyglądał na... hm... na Araba. Nie miał pan jakichś problemów z Arabami? Mówi pan, że nie? Właśnie pomyślałam sobie... Może chciał pana nie tylko okraść, nawet jeżeli pan go nie zna?...

- Nie! - zaprzeczyłem stanowczo. Jej pytanie wydało mi się bardziej niż dziwne. Jeżeli prowadzi ze mną jakąś grę, to teraz się zdradziła! W jakim kierunku zmierzało to wypytywanie? Może i ten mężczyzna wyglądał na lekko opalonego Hiszpana albo Włocha, ale na pewno nie na Araba. Do tego mówił bez obcego akcentu. W odróżnieniu od niej...

- Nie ma się czego bać - celowo schowałem swoje podejrzenia za szerokim uśmiechem. - Nie mam żadnych wrogów w koszyckim półświatku, jeżeli o to pani chodzi. Wiodę zupełnie normalne życie i mam zawód z grupy niskiego ryzyka. Oczywiście nie licząc napadów na banki, ale do tej pory, dzięki Bogu, nie byłem ofiarą żadnego z nich.

Słowa gładko płynęły z moich ust zupełnie niekontrolowane. Tymczasem w głowie wirowała mi jedna myśl: „Czy tylko mi się zdaje, czy ta kobieta naprawdę zdradza o wiele mniej, niżby mogła?”.

Uśmiechnęła się z ulgą i odwróciła wzrok. Obserwowałem, jak sięga do łańcuszka na szyi i nerwowo zaplata go wokół palca. Jak od czasu do czasu przygryza dolną wargę i intensywnie o czymś myśli.

Uznałem, że jeśli odpowiednio poprowadzę rozmowę, może uda mi się zburzyć mur, który broni dostępu do tajemnicy...

- Przykro mi, muszę iść z powrotem do pracy. - Tamara nagle spojrzała na zegarek i szybko wstała. - Cieszę się, że wraca pan do zdrowia. Jeszcze raz chciałam przeprosić. - Zanurzyła rękę w torebce i wyciągnęła z niej wizytówkę. - Jeżeli coś by się zmieniło... stało... cokolwiek... albo jeżeli czegoś by pan potrzebował, proszę mi obiecać, że pan zadzwoni. Wstrząs mózgu to poważna sprawa. Proszę tego nie bagatelizować, dobrze?

Niczym kret, który przed chwilą wyjrzał ze swojego kopca, gapiłem się na numer telefonu najpiękniejszej kobiety, jaką w ciągu ostatnich miesięcy spotkałem. Najlepsze było to, że wcale o niego nie prosiłem. Wszystkie pochmurne myśli i wątpliwości zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

* * *

Okolo wpół do czwartej pojawił się Maroš. Prawdopodobnie szef miał wyrzuty sumienia z powodu wczorajszego dnia, więc puścił go z pracy wcześniej niż zwykle.

Dałem Marošowi klucze do mieszkania i szczegółowo wyjaśniłem, gdzie znajdzie spodnie, T-shirt, torbę podróżną i szczoteczkę do zębów. Wysypałem drobne z portfela, żeby po drodze kupić mi owoce i obojętnie jakie czasopismo na wieczór. Miałem wątpliwości, czy spośród kolegów wybrałem tego najodpowiedniejszego. Maroš był inteligentnym

człowiekiem, ale typem naukowca. Pracował z szybkością geologa i dokładnie jak meteorolog. A jeżeli cokolwiek doprowadził do końca, często miało to już archeologiczną wartość. Oby pojawił się z powrotem, zanim mnie wypiszą!

Zaraz po jego wyjściu zadzwoniłem do babci. Rozmowa ze szpitala nie jest najpiękniejszym prezentem imieninowym, ale udało mi się zbagatelizować całą sprawę. Co najważniejsze, babcia była zadowolona, że o niej pamiętałem. I chwała Bogu.

Znowu zaczęło padać.

Maroš wrócił mniej więcej po dwóch godzinach. Jak na niego to i tak niezły wynik. Biedak był cały przemoczony. Na plecach niósł torbę wypełnioną chyba połową rzeczy, jakie znalazł w mojej szafie, w rękach trzymał dwa foliowe worki ze wszystkimi gatunkami owoców, jakie mieli w warzywniaku, a pod pachą plik czasopism od „Forbesa” do „Playboya”. O szczoteczce do zębów oczywiście zapomniał.

Podziękowałem mu, ale nie zatrzymałem go długo. Zamieniliśmy tylko parę zdań. Przekazał mi niewiele znaczące pozdrowienia i również obiecał pozdrowić paru kolegów. Niedługo potem wyszedł.

Wypakowałem z torby i siatek to, czego naprawdę potrzebowałem, włożyłem rzeczy do szafki i w pozie wczasowicza rozwalilem się na łóżku. Chyba przez godzinę jadłem gruszki, przeglądając czasopisma. Pomyślałem, że może znajdę jakiś artykuł Tamary. I o dziwo, naprawdę znalazłem. Reportaż z Wysp Owczych. Westchnąłem z zazdrością, też chciałbym mieć podobne zajęcia. Podróże, poznawanie i opisywanie świata... Nie miałem pojęcia, że te malutkie punkciki na Morzu Północnym należą do Danii. Chłodno, ciągle leje, ale zdjęcia krajobrazu wyglądały zachęcająco.

Mój dobry humor oklapł, kiedy zerknąłem na okładkę „Plus Siedem Dni”. Praski Orloj przypomniał mi o symbolicznym śnie pełnym dwunastek i odebrał ochotę na dalsze czytanie. Przez to nie dowiedziałem się, czy artykuły Tamary były także w pozostałych gazetach.

Włożyłem czasopisma pod łóżko. Usiadłem na krześle przy oknie, położyłem nogi na kaloryferze i zapatrzyłem się w odświeżone deszczem niebo. W skośnych promieniach zachodzącego słońca chmury przybrały odcienie brązu, żółci i czerwieni, a ich kolory udzieliły się także domom, ulicom, drzewom i latarniom.

Świat wyglądał jak stworzony ręką malarza, któremu zabrakło innych farb. Ale artysta nie stracił wiary w siebie i z tego, co mu zostało, wyczarował piękną scenerię.

Obserwowałem ostatnią fazę odejścia ognistej słonecznej tarczy, która prześwitywała przez postrzępione chmury na zachodzie.

Nagle zakręciło mi się w głowie.

Wzięłem głęboki oddech i spróbowałem wstać. Nie pomogło.

Zrobiło mi się czarno przed oczami. Poczułem wzrastające ciśnienie krwi. Straciłem równowagę.

Nagle szum w uszach zastąpiło coś gorszego - był to o wiele głośniejszy huk. Dziesiątki zagłuszających się nawzajem, intensywnych dźwięków - atakowały mnie ze wszystkich stron. Miałem wrażenie, że nagle ktoś siłą nałożył mi słuchawki i na full podkręcił upiorną, chaotyczną muzykę.

Kiedy odzyskałem wzrok, pomieszczenie wydało mi się dziwne. Wszystko falowało przed oczami.

Powoli zacząłem rozróżniać pojedyncze głosy, obrazy i zmaterializowane emocje. Każda rzecz w sali krzyczała. Odreagowywała jak u psychoanalityka, starała się pozbyć mentalnych śladów, które zostawił na niej człowiek.

Widziałem nieposłuszne dzieci biegające po szpitalnym linoleum, staruszkę, która modliła się, klęcząc przy skrzypiącym łóżku, smutne twarze krewnych siedzących przy okrągłym stole...

Wszyscy tu byli. Niektórzy niedawno, inni wiele lat temu.

Usłyszałem wrzask szaleńca, krzyk konającego pacjenta, wołanie mającej w gorączce ciężarnej kobiety, rozdzierający serce płacz ojca, którego syn zginął w wypadku samochodowym. Przez wrzawę przenikały jęki dziewczyny cierpiącej na silną migrenę, ostatnie westchnienie starca, który umarł na moim łóżku, cichy płacz pacjentów sparaliżowanych po udarze mózgu. Widziałem ich wilgotne oczy, w których odbijała się rozpacz, bezsilność i wstyd z powodu niekontrolowanego wydalenia kału.

Myślałem, że ta przytłaczająca kakofonia doprowadzi mnie do szału. Nagle usłyszałem, jak wdziera się w nią mój własny głos. Krzyczał: „Dosyć! Dosyć!”, dopóki znowu nie ogarnęła mnie miłosierna otchłań.

* * *

Gdy wszystko ucichło, otworzyłem oczy. Stwierdziłem, że leżę obok kaloryfera, a nade mną pochyla się pielęgniarka, którą zawołał współlokator.

Dzwonek wciąż był włączony.

Na twarzy i klatce piersiowej poczułem nieprzyjemną lepkać maź. Wystraszyłem się i usiadłem.

Cała góra piżamy była zakrwawiona. Ostrożnie podniosłem rękę do twarzy. Wtedy pod

palcami wyczułem strumyczek ciekący z mojego nosa.

- Niech pan się położy! - krzyknęła pielęgniarka. Posłuchałem jej. Odsunęła krzesło i ułożyła mnie w bezpiecznej pozycji z głową odchyloną do tyłu. Na potylicy poczułem zimny okład. Leżałem tak chyba przez minutę. Potem przynieśli nosze i parę rąk podniosło mnie do góry.

- Dokąd...? - wydusiłem z siebie resztką sił.

- Tomografia - odpowiedział ktoś, a ja kiwnąłem głową.

Drogę przez korytarz pamiętam bardzo niewyraźnie. Tak samo jak przedłużający się proces przygotowań do badania, wsuwanie do tunelu, pracę skanera i wyciąganie mnie z powrotem. Przez cały czas musiałem być w szoku.

Dopóki nie skontrolowali wszystkich zdjęć, kazali mi leżeć na noszach. Spokój pomógł mi trochę rozjaśnić umysł. Ale przez to wróciły również obawy. W napięciu obserwowałem twarze lekarzy i czekałem na werdykt. Wielu z nich kręciło głowami, ale zauważyłem, że większość odetchnęła z ulgą.

- I jak? - złapałem za rękę jednego doktora, gdy wychodzili z pomieszczenia.

- Zdjęcia są negatywne. - Poklepał mnie delikatnie po ramieniu. - Nie ma krwiaka, tętniaka, nic organicznego. Prawdopodobnie pana organizm zareagował tak na któryś z leków. Albo to był tylko stres.

Niewiarygodnie mi ulżyło.

W końcu mogłem spokojnie zamknąć oczy. W tym dniu po raz ostatni...

* * *

Na dworze był piękny słoneczny dzień, ale grube kamienne mury i wąskie okna przepuszczały do sali tronowej niewiele ciepła i światła. Camelot był sławiony w pieśniach, jednak to miejsce nie odznaczało się przytulnością i wygodą. Może lubiły je duchy, bo na pewno nie ludzie.

Poprawiłem koronę, która podczas drzemki ześlizgnęła się na jedną stronę, szczelniej okryłem ramiona podszytym kożuchem królewskim płaszczem i spojrzałem na odwieczny cień przycupnięty między splotem belek na suficie. Pod oknami rozległ się krzyk. Liczne ledwo zrozumiałe groźby przeplatane przekleństwami.

Uświadomiłem sobie, jakże kruche są mury, które dają mi schronienie. Tak, potrafią zatrzymać hordy barbarzyńskich wojowników z Północy, nawet wojska nieprzyjazznych księstw. Ale słowa, najbardziej bolesne, trafiające prosto w serce narzędzia ludzkiej

nienawiści, potrafią przez nie przeniknąć, nie tracąc swej mocy.

Krzyk stał się głośniejszy.

Szalony Lancelot znowu jest w transie i wieszczy przyszłość. Biedaki Kto wie, któremu z nas jest gorzej. Mnie z moimi suchotami czy jemu z jego szaleństwem? Ani na jedno, ani na drugie nie ma lekarstwa.

Zagubiony promień słoneczny polaskotał mnie w nos.

„Musisz stąd wyjść chociaż na chwilę - powiedziałem sobie i z trudem wyprostowałem zdętwiałe członki. - Sterczenie w tej potwornej zimnicy tylko pogarsza twój stan. Może czujesz na plecach oddech śmierci, ale póki co, jeszcze nie przybyła w gościnę”.

Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno. Chciałem tylko ukryć się przed krzykiem Lancelota.

Z trudem wstałem i o lasce zszedłem bocznymi schodami do ogrodu. Zauważyłem, że przez ostatni tydzień znowu jakby zubożał. Ale jego dawne piękno nadal było widoczne.

Zatrzymałem się na skraju alejki. Odetchnąłem głęboko, zamknąłem oczy i zwróciłem pomarszczoną twarz w stronę ciepłych promieni słońca. Przez chwilę czułem się jak za dawnych lat.

Choć w jedenastu ruszyli,

Jeno dziesięciu przy życiu.

Ludzie na rynku prawili,

Że nas obwieszą do świtu

- usłyszałem słaby dziecięcy głos monotonicznie powtarzający upiorny wierszyk. Poszedłem w głąb ogrodu. W cieniu wielkiego różowego krzewu zobaczyłem beztrosko bawiącego się chłopczyka. Poczulem ukłucie w sercu.

Dziś rano dotarły do mnie ponure wieści - sir Bors de Ganis jest martwy. Ponoć trafiła go przypadkowa strzała.

Nieszczęśliwy wypadek. Następna tragiczna śmierć. Nadzieja maleje i oddala się coraz bardziej...

Wiele lat temu jedenastu szlachetnych rycerzy wyruszyło w świat, by szukać lekarstwa na chorobę króla. Nie wrócili w chwale ani w pokorze. Zamiast tego dochodzą tylko wieści o kolejnych śmierciach.

Ta już jest dziewiąta. Zaszlochałem. Dziewiąta niepotrzebna śmierć. Jacyż to byli dzielni i otoczeni czcią mężowie! Sir Gawaine, Geraint, Gareth, Gaheris, Bediver, Kay, Lamorak,

Tristan albo nieszczęsny Bors de Ganis. Ileż dobra mogli jeszcze w przyszłości uczynić dla tej ziemi! A zamiast tego zginęli w niemającej sensu wyprawie po coś, co nie istnieje.

Czy życie jednego starego człowieka jest warte ofiary dziewięciu tak wielkich rycerzy?

Posmutniałem i powoli wyszedłem naprzeciw chłopcu. Ten patrzył na wielką łąkę przed nami i wesoło podskakiwał.

Pośrodku łąki stał wysoki stary dąb, a pod nim na wyszywanym złotymi nićmi kocu siedziała matka chłopca. Kiedy malec podbiegł do niej, pogłaskała go z uśmiechem. Dała mu wyjęte z koszyka łakocie i dziecko wróciło do przerwanej zabawy.

Skłoniłem się jej na powitanie.

- Słyszałam o de Ganisie. - Spojrzała na mnie z zimnym uśmiechem. - Wygląda na to, że wyprawa, która miała uratować ci życie, nie jest daleka od zguby, braciszku.

- Stało się dokładnie to, co pokazała twoja czarodziejska kula, Morgano - przytaknąłem zachrypniętym głosem.

- Jeżeli chcesz, możemy zapytać ją również o los Galahada i Parsifala. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Przyniesie ci to ulgę. Co ty na to?

Pokręciłem głowę. Odwróciłem się do niej plecami i słabnącym wzrokiem szukałem chłopca.

Choć w jedenastu ruszyli,

Teraz we dwóch-śmy ostali.

Mój przyjacielu, mój miły,

Powiesz, co widzisz tam w dali

- z daleka usłyszałem cichy głos i zdrętwiałem z przerażenia.

Czy Galahad i Parsifal też zginą?

To koniec. Zbliża się koniec.

Moje dni są policzone. Na tronie zasiądzie Mordred i Morgana wygra. Mogę mieć jeszcze nadzieję?

Nie, już nie daję rady! Nie mam już siły.

Już po wszystkim...

Nie muszę nawet patrzeć w tę przeklętą kulę! Wystarczy, że słucham swojego serca, które mówi mi, że umarł ten, na którym najbardziej polegałem. Wiem o tym. Posel ze smutną wiadomością jest już w drodze.

W kąciuku oka zabłysła mi łza.

Z Bogiem, wierny przyjacielu Parsifalu! Niedługo się zobaczymy...

DZIEŃ TRZECI

ŚRODA 13.09

Rano nawet nie tknąłem śniadania. Znalazłem się na dnie. Wyniki badań kontrolnych wciąż były negatywne, ale nie miałem już wątpliwości, że po poniedziałkowej przygodzie coś pokiełbało mi się w głowie.

„Stres. - Pozwoliłem sobie na złośliwy uśmiech. - Och, jakie to proste i oryginalne wytłumaczenie wczorajszego omdlenia!”

Rozejrzałem się po sali, a po plecach przebiegły mi ciarki.

Istnieje tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, czy jestem wariatem. Z nadzieją spojrzałem na wizytówkę, którą przez kilka minut w zamyśleniu obracałem między palcami.

Tylko Tamara mogła mi pomóc. Tylko ona od początku siedziała w tym razem ze mną. Jeżeli jednoznacznie potwierdzi, że wydarzenia, które przed nią zataiłem, są tylko wytworem mojej wyobraźni, zwrócę się po fachową pomoc. Nie miałem ochoty na powtórkę tego, co miało miejsce wczoraj wieczorem.

Z drugiej strony, co będzie, jeżeli to nie moje wymysły?

Zamyśliłem się.

Wtedy...

Nie wiem.

W każdym razie nie było na to żadnego normalnego wytłumaczenia. Na szukanie rozwiązań zawsze znajdzie się czas. Teraz najważniejsze to poznać prawdę...

Poranne konsylium nie przyniosło żadnego wyraźnego postępu. Zmienili mi leki, a datę wypisu przesunęli na odległy termin. Mają czekać i obserwować. Liczące sobie tysiąc lat stare medyczne credo zajmuje zaszczytne miejsce nawet w dwudziestym pierwszym wieku...

Dopiero po wizycie pozwolili mi skorzystać z telefonu.

- Halo? - odezwał się w słuchawce głos Tamary, a ja straciłem pewność siebie.

- Tu Dawid - wyjąkałem.

- Ach, Dawid! Wszystko w porządku?

- Hm... tak - powiedziałem, gdy w jej głosie usłyszałem znowu ten zatroskany ton. - Wie pani, chciałbym z panią porozmawiać...

- Tak?

- Chyba najlepiej byłoby osobiście. To zbyt skomplikowane jak na... telefon.

- Czy coś się stało? - Przed oczami stanęła mi jej zmartwiona twarz.

- Nie, nie...

Przeczuwałem, że to będzie trudne, ale żeby aż tak!...

Nabrałem powietrza.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - zacząłem ostrożnie - fizycznie wszystko ze mną w porządku. Od poniedziałku jednak dzieją się dziwne rzeczy. Mam... hm, jakby to nazwać... miewam... specyficzne przywidzenia. Wydaje mi się, że nie chodzi o klasyczne halucynacje, chociaż jeżeli powiedziałbym o tym lekarzom, z pewnością byłiby innego zdania. Sprawy wyglądają następująco: jestem przekonany, że nie martwiłbym się tym tak bardzo, gdyby mój stan nie miał związku z poniedziałkowym wydarzeniem. I nie mam na myśli urazu głowy. Chodzi mi o to, co stało się wcześniej, coś, o czym pani nie mówiłem. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale proszę mi wierzyć, że ciężko znaleźć słowa... mniej więcej zrozumiałe. Czuję wewnętrzny zamęt i... potrzebuję pomocy. Nie chcę pani obciążać. Ja... Jedyne, o co panią proszę, to żeby mnie pani wysłuchała i... i powiedziała, co o tym myśli...

Na chwilę w słuchawce zapanowała cisza.

Miałem wrażenie, że skończy rozmowę. Sam nie wiem, co bym zrobił, gdyby ktoś wyskoczył przy mnie z czymś podobnym.

- Gdzie pan jest? - w końcu się odezwała.

- Ciągle w szpitalu - odparłem. Znowu cisza.

- Dawidzie! Niech mi pan powie, co się stało. Dlaczego rano nie został pan wypisany?

Nagle jej głos stał się zdenerwowany i jakby groźny.

- Wczoraj... - powiedziałem cicho z poczuciem wstydu - wczoraj miałem mały wypadek...

- Dawidzie!!!

- Ale już wszystko w porządku, nie musi się pani martwić...

- Niech pan czeka na sali! Przyjadę za pół godziny - przerwała mi i odłożyła słuchawkę.

* * *

Siedziałem na łóżku i przygotowywałem się do ważnej rozmowy z Tamarą. W myślach dobieierałem odpowiednie słowa. Zależało mi, żeby jak najdokładniej wyrazić swoje uczucia i nie wyjść przy tym na wariata. Na stoliku czekały już dwa plastikowe kubki, wygazowana lemoniada z bufetu, a ja nerwowo patrzyłem na zegarek. Zbliżała się chwila prawdy.

Dokładnie o dziesiątej zero pięć otworzyły się z hukiem drzwi i do sali jak burza wtargnęła Tamara. Razem z nią dwoje innych ludzi. Jakiś młody chłopak w okularach, z włosami zebranymi w kok, ubrany w powyciąganą bluzkę z długimi rękawami oraz szerokie

workowate spodnie. I niska dziewczyna z dreadami, w szeleszczącej spódnicy w kratkę i bluzeczce z wielkim zielonym liściem z napisem CANNABIS z przodu i z tyłu.

Spojrzałem na nich ze zdziwieniem.

- To twoja półka?! - krzyknęła nerwowo Tamara, jakby ziemia paliła jej się pod nogami, i wskazała na blaszaną szafkę nocną tuż obok mojego łóżka.

Zdezorientowany przytaknąłem.

- Bronek! - Pstryknęła palcami na chłopaka po jej lewej stronie. Ten momentalnie przyskoczył, wyciągnął mi spod łóżka torbę i zaczął ładować do niej leżące na półkach owoce i ubrania. Zauważyłem, że w tym samym czasie dziewczyna z dreadami błyskawicznie podeszła do mojego współlokatora, schyliła się nad nim, położyła mu na czole rękę i coś wyszeptała do ucha.

Nie wyglądał na mniej zaskoczonego niż ja.

- Szybko, ubieraj się! - Tamara rzuciła mi szpitalny szlafrok.

- Co się dzieje? - wytrzeszczyłem oczy i kompletnie wyprowadzony z równowagi powoli zakładałem kaptcie.

- Musisz stąd odejść, natychmiast!

Z niedowierzaniem podniosłem na nią wzrok.

- Za chwilę mam wziąć lekarstwa... A po obiedzie mam zarezerwowane EEG.

Dziennikarka stanęła przede mną, położyła mi rękę na ramieniu i spojrzała głęboko w oczy.

- Zaufaj mi - powiedziała, a pod wpływem jej intensywnego spojrzenia poczułem lekki zawrót głowy.

Coś zadzwoniło mi w uszach, a myśli zwolniły bieg.

W następnej chwili wyglądałem jak szmaciana lalka. Miałem tyle samo siły woli i równie wiele rozumu.

Oszołomiony założyłem szlafrok i bez słowa wyszedłem za Tamarą z sali.

Po piętach deptała nam dziewczyna w dreadach. Współlokator głośno oddychał zanurzony w głębokim śnie.

Na schodach wpadliśmy na siostrę oddziałową.

- Abel! Dokąd to?! - wrzasnęła mi prosto w twarz. W zwolnionym tempie otworzyłem usta.

- Pan Abel ma zalecony spacer - zagrzmiała Tamara głosem, jakiego nigdy nie słyszałem u żadnej innej kobiety. Zadzwieczał mi nie tylko w uszach, ale w całej głowie.

- Za-zapomniałam - wymamrotała pielęgniarka. W jej pustych oczach mogłem przejrzeć

się niczym w lustrze. Zaraz potem jak wichur biegliśmy przez parter. Pacjenci ustępowali nam z drogi i ze złością wykrzykiwali niecenzuralne groźby. Tuż przy recepcji mineliśmy trzy osoby, które wczoraj na chwilę zjawily się w mojej sali. Blud, Bies, Harašilowa - poznałem ich od razu.

Tamara przystanęła i podejrzliwie zmierzyla wzrokiem trójkę medyków. Zauważyli nas. Odniosłem wrażenie, że postanowili dyskretnie się ulotnić.

- Petronela! - Dziennikarka z niezadowoleniem wskazała głową w ich kierunku.

Dziewczyna z dredami przytaknęła ze zrozumieniem i błyskawicznie za nimi pobiegła. Ja i Tamara dalej pędziliśmy przez korytarz.

Zaraz przy wejściu do skrzydła szpitalnego stał mój stary znajomy - ciemnoniebieski saab.

Tamara zaciągnęła mnie do auta i wepchnęła na przednie siedzenie, jakbym był workiem ziemniaków lub czymś równie mało delikatnym. Potem otworzyła bagażnik. Czekala, aż z budynku wybiegnie Bronek z moją torbą.

- Zadbaj o formalności - rozkazała, zamykając z trzaskiem bagażnik, gdy tylko moje rzeczy znalazły się w środku. - Jeżeli będą jakieś problemy, dzwoń do Petroneli.

- Mam przyjść do ciebie, jak skończymy? - zapytał chłopak.

- Nie, wracaj do pracy. Bronek kiwnął głową i biegiem wrócił do szpitala.

Tamara usiadła za kierownicą. Saab błyskawicznie odpalił i z piskiem opon ruszyliśmy w drogę.

* * *

Już teraz wiem, dlaczego mieszkańców Koszyc wyzywa się od piratów drogowych. Podczas jazdy Tamara nie zdejmowała nogi z gazu, ignorowała znaki drogowe ograniczające prędkość, zakręty i skrzyżowania pokonywała w stylu rajdowym i wciąż wyprzedzała bardziej ostrożnych kierowców. Nie mówiąc o tym, że tylko jedną ręką trzymała kierownicę, ponieważ drugą odbierała nieustannie dzwoniący telefon. Siedziałem obok niej niczym kołek, a na świat patrzyłem jak przez mgłę.

Ogłupiająca zasłona rozplynęła się dopiero na końcu drogi, gdy zahamowaliśmy przed nowoczesnym budynkiem z mieszkaniami do wynajęcia, na jednym z parkingów osiedla Nad Jeziorem. Odzyskując już całkiem świadomość, usłyszałem głos rozmawiającej przez telefon Tamary:

- Będę tam tak szybko, jak tylko się da. Czekaj na mnie!

Z nadąsaną miną wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki.

- Chodźmy! - zwróciła się do mnie. - Musimy jak najszybciej rozwiązać twój problem. Mam sporo innej pracy.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że przez cały czas mówi mi na „ty”. Jeszcze wczoraj coś takiego przywitałbym z otwartymi ramionami, uznając za dowód sympatii. Ale teraz odniosłem wrażenie, że mnie poniża.

W fatalnym nastroju opuściłem samochód i zerknąłem niepewnie na boki. W szpitalnym szlafroku i kapciach na środku osiedla czułem się jak idiota.

Tamara otworzyła bagażnik i rzuciła mi torbę. Złapałem ją, warcząc ze złością:

- Mam wrażenie, że coś mi umknęło. Albo przynajmniej ktoś jest mi winien wytłumaczenie. Co się dzieje? I chyba opuszczenie szpitala nie było wcale najlepszym pomysłem...

- Szpital nie jest miejscem, w którym pomogą ci wydostać się z bagna, w które wdepnąłeś.

- A ty potrafisz to zrobić? - z nutą sarkazmu w głosie też zacząłem mówić do niej na „ty”.

- To bardziej prawdopodobne - odparła i skierowała się do najbliższej bramy.

Z wahaniem poszedłem za Tamarą, która otworzyła drzwi wejściowe i ruszyła po schodach na drugie piętro.

Miałem mieszane uczucia. W ogóle nie podobała mi się ucieczka ze szpitala. Mogła mieć nieprzyjemne konsekwencje. W pracy, podczas badań lekarskich, mogły też wyniknąć kłopoty z ubezpieczeniem.

Najchętniej od razu bym tam wrócił. Ale z drugiej strony coś mi mówiło: „Daj jej szansę”... Była taka pewna siebie. Emanowało z niej przekonanie, że wie, co robi. Tylko co właściwie robi, no bo nie tylko pisuje reportaże!

- To, co przed chwilą zaprezentowaliście z kolegami - powiedziałem odrobinę spokojniej, gdy otwierała drzwi do swojego mieszkania - dosyć mnie zaszokowało. Kim jesteście? Iluzjonistami? Uzdrowicielami od medycyny niekonwencjonalnej? Grupą hipnotyzerów?

- W tej chwili to nie jest istotne. - Chwyliła mnie za rękaw i wciągnęła do środka.

Uświadomiłem sobie, że kiedy jest zdenerwowana, bardziej słychać jej specyficzny akcent. Wciąż nie umiałem odgadnąć, skąd pochodził. Głoski wymawiała dosyć twardo, tak jak Niemcy lub Anglicy, ale nie, to nie było to. Holenderka? Hm...

Rozejrzałem się po nowoczesnym, ale surowo urządzonej mieszkanie.

- Mieszkasz sama?

- Tak. - Kiwnęła głową, zdejmując buty.

- A rodzice?
- Umarli.
- Przykro mi.
- Niepotrzebnie. To było dawno.
- A jacyś inni krewni? Spojrzała na mnie z niechęcią.
- Co to ma być? Przesłuchanie?
- Nie, normalna konwersacja. - Wzruszyłem ramionami z neutralnym wyrazem twarzy.
- Bądź taki łaskawy i przez chwilę zajmij się sobą. W tej chwili nie mam czasu na wywiad - syknęła tonem rozdrażnionej żmii.
- Dobrze. - Podniosłem ręce w obronnym geście.

- Rozgość się. - Wepchnęła mnie do salonu. - I przebierz.
Nie czekała na mój następny komentarz. Odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi do kuchni. Przez półprzejrzystą szybę w drzwiach zauważyłem, jak podnosi słuchawkę wiszącą na ścianie telefonu i wykręca jakiś numer.

Nastąpiła przytłumiona rozmowa, której nie mogłem zrozumieć.

Głęboko westchnąłem, rzuciłem torbę na tapczan i wyciągnąłem z niej spodnie i koszulkę.

Nie czułem się najlepiej. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do tego, że ktoś mi rozkazuje.

* * *

- Koli? - zapytała przyjaźniej Tamara i podała mi szklanekę.
Przytaknąłem i spojrzałem na długie krawieckie nożyce, które trzymała w drugiej ręce.
Uśmiechnęła się, wskazując opatrunek na mojej głowie. Nachyliłem się, żeby mogła go przeciąć i zdjąć.

- Myślę, że jest w porządku - powiedziała po obejrzeniu rany. - Nie będziemy już tego zakładać, dobrze?

Upiłem łyk coli i zamiast odpowiedzi spojrzałem na nią z wyrzutem.

- Kłamałaś, mówiąc o tym, co wydarzyło się w poniedziałek - stwierdziłem. - Czy teraz powiesz mi prawdę?

- Po kolei - uśmiechnęła się Tamara. - Poza tym ty też nie byłeś bardziej szczery niż ja. Najbardziej z tego wszystkiego interesuje mnie twoje wczorajsze zaślabnięcie. Bo chyba to było główną przyczyną naszego spotkania, prawda?

Z miną przyłapanego na gorącym uczynku złodzieja kiwnąłem głową. Nie potrafiłem długo się na nią gniewać.

Zacząłem od tego, co zatałem w opowieści o poniedziałkowym zdarzeniu, czyli od mężczyzny-potwora i dziwnej eksplozji. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałem.

Tamara słuchała z kamiennym wyrazem twarzy i ani razu mi nie przerwała. Potem przeszedłem do wczorajszego omdlenia. Pamiętałem je o wiele wyraźniej niż okoliczności wypadku czy też napadu, ale trudniej było mi ubrać myśli w słowa. Wydarzenie wymagało opisanego ogromnej liczby uczuć i emocji, na które ludzki język nie ma prostych określeń. Myślę jednak, że udało mi się uchwycić sedno problemu. Kiedy skończyłem, dałem Tamarze znać, że teraz kolej na nią.

- Połóż się na plecach - poleciła.

Nie mogłem pozwolić, aby mnie zbyła, i miałem ochotę zaprotestować, no, ale kto odmówiłby takiej propozycji?

Położyłem się na tapczanie, a Tamara usiadła na krześle obok. Po chwili położyła obie dłonie na mojej piersi i zamknęła oczy.

- Skoncentruj się na czymś i spróbuj o niczym nie myśleć - rozkazała.

Moje oczy automatycznie spojrzały na jej dekolt. I choć pierwszą część polecenia spełniłem bez gadania, z drugą miałem poważne problemy.

A Tamara, nie otwierając oczu, chwyciła mnie za brodę i uniosła moją głowę z powrotem do góry. Przypomniałem sobie o krwi, która jeszcze wczoraj ciekła mi z potylicy. Od razu przestałem błaznować.

* * *

Poczułem, że coś we mnie wchodzi, jakaś nieznana siła. Tak jakby palce Tamary zdematerializowały się, wydłużyły i ostrożnie sondowały moje wnętrze. Nie było to nieprzyjemne, ale na ciele wyskoczyła mi gęsia skórka.

Potem dziewczyna na chwilę uniosła rękę. Kątem oka zobaczyłem, że kreśli nimi w powietrzu jakieś dziwne wzory. Gdy znów położyła dłonie na mojej klatce piersiowej, biło z nich ciepło. Poczułem nagły przyływ gorąca, który powoli rozprzestrzenił się po całym ciele.

Byłem kompletnie oszołomiony. Widziałem, jak zniekształcają się kontury rzeczywistości. Opuściła mnie zdolność percepcji czasu.

Gdy z powrotem wyostrzyły mi się zmysły, zauważyłem, że Tamary nie ma już przy

mnie. Siedziała w fotelu. Na jej zachmurzonym czole błyszczał pot, a oczy patrzyły w pustkę.

- Mogę wiedzieć, po co to było? - Usiadłem na łóżku. Czułem delikatne mrowienie w koniuszkach palców.

Nie odpowiedziała.

- Hmm... - kontynuowałem - na parkingu powiedziałaś mi, że wdepnąłem w niezłe bagno. Dobrze. Przyznaję, że wczoraj zemdlałem i miałem specyficzne przywidzenia, ale w tej chwili czuję się zupełnie dobrze. Fizycznie i psychicznie. Rewelacyjnie! Myślisz, że to się powtórzy?

Następna pauza i milczenie.

- Wiesz co, jeśli tak, to najchętniej wróciłbym do szpitala. Nie mam nic przeciwko twoim metodom. Wyglądało to przekonująco, ale mam wrażenie, że lepiej by było, gdybym został w rękach lekarzy...

- Wdepnąłeś w bagno - odezwała się wreszcie ze śmiertelnie poważną miną.

- Dobrze - odparłem z uśmiechem, udając, że to niezbyt wylewne i mało odkrywcze zdanie nie wzbudziło we mnie przerażenia. Chciałem rozładować atmosferę. - Zdaję sobie z tego sprawę. Bardzo ze mną źle?

- Trudno stwierdzić. - Tamara chwyciła łańcuszek i okręciła go wokół palca. - Jestem trochę zmęczona i nie potrafię się porządnie skoncentrować... Próbowałam cię od tego uwolnić, ale bez skutku. I tak mało kiedy udaje się to za pierwszym razem. Jeżeli pozwolisz mi na chwilę odpoczynku, spróbujemy jeszcze raz.

- Ciągłe nie rozumiem ani słowa. O co chodzi?

- Jesteś naznaczony. Nosisz w sobie piętno demona, kolego.

- Demona? - zapytałem zdziwiony, ale poczułem ulgę. Już naprawdę zaczynałem się martwić, tymczasem chodziło tylko o jakieś satanistyczne brednie.

- Demona, żywiołaka, istoty astralnej, jak wolisz - przytaknęła.

- Coś jakby ugryzienie przez wampira? - Uśmiechnąłem się z rozbawieniem.

- Ifrita - poprawiła mnie.

Tym razem bez skrupowania szczerze się roześmiałem.

- Nie twierdzą, że w sprawach między ziemią a niebem jestem kompletnym sceptykiem, ale demony... proszę cię...

Wyprostowała się w fotelu i wciąż poważnym tonem powiedziała:

- Mężczyzna, który przedwczoraj cię napadł, nie był człowiekiem. Nie chciał cię ani okraść, ani zaatakować dla żartu, ani w żaden sposób zranić fizycznie. Pytałeś mnie o poniedziałek. Co chciałeś usłyszeć? Widziałeś go w prawdziwej postaci tak jak ja. Na własne

oczy. Choć oczywiście nie byłeś pewien, co się dzieje. Nie dziwi mnie to. Zwykłemu człowiekowi trudno zobaczyć ich prawdziwą postać, wierz mi. Ale czy wiesz, Dawidzie, kiedy i przed kim decydują się ujawnić? Powiem ci to wprost. Przed swoimi potencjalnymi ofiarami. I możesz być pewny, że gdy ruszają na łowy, nie zależy im na pieniądzach. Nie trwonią magii tylko po to, żeby dla zabawy rzucić kimś o zderzak. Wiesz, co myślę? Myślę, że prawdopodobnie chciał z miejsca pozbawić cię many albo po prostu zabawić się i zostawić cię na deser.

- Możesz mi to przetłumaczyć na słowacki?

- Chciał się tobą pożywić. - Mną?

- Twoją astralną energią... Pokręciłem głową.

No tak, spokojnie, widziałem go na własne oczy... Potraktowałem to zdarzenie bardzo emocjonalnie. Wciąż siedzi ono w mojej głowie. I w końcu wiem, że Tamara przeżyła to ze mną!

Tylko że jej słowa brzmiały jak jakieś brednie. Po prostu nie mogłem przyjąć do wiadomości takiego wytłumaczenia.

- Ten świat jest o wiele bardziej złożony, niż to sobie wyobrażasz, Dawidzie - przekonywała mnie dalej. - Nie obejmuje tylko tego, co odbierasz zmysłami i czego możesz dotknąć. Każda rzecz, każda istota na ziemi ma swój inny wymiar, swoją część astralną. Przyjmij to jako fakt, który istnieje od zarania dziejów. Astralny świat jest paralelny do naszego, jest połączony z każdym jego atomem, jest jego nieodłączną częścią. Ma jednak swoją drobną specyfikę. Mimo że też w połowie należymy do świata astralnego, nie mamy na niego wpływu. Nim rządzą obce istoty... Nazywają siebie Wyższą Kastą albo Pasterzami. Pasterzami ludzi, oczywiście. Mieszą się w nasze życie, a swoją moc wykorzystują, żeby nami manipulować. Jesteśmy dla nich kukiełkami, stadem, pożywieniem. Pytanie nie brzmi, czy w nie wierzysz, ale czy potrafisz zaakceptować fakt, że istnieją.

Zacząłem myśleć o tym, co powiedziała, ale ciągle jej wyjaśnienia nie mieściły mi się w głowie. Zdecydowałem, że na razie przyjmę ten pogląd jako hipotezę.

- Powiedzmy, że mężczyzna w prochowcu nie był zwykłym człowiekiem, ale istotą wyższego rzędu, która chciała mnie włączyć do swojego jadłospisu. Co dokładnie według ciebie mi zrobił?

- Hmm... Wygląda to na urok albo klątwę.

To stwierdzenie dla odmiany zapachniało czarami i magią.

O dziwo, podziało na mnie o wiele bardziej niż to, co usłyszałem do tej pory. Moi rodzice i dziadkowie zawsze wierzyli w magię ludową. Nic dziwnego. Większość wiosek na

Spiszu jeszcze w dzisiejszych czasach ma swoją znachorkę, którą ludzie odwiedzają równie często jak księdza.

- Takiej diagnozy z pewnością nie postawiłby żaden lekarz - zażartowałem. - A jakie są prognozy?

- Jeszcze nie miałam niewyleczonego pacjenta. - Tamara z uśmiechem dała mi znak, żebym znów się położył.

* * *

Procedura powtórzyła się od początku.

To, że dzieje się ze mną coś niedobrego, wynikało z minionych czterdziestu ośmiu godzin i było więcej niż pewne. Choroba psychiczna, wygłodniały demon, klątwa czy cokolwiek innego - obojętnie, bez gadania byłem gotów posłuchać Tamary i poddać się jej leczeniu, nawet jeśli miałyby mi nie pomóc. Wierzyłem, że przynajmniej mi nie zaszkodzi.

Tym razem przez cały czas byłem zupełnie świadomy. Ale wszystkie doznania stały się o wiele słabsze niż przedtem. Prawie po piętnastu minutach Tamara nagle przerwała seans. Przeklinając, wstała i ze złością kopnęła w fotel.

- Przykro mi - pokręciła bezradnie głową. - Nie umiem się skoncentrować. Muszę wyjść, mam do załatwienia ważną sprawę, która nie może dłużej czekać.

Z roztargnieniem zaczęła szukać torebki i płaszcza.

Trochę zasmuciło mnie, że tak szybko skończyła. Nie, nie wierzyłem w cudowne uzdrowienie! Jednak powiedziała mi niewiele, a właśnie traciłem szansę, aby ją dogłębnie przesłuchać. Powietrze było aż gęste od niedomówień...

Odważyłem się zadać pytanie, które gnębiło mnie już od poniedziałku.

- Przyjdzie po mnie znowu? Sama mówiłaś, że nie skończył polowania. Czy istnieje możliwość, że znowu zechce mnie znaleźć?

- Zapomnij o ifrycie - rzuciła, wkładając buty. - Możesz spać spokojnie.

Nie uspokoiła mnie.

- Ciągle nie powiedziałaś mi, co naprawdę zdarzyło się w poniedziałek. Myślę, że nie stałaś odwrócona plecaki. To kłamstwo, widziałaś naszą bójkę. Nie było prawdą również to, co powiedziałaś potem.

- Zabiłam go - wyjaśniła krótko. - Zadowolony? Ze zdziwienia opadła mi szczęka.

- Zabiłaś go? Obojętnie, czy to było coś, czy ktoś, ty go zabiłaś?!

- Tak. Mam pozwolenie na broń i regularnie ćwiczę na strzelnicy. - Wyciągnęła z torebki

pistolet i wymierzyła w okno. - Cezeta 75 B Compact. Czarny lakier, lufa prawie sto milimetrów, waga dziewięćset dwadzieścia gramów, kaliber dziewięć milimetrów Luger. Zmniejszona wersja klasycznej serii dostosowana do długiego noszenia. Maksymalny ładunek czternaście naboji. Ulubiona broń mojego ojca. - Wyciągnęła magazynek, sprawdziła go i wsadziła z powrotem.

- Strzeliłam temu debilowi w głowę. Włożyłam go do samochodu, a ciało spaliłam na składowisku nieopodal. Jakies pytania?

Powiedziała to zupełnie swobodnym tonem, jakby mówiła o zakupach w drogerii.

Z przerażeniem pokręciłem głową.

- Rusz się, Dawidzie, wrzuc na siebie kurtkę. Świeże powietrze dobrze ci zrobi, zobaczysz.

Uszczypliwą uwagę, którą miałem na końcu języka, gdy ponownie wręcz perfekcyjnie odpalała saaba, zachowałem dla siebie. Zapiąłem pasy i znieruchomiałem na siedzeniu. Przeczuwałem, że czeka nas szalony rajd podobny do tego, który przeżyłem w drodze ze szpitala.

Przejechaliśmy przez całe osiedle. Potem przez wielopoziomowe skrzyżowanie, wiadukt, przedmieście Barca, a wskazówka prędkościomierza ani przez moment nie opadła poniżej osiemdziesiątki. Wyjechaliśmy z Koszyc, a po dalszych szaleńczych dziesięciu minutach przed nami pojawiła się tablica z napisem Seña.

W końcu Tamara zwolniła i skręciła. Odetchnąłem z ulgą. Już się bałem, że pojedziemy dalej, nielegalnie przejedziemy przez znajdujące się niedaleko przejście graniczne (nielegalnie, bo straż graniczna na pewno robiłaby nam problemy z powodu zjeżdżonych opon, jak to ma w zwyczaju kompletnie bez przyczyny) i skończymy podróż na Węgrzech lub w Rumunii.

Zatrzymaliśmy się jednak przed miejską karczmą.

Był tam zaparkowany tylko jeden pojazd, ale za to niemożliwy do przeoczenia - wypolerowany harley-davidson. Tyłkiem opierał się o niego wysoki chłopak w skórzanej kurtce. Kiwnął nam ręką na powitanie.

Tamara wyszła z samochodu i pocałowała go. Dopiero potem mnie przedstawiła.

Był to pocałunek raczej przyjacielski niż miłosny, ale i tak zabolął mnie ten widok. Niewiarygodne, jak szybko mężczyzna potrafi stać się zaborczy w stosunku do kobiety. W dodatku nawet do takiej, co wbija mu do głowy różne brednie, których pełne są historie chorób pensjonariuszy zakładów psychiatrycznych. Przy tym biega w kółko, wymachując bronią. Dziwne, o ludziach, którzy noszą przy sobie spluwę, nigdy nie miałem najlepszego

zdania, ale nic na to nie mogłem poradzić - ta dziewczyna po prostu mnie zafascynowała.

- Alan. - Motocyklista wyciągnął rękę i przyjrzał mi się z nieufną miną.

- Tak więc... Jeszcze raz od początku, ale szybko - rozkazała mu Tamara, spoglądając na zegarek.

Nie raczyła wyjaśnić mojej obecności.

W duchu cieszyłem się z zażenowania chłopaka. Nie podobał mi się. Nie tylko z powodu tego pocałunku. Po prostu wyglądał na zadufanego w sobie miejskiego podrywacza. Wysmarowane brylantyną półdługie czarne włosy, czarne okulary, czarna kurtka i spodnie, dymiący niedopałek w kąciку ust...

- Wygląda to na klasyczny przypadek - zaczął Alan, wciąż przyglądając mi się z niechęcią. - Mężczyzna pięćdziesiąt trzy lata, z zawodu elektryk, pracujący w spółdzielni, dwoje dzieci, obydwie córki. Udar mózgu. Umarł we śnie z poniedziałku na wtorek. Rano znalazła go żona. Alfons Parzival. To tamten dom na końcu ulicy.

Gdy usłyszałem niecodzienne nazwisko nieboszczyka, aż się wzdrygnąłem. Parzival... nie jest to czasem niemiecka wersja Parsifala? Nie potrafiłem nie skojarzyć tego z moim wczorajszym snem.

- Był przy nim ksiądz, lekarz, sołtys, grabarz - kontynuował chłopak. - Mary postawili w jadalni, oporzadzili go i już wczoraj około siedemnastej wystawiono go w trumnie. Dzisiaj miały odbyć się pogrzeb i stypa. W nocy z wtorku na środę trup zniknął. Dzisiaj rano, mniej więcej o wpół do szóstej, żona, jak tylko wstała z łóżka, zgłosiła kradzież zwłok. Twierdziła, że oprócz ciała nic nie zginęło, tylko okno, które zgodnie z ludowym zwyczajem zostawiła uchylone, było otwarte na oścież. Policjanci sfotografowali miejsce zdarzenia, przesłuchali dzieci oraz sąsiadów i z nosami na kwintę przed godziną opuścili dom. To w skrócie chyba wszystko.

- Zaginiony trup - kiwnęła głową Tamara. - Nie chodził po domu? Nie napadł nikogo?

- Z rodziną wszystko w porządku - Alan wzruszył ramionami. - Większość informacji zdobyłem od naszego łącznika w areszcie. Nie rozmawiałem z nimi osobiście. Nie wiem, co się dokładnie wydarzyło.

- Dobrze - powiedziała dziewczyna. - Są trzy możliwości. Albo była źle postawiona diagnoza i ten... Alfons?...

- Tak, Alfons.

- ...Alfons ocknął się ze śpiączki, po czym rano pełen werwy wyszedł na spacer. Druga możliwość: po okolicy włóczy się jakiś zboczeniec, który ma ochotę na zimne mięso. Widząc przez okno świeżego trupa, nie mógł się opanować i wypożyczył go sobie na parę godzin,

żeby wykorzystać do własnych celów. Albo mamy tutaj rewenanta. Ale żeby wiedzieć na sto procent, musimy najpierw wykluczyć dwie pierwsze możliwości.

- Wizyta? - Tak.

Chłopak przytaknął i odwrócił się w stronę motoru.

- Nic z tych rzeczy - zatrzymała go Tamara. - Pojedziesz z nami samochodem. I musisz zdjąć kurtkę i okulary.

Wahał się przez chwilę, ale w końcu jej posłuchał. Nawet wyrzucił dymiącego peta.

Wszyscy troje wsiedliśmy do saaba i po krótkiej, spokojnej jeździe zaparkowaliśmy przed domem zmarłego.

Dziewczyna otworzyła przegródkę, rzuciła Alanowi dyktafon, a mnie ciężki aparat fotograficzny.

- Załóż to sobie na szyję - powiedziała. Tak też zrobiłem.

Cała ta dziwaczna gra napawała mnie strachem, ale jeśli mam być szczery, zwyciężyła ciekawość.

- Rozmowę zostawcie mnie - rozkazała Tamara. Pogroziła nam palcem i otworzyła furtkę. Chodnik był wyłożony betonowymi płytkami. Podeszła do drzwi wejściowych i zadzwoniła.

* * *

Otworzyła nam czterdziestopięcioletnia kobieta w żałobie, trochę zgarbiona, o bladej i smutnej twarzy.

- Czego państwo sobie życzą? - zapytała głosem zdartym przez godziny płaczu.

- Dzień dobry. - Dziennikarka przybrała formalny ton. - Przepraszam, że przeszkadzamy w tak smutnym i nieodpowiednim momencie. W pierwszej kolejności proszę przyjąć wyrazy współczucia. Nazywam się Tamara Bernáthowa, a to są moi asystenci. Pracujemy dla TASR².

- Pokazała swoją legitymację. - Przygotowujemy wiadomości prasowe o przestępstwach na obszarze Koszyc. Dostaliśmy oficjalną informację z wydziału śledczego, że zniknęło ciało pani zmarłego męża. W związku z tym, że chodzi o dosyć nietypowy wypadek, chcielibyśmy osobiście uzupełnić materiał, którym dysponujemy. Nie chcemy przedłużać pani cierpienia i pogłębiać smutku. Chodzi nam tylko o parę pytań i jedno-dwa zdjęcia z miejsca zdarzenia. Wyświadczy nam pani tę przysługę?

Kobieta westchnęła.

² TASR (Tlačova agentúra Slovenskej republiky) - słowacka agencja informacyjna.

Współczułem jej. Było oczywiste, że się zgodzi. Ludzie wychowani w czasach totalitaryzmu mają szacunek do wszelakich legitymacji. Przyzwyczaili się.

Nie podobało mi się to, że Tamara kłamie. Czuję jednak, że to nieuniknione, chociaż nie do końca rozumiałem dlaczego. Albo nie chciałem rozumieć...

Pani Parzivalowa posadziła nas na ławie w kuchni. Obie córki przybiegły zobaczyć, kto znowu odwiedził ich dom. Nie zabawiły długo, bo matka kazała im odejść.

Dziewczyna dała znak Alanowi, żeby włączył dyktafon i rozpoczęła wywiad.

Pogrążona w żałobie kobieta cichym głosem powtórzyła znaną nam już historię. Szczegóły dotyczące jej męża, jego śmierci, przygotowań do pogrzebu... Tamara przez cały czas pilnowała, żeby wdowa nie odbiegała od tematu. W końcu pani Parzivalowa zaczęła opowiadać o tym, co najbardziej nas interesowało. O nocy, podczas której zniknął nieboszczyk.

- Kolację jadłyśmy same, tylko ja i dziewczynki, ale nie zapomniałam nakryć również dla męża, jak to mamy w zwyczaju. Podczas ostatniej wieczerzy rodzina zmarłego powinna pożegnać się z jego duszą i zostawić mu na drogę szklanek wody. Zawsze tak robiliśmy. Zaraz po jedzeniu poszłyśmy się położyć. Śpimy razem z córkami na górze. W nocy nie zauważyłam nic podejrzanego. Wszędzie panowała cisza. Nawet dzieci szybko zasnęły. Dopiero o wpół do trzeciej rano coś się wydarzyło. Tak jakby z dołu, z jadalni, dochodził szelest i ciche stukanie. Bardzo ciche. Gdybym spała mocniej, na pewno nic bym nie usłyszała. Trwało to tylko jakieś pięć, może dziesięć minut i bardzo szybko ucichło. Przez chwilę myślałam, czy nie sprawdzić, co się dzieje, ale potem zrezygnowałam. Nie, nie bałam się. Nie przyszło mi na myśl, że może dziać się coś nadprzyrodzonego. U nas mówi się, że dusza zmarłego nie opuszcza ciała, dopóki nie znajdzie się w ziemi. Czasami w ostatnią noc martwi chodzą po domu, a gdy rodzina zbyt często o nich myśli, wracają nawet po pogrzebie. Jeżeli to był on, nie miałam powodu, aby mu przeszkadzać. Do jadalni zeszłam dopiero rano...

Podczas całej rozmowy kobieta starała się zrobić na nas wrażenie silnej i pogodzonej z losem. Najgorsze miała już za sobą. Poza tym były dzieci i choćby z ich powodu nie mogła się załamać. Ale każdy by zauważył, że chociaż jej błękitne jak niezapominajki oczy patrzą na nas z rozwagą i spokojem, w dłoniach gorączkowo ściska i obraca różaniec oraz malutki krzyżyk.

- Co według pani naprawdę się stało? - zapytała na koniec Tamara.

- Nie wiem. - Pani Parzivalowa ze skruczą pokręciła głową. - Jeżeli to był żart, to ktoś zachował się podle i nieludzko.

Jej oczy zwilgotniały, a spuszczonego wzroku wyraźnie mówił, że nie ma już nic więcej do powiedzenia.

- Dziękuję, to wystarczy. - Tamara położyła jej rękę na ramieniu. - Jeżeli byłaby pani taka łaskawa i na dwie minutki wpuściła nas do jadalni... Potem sobie pójdziemy.

Kobieta powoli wstała i otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju. Bez słowa poszliśmy za nią.

Pokój gościnny zmieniono w miejsce pożegnania ze zmarłym. Stół został przesunięty pod ścianę z obrazami Marii Panny i innych świętych, między ogromny starodawny piec i spróchniałą szafę. Po przeciwnej stronie znajdowały się ustawione w rzędzie krzesła i drewniany domowy ołtarzyk z czarno-białą fotografią zmarłego. Okno było zamknięte, zasłonięto ciężkie firany. Tuż pod kryształowym żyrandolem stały wielkie mary, a na nich pusta trumna. Ustawione dookoła niej świece już dawno zgasły.

- Mamusiu, możesz na chwilę przyjść na górę? - odezwał się za nami głosik chyba trzynastoletniej dziewczynki.

Pani Parzivalowa zerknęła z zakłopotaniem na córkę, a potem spojrzała na nas z cierpieniem w oczach.

- Niech pani idzie. Poczekamy - zapewniła ją Tamara, uśmiechając się ze zrozumieniem.

Wdowa z wdzięcznością kiwnęła głową i szepnąwszy coś, co mogło znaczyć: „Za chwilę będę z powrotem”, poszła na górę.

Ledwo zamknęły się za nią drzwi, dziennikarka wykorzystała jedyną nadarżającą się okazję. Podeszła do mar, zmrużyła oczy i koniuszkami palców ostrożnie przejechała po bokach trumny. Potem nachyliła się, uważnie obejrzała całe jej wnętrze, obwąchała materiał i z naburmuszonym wyrazem twarzy podniosła głowę.

- Mamy robotę, do diabła! - szepnęła do Alana. - Sprawdź, czy też to czujesz. Impuls jest bardzo słaby, ale możesz go rozpoznać.

Chłopak pochylił się nad marami i głośno nabrał powietrza przez nos.

- Tylko wonne świece i kadzidło - pokręcił z rozczarowaniem głową.

- Schył się głębiej. Bóg wie, kiedy nadarzy się podobna okazja - zmusiła go Tamara.

Nie miałem pojęcia, co jest grane, ale w tym momencie opętała mnie ciekawość. Tak samo ostrożnie podszedłem do trumny i naśladując moich towarzyszy, wepchnąłem do niej głowę. Poczułem, jakby ktoś uderzył mnie prawym prostym.

- Fuj! - krzyknąłem z załzawionymi oczami, zasłaniając dłonią znokautowany nos. - Przecież to śmierdzi jak kompost. Trumny nie używa się jednorazowo?

Tamara i Alan popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

- Psssy! - uciszyła mnie dziennikarka. - Co dokładnie czujesz?

Spojrzałem jej prosto w oczy, żeby się upewnić, czy mówi poważnie. Jeszcze raz, ale ostrożniej zajrzałem do trumny.

- Butwiejące liście? Gnój? Kwaśny smród ziemi?... Pleśń? Ciężko stwierdzić - próbowałem szeptem opisać przenikliwy odór.

Dziewczyna z uznaniem pokiwała głową.

- Witamy w rzeczywistości, panie Abelson - powiedziała grubym głosem, siląc się na dowcip. - Drogi Dawidzie, jestem pełna podziwu dla twoich zdolności i cieszę się, że mogę rozszerzyć twoje skromne wiadomości o informację, że tak wspaniale pachnie tylko jedna istota we wszechświecie: żywiolak ziemi. Prawie jak perfumy Chanel N° 5. Co ty na to?

Z grymasem wstrętu na twarzy zrobiłem krok w tył.

- Mam zrobić jakieś zdjęcia? Tamara tylko pokręciła głową.

* * *

Podczas naszej nieobecności stojący przed miejscową karczmą harley-davidson zdążył przyciągnąć gromadkę dzieci. Dwóm umorusanym Cyganiątkom nawet udało się wdrapać na jego siedzenie.

Alan, przeklinając, wyskoczył z samochodu i zaczął rozpędzać zbiorowisko.

W tym czasie Tamara odłożyła do przegródki swoje dziennikarskie wyposażenie i z torby wiszącej po tylnej stronie siedzenia wyciągnęła jakieś papiery. Zaczęła w nich grzebać. Zanim znalazła to, czego szukała, Alan zdążył przegonić ostatniego chuligana, z powrotem założyć kurtkę i zapalić papierosa.

Ja stałem się dla nich jak niewidzialny.

W końcu obydwójce podeszli do maski saaba i rozłożyli na niej wielką mapę.

- Wygląda na pierwsze wejście w ciało - rozmyślała na głos Tamara pochylona nad płachtą, która pewnie pokazywała każdą kałużę w Słowacji. - Inaczej narozrabiałby już w nocy. Czas leci, a on się przyzwyczaja. Do wieczora będzie się czuć jak władca świata. Najpierw wróci i zaatakuje rodzinę. To jego pewne ofiary. Przynajmniej zazwyczaj tak się dzieje. Do tego czasu musimy go znaleźć.

Nie zauważyli nawet, że się do nich przyłączyłem i zerknąłem dziennikarce przez ramię.

Oczekiwałem czegoś w stylu szczegółowej mapy wojennej, ale zobaczyłem rysunek przypominający bardziej rzut projektu budowlanego. Kolorowe linie, pełno dziwnych znaków, różnych wymiarów i liczb. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim.

- Nie zaszedł daleko - kontynuowała Tamara. - Na razie schował się w cichym, bezpiecznym miejscu. Gdzieś blisko źródła, gdzie może w spokoju rozkoszować się swoją przemianą. Może wrócił tam, skąd przyszedł. Hm... Demon ziemi. W okolicy nie ma żadnych opuszczonych sztolni ani zmapowanych jaskiń. Jest tu święty gaj, ale wydaje mi się, że to za daleko. Góra...

Nagle wyprostowała się, ręką zasłoniła oczy przed blaskiem słońca i ze zwycięskim uśmiechem skierowała wzrok w kierunku samotnego wzgórza oddalonego od nas mniej więcej o trzy kilometry.

- Isten Domb. Powinam była pomyśleć o tym wcześniej!

Z ciekawością spojrzałem w tym samym kierunku.

Dziennikarka jak zwykle nie raczyła mi czegokolwiek wytłumaczyć. Z wprawą złożyła mapę i wsadziła ją za siedzenie.

Wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy z Seňi. Tym razem Alan wybrał swój motocykl.

- O czym miałaś pomyśleć wcześniej? - zdążyłem zapytać podczas krótkiej podróży. - Nie znam ani słowa po węgiersku.

- Isten Domb, czyli Boskie Wzgórze. Jedno z najstarszych miejsc pogańskiego kultu w okolicy. Znane również jako Balwankew, Kamienny Posąg. Nie słyszałeś o tym? - zapytała tak zdziwiona, jakby codziennie trąbili o tym w telewizji.

Pokręciłem głową.

Za chwilę saab i harley zaparkowały tuż obok siebie na skraju drogi z Koszyc.

- Jesteś gotowy na małą akcję policyjną? - Uśmiechnęła się do mnie, wyciągając z torebki cezetę i wciskając ją za pasek.

Niepewnie kiwnąłem głową.

- Więc chodź - powiedziała i wysiadła z samochodu.

* * *

We trójkę ruszyliśmy polem w stronę niskiego wzgórza mającego w oddali.

„Balwankew - łamałem sobie głowę. - Czy ciągle jestem w tym samym świecie, w którym się urodziłem? To przecież moje rodzinne strony! Dlaczego czuję się jak w zupełnie innym miejscu?”

Do głowy uderzyła mi adrenalina. Zaczynałem się bać.

- Nie potrzebujemy krzyża albo czegoś w tym rodzaju? - zaproponowałem nieśmiało.

- Jeśli jesteś ze mną, nie potrzebujesz - uśmiechnęła się Tamara.

Jeżeli dobrze zrozumiałem, to szukaliśmy mężczyzny, który wczoraj w nocy zmartwychwstał. Czy w tamtej chwili wierzyłem, że to możliwe? Raczej nie. Ale na zniknięcie trupa, tak samo jak na inne rzeczy, które od niedawna mi się przytrafiały, nie miałem lepszego wytłumaczenia. Dlatego z chęcią dzierżyłbym w ręce jakąś świętą relikwię, mimo że nie byłem praktykującym chrześcijaninem (bardziej takim połowicznym ateistą z otwartą furtką na wszelki wypadek), a cała moja wiedza o tych sprawach pochodziła z niskobudżetowych horrorów i niezbyt ambitnej literatury.

W końcu zadałem sobie kluczowe pytanie: „Dlaczego nie zostałem w aucie?”. Iluż to moich ulubionych bohaterów spotkało nieszczęście tylko dlatego, że nie chcieli wyjść na tchórzy? I po jakie лихо zachowuję się jak taki sam głupiec?! Westchnąłem. Człowiek nigdy niczego się nie nauczy...

Glina, po której szliśmy, była wilgotna i wstrętne przylepiała mi się do butów. Tamara miała zgrabne kozaczki, Alan glany. Przejście przez pole nawet w połowie nie sprawiało im takich trudności jak mnie. Ciągle musiałem ich doganiać, a przy tym próbować zapomnieć o przemoczonych skarpetkach. Dotąd miałem do czynienia z o wiele przyjemniejszym obcowaniem z naturą.

- Rozdzielimy się i spróbujemy go dopaść - powiedziała Tamara, gdy dotarliśmy do podnóża wzniesienia.

- Może być niebezpieczny? - zapytałem.

- Może.

- Co mam zrobić, jeśli będzie?

- Złap pierwszy lepszy przedmiot, który nawinie ci się pod rękę, i wal - zarechotał Alan. Wyciągnął z tylnej kieszeni własną broń i odbezpieczył.

- Wy dwaj pójdziecie razem - rozkazała z powagą dziewczyna. - Wejdziecie na szczyt od tej strony, a zejdziecie z drugiej. Ja obejdem wzgórze dookoła. Spotkamy się po przeciwnej stronie.

Chłopak zaczął wchodzić po stromym zboczach, a ja powoli lałem za nim. Zabłocone buty niebezpiecznie ślizgały się po mokrej trawie, a ciernie niewiarygodnie upierdliwych krzaków na każdym kroku testowały jakość mojej skóry i odzieży. Poza tym przy każdej okazji Alan naumyślnie puszczał gałęzie, żeby boleśnie uderzały mnie w twarz. Dobrze się przy tym bawił.

„Gdybym tylko miał spluwę... Ale ze mnie frajer...” Uświadomiłem sobie, że znowu jestem o niego zazdrosny. Normalnie podobna myśl nie przyszlaby mi do głowy. Z całego

serca nienawidziłem broni. Od dzieciństwa podświadomie czułem do niej wstręt. Później w wojsku miałem okazję to udowodnić. Pozostali rekruci cieszyli się z otrzymanych Sa pięćdziesiątek ósemek, z czułością je czyścili, nielegalnie gromadzili do nich naboje, a po awansie do straży wojskowej byli z nich dumni jak pawie. Ja odstrzelałem tylko to, co musiałem. Gdy nikt nie widział, robiłem w tarczach dziury ołówkiem, w ten sposób oszczędzając pieniądze podatników. Zawsze trzymałem się z dala od tych niebezpiecznych, powodujących śmierć maszyn. Dzięki idealnej symulacji u lekarza wymigałem się od ćwiczeń na Lešti³, a to - jeśli wolno mi wyrazić swój osobisty pogląd - nauczyło mnie o życiu o wiele więcej.

Chociaż w tej chwili nie byłem tego taki pewien... Prędko wdrapaliśmy się na szczyt i szybkim spojrzeniem obrzuciłem okolicę. Wzgórze miało specyficzny kształt mogiły i chociaż nie było zbyt wysokie, mogłem zobaczyć z niego odległe tereny. Wbrew nazwie nie stał tu żaden kamienny posąg, co nie znaczyło oczywiście, że nie było go w przeszłości. Przez chwilę wydawało mi się, że na własnych barkach dźwigam cały ciężar minionych wieków. Epok, podczas których ludzie kierowali swój pobożny wzrok w stronę Balwankewu. Rzeczywiście, to było bardzo specyficzne miejsce.

Alan nie zachwycał się pięknem przyrody i prawie od razu zaczął schodzić ze wzgórza. Znowu musiałem go doganiać. Droga w dół była o wiele cięższa niż wejście na szczyt. Prawie biegłem, zmuszony w dodatku do ciągłego kluczenia między krzakami. Co chwilę traciłem równowagę na mokrej trawie i kłamię pod nosem. Myśląc tylko o tym, żeby nie upaść, błędnie zidentyfikowałem ciemny poruszający się przede mną cień jako skórzaną kurtkę Alana. Tymczasem był to garnitur, w który ubrali nieboszczyka do trumny. Gdy zrozumiałem swoją pomyłkę, było już za późno.

Nie mogłem zapobiec katastrofie. Poślizgnąłem się i wpadłem na niego od tyłu. Tak mocno pchnąłem pana Parzivala, że biedak stracił równowagę i przekoziółkował w najbliższy gąszcz. Obydwaj krzyknęliśmy. Ja ze strachu. On chyba też.

Nagle usłyszałem trzask gałęzi, szybkie dudniące kroki i warczenie. Leżałem głową w dół, więc byłem trochę zdezorientowany. Nie umiałem określić, w jakim kierunku przemieszcza się ten rumor. Serce zamarło mi z przerażenia.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że kroki oddalają się w panicznej ucieczce, i odetchnąłem z ulgą.

Niecałą minutę później usłyszałem krzyk Tamary. Musiała być niedaleko, tuż pod

³ *Lešti* - miejscowość i znany poligon wojskowy w południowej części Słowacji istniejący jeszcze przed II wojną światową.

wzgórzem. Nie rozumiałem, co krzyczała, ale brzmiało to bardziej jak groźba niż wołanie o pomoc. I wcale mnie to nie zaskoczyło.

Wtem usłyszałem strzał.

Od razu byłem na nogach i ostrożnie, z duszą na ramieniu, schodziłem w kierunku Tamary.

- Nie strzelać! To ja! - krzychałem, przedzierając się przez krzaki.

W dzieciństwie razem z ojcem brałem udział w polowaniach i to hasło, tak samo jak wielu naganiaczom, nieraz uratowało mi życie. Może stąd niechęć do broni?

Na pole udało mi się zejść szybciej niż Alanowi. Tuż przed sobą zobaczyłem Tamare, która stała nad mężczyzną w czarnym garniturze rozpostartym na ziemi. Rękami kreśliła w powietrzu dziwne wzory i coś szeptała. Mężczyzna rozpaczliwie próbował się czołgać, ale utrudniały mu to przestrzelone kolana. Jeżeli przypadkiem zdołał pokonać choćby centymetr, Tamara niemiłosiernie przyciągała go z powrotem. Gdy podszedłem wystarczająco blisko, aby zobaczyć jego twarz - tę samą, którą niedawno widziałem na fotografii w jadalni u Parzivalów - zaczął się trząść i miotać jak epileptyk.

- ...odejź! - usłyszałem ostatnie słowo zaklęcia Tamary.

Potem zobaczyłem coś, po czym ludzie zazwyczaj przecierają sobie oczy i policzkują się nawzajem, żeby sprawdzić, czy nie postradali zmysłów.

Trup zamarł w bezruchu, a przez rozdziawione usta wyleciała z niego mała bezkształtna zjawa. Parę razy przeokoziółkowała w powietrzu, a potem po prostu zapadła się pod ziemię. Na chwilę całą okolicę wypełnił wstrętny kwaśny odór - ten sam, który czułem z trumny, i znów poczułem, jakby ktoś uderzył mnie w twarz. Odruchowo złapałem się za ponownie zaatakowany organ węchu i sprawdziłem, czy nie nastąpił krwotok. Wszystko było w porządku. Świat nie wywrócił się do góry nogami, a przemoczone buty wyraźnie potwierdzały, że tym razem nie ma mowy o żadnych przewidzeniach albo halucynacjach.

Mimo to przez dłuższą chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

* * *

Dopiero gdy pojawił się Alan, całkiem doszedłem do siebie.

- Złapałaś go? - zapytał.

- Już zniknął - przytaknęła Tamara.

- Jesteś niezastąpiona! Co z ciałem? Spalimy je?

- Nie wiem. Chyba tak...

- Chcecie spalić ciało? - wtrąciłem się do rozmowy.

- Przykro mi. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Nie możemy ryzykować, że żywiołak do niego wróci.

- Ale spalić?! - zaprotestowałem. - I co chcecie powiedzieć dzieciom? Że ten popiół rozsypany pod wzgórzem to ich ojciec?

- Wysłuchajmy fachowca - powiedział prześmiewczo Alan, chowając broń. - Masz inny pomysł?

- Nie wiem - warknąłem z rozgoryczeniem. - Czemu by nie spróbować czegoś bardziej zwykłego, na przykład czosnku do ust albo osikowego kołka wbitego w serce? To nie wystarczy? Nie byłby to o wiele przyjemniejszy widok, ale chociaż te dziewczynki nie zapamiętałyby ojca jako zwęglonego skwarka. Czy naprawdę takie rzeczy nie działają?

- Działają - przyznała Tamara z poważną miną. - Na swój sposób. Tak samo jak woda święcona, różańce, hostia, krucyfiks i tym podobne rzeczy. Chyba że...

- Jestem za osikowym kołkiem! - przerwał jej Alan, wybuchając dzikim śmiechem. - Znajdź osikowy kołek, a zrobimy to po twojemu!

Ze złością rozejrzałem się, czy gdzieś w pobliżu nie rośnie osika, żebym mógł wskazać drzewo palcem i w ten sposób zatkać tę jego wykrzywioną w uśmiechu gębę. Moją sytuację pogarszał jednak fakt, że dokładnie nie wiedziałem, jak wygląda osika. Rozpaczliwie szukałem brzozy, która nie wygląda jak brzoza - nic więcej o tym gatunku roślin nie było mi wiadome. Bez skutku!

- Dawid ma rację - poparła mnie Tamara. - Będzie lepiej, jeżeli policja odnajdzie ciało, niż jeśli je spalimy i rozsypiemy popiół po składowisku śmieci. Tylko ze względu na rodzinę. Trupa zabezpieczymy za pomocą standardowego magicznego rytuału. Zazwyczaj to tylko zbyteczne marnowanie energii, myślę jednak, że teraz okoliczności tego wymagają.

- Ma przestrelone kolana! To nie zepsuje rodzinie humoru?! - rzucił z sarkazmem Alan.

- A to już zmartwienie policji - odparła dziewczyna i nachyliła się nad ciałem. - Trupa znaleźliśmy w takim stanie, w jakim go widzicie. Jasne?

- Balistyka nie popuści. Tajniaków będzie interesować pochodzenie naboju. Zwałą na nas zbezczeszczenie ciała - upierał się chłopak.

Tamara przesłała mu tylko figlarny uśmiech i pokręciła głową. - Nie zwałą...

* * *

- Zjemy kolację i zaraz potem zajmę się tobą, dobrze? - zapytała Tamara, gdy już

wróciliśmy do jej mieszkania.

Przez chwilę rozmyślałem, czy kiedykolwiek ktoś byłby w stanie odmówić tej kobiecie. A jeśli, to czy długo by pożył.

Obserwowałem ją, jak dzisiaj w Seňi rozmawiała z policjantami, śledczymi i biedakami, którzy musieli wziąć nosze na własne barki, przejść przez pole i zanieść ciało z powrotem do domu Parzivalów. Z miejsca wymyśliła własną wersję wydarzeń o nieznanym psychopacie. Pstryknięciem palców wbiła ją wszystkim do głowy, potem podyktowała protokół, rozdzieliła zadania i zanim ktokolwiek zdążył się opamiętać, już nas tam nie było.

W porównaniu z tym poranna scena w szpitalu wydawała się amatorskim przedstawieniem z ospałymi aktorami wobec Opery Narodowej. Był to mistrzowski monodram Tamary - bo Alan przezornie zniknął jeszcze przed pojawieniem się policji.

Usiadłem za kuchennym stołem i nareszcie mogłem w spokoju zająć myśli pytaniami gnębiącymi mnie od południa. Muszę przyznać, że od tego czasu trochę ich przybyło.

Tamara nie wysiliła się, aby ugotować coś wykwintnego. Przyrządziła makaron, przygrzała mieszankę pokrojonych pomidorów i fasoli z puszki, po czym błyskawicznie nałożyła to na talerze. Jedzenie ładnie pachniało, pani domu rzuciła się na nie z wilczym apetytem ale ja tylko rozgrzebywałem makaron widelcem.

- Chcesz trochę wina? - Dziewczyna na chwilę wstała i wyciągnęła z kredensu zieloną butelkę.

- Kropelkę - poprosiłem.

Krwistoczerwony płyn z szumem wypełnił dwa kieliszki.

- Masz nastrój na parę pytań? - zapytałem.

- Parę chyba wytrzymam. - Kiwnęła głową i z powrotem usiadła naprzeciwko mnie.

- Hm, tak więc... kim właściwie jesteś? - Złączyłem dłonie i łokciami oparłem się o stół. - Oczywiście prócz tego, że jesteś dziennikarką, rewolwerowcem i prywatnym detektywem.

- Jesteś pewien, że naprawdę chcesz wiedzieć? - Tamara wróciła do jedzenia, bacznie mi się przyglądając. - Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że za kilka minut wybawię cię od przekleństwa, które przypadkiem na ciebie rzucono. W końcu szczęśliwie wrócisz do domu. Będziesz mógł wszystko zacząć od tego miejsca, w którym przez pomyłkę zmienił się bieg wydarzeń. Wystarczy niewiele: zapomnieć o tym, co w międzyczasie widziałeś i słyszałeś. Zignorować to i wrócić do codziennej rzeczywistości. Do normalnego życia, jakie wiodłeś do tej pory. Wierz mi, że gdy nie zadaje się pytań, często jest o wiele łatwiej żyć.

Pokręciłem głową.

- Już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Przykro mi. Nie należę do ludzi, którzy potrafią

łatwo o wszystkim zapomnieć. Jest już za późno. Nie umiem uciszyć pytań kłębiących się w mojej głowie. Prześladowałyby mnie już do końca życia. Chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, co dzieje się z tym światem. Mam wrażenie, jakby od wczoraj zgłupiał. Prawda jest jednak inna: już dawno zwariował, tylko ja zauważyłem to dopiero teraz. Nie potrafię przymknąć na to oczu. Odpowiesz mi?

- To są bardzo poważne sprawy - powiedziała ze zmarszczonym czołem, ale w jej oczach dostrzegłem rozbawienie. - Jednak nim zaczniemy rozmawiać, powinnam najpierw zaproponować ci dwie tabletki. Okrutną prawdę w czerwonej kapsułce albo bezbolesne zapomnienie w niebieskiej.

- Oglądasz zbyt wiele filmów - roześmiałem się. - Więc jak będzie?

- Tej drugiej tabletki nie mam...

- Heh, fajnie. Cieszę się.

- Dobrze - westchnęła i zwilżyła winem gardło, żeby lepiej jej się rozmawiało. - Kim właściwie jestem? Należę do Wtajemniczonych. Nazywa się tak ludzi, którzy, parafrazując ciebie, zrozumieli, w jaki sposób zwariował świat. Pojęliśmy jego wyższe prawa i nauczyliśmy się sobie radzić ze sprawami pochodzącymi nie z tego świata. Oczywiście stopniowo. Ty wdepnąłeś w to zbyt szybko i nic jeszcze nie rozumiesz.

- Trafny opis. Pomożesz mi odnaleźć jakiś porządek w tym syfie?

- Już powiedziałam ci, jak wszystko wokół nas jest urządzone. Uprościmy to. Wyobraź sobie, że każda rzecz we wszechświecie, żywa albo i nie, składa się z dwóch części: materialnej i astralnej. Niższej i wyższej. Fizycznej i hm... drugą nazwiemy duchową. Sęk w tym, że podczas gdy niewtajemniczeni, czyli zwykli ludzie, tacy jak ty, potrafią żyć tylko w tym pierwszym świecie, my, Wtajemniczeni, zawsze widzimy oba i z oboma potrafimy się obchodzić.

- Magowie i czarownice.

- Czarnoksiężnicy, czarodzieje, czarownicy, wiedźmy. Możesz również nazwać nas szamanami albo księżmi. Oni też mają z tym do czynienia, ale używają trochę innych środków. Zostaniemy przy Wtajemniczonych, dobrze?

- Hmm. Ciekawy zawód. Z takimi zdolnościami trzeba się urodzić?

- Nie, można się tego nauczyć. Ale geny i pewne predyspozycje też odgrywają ważną rolę.

- Ta dziewczyna w dredach. Ta ze szpitala. Też należy do Wtajemniczonych?

- Petronela? Tak.

- A ten młodzieniaszek z kokiem na głowie?

- Nie. To mój asystent, Bronek. Podobny przypadek do twojego.
- A Alan?
- Też wtajemniczony, ale nie jest członkiem Stowarzyszenia.
- Stowarzyszenia?
- Następne pytanie.
- Hm... - „Od razu wszystkiego się nie dowiem” - pomyślałem. - Dobrze, idziemy dalej: co z demonami?

Na twarz Tamary wypłynął złośliwy uśmiech.

- Gdzie się podział nasz sceptyk? „Załóżmy, że ten mężczyzna w prochowcu nie był zwykłym człowiekiem” - przedrzeźniała mój głos.

Roześmiałem się, ale po chwili ze wstydem spuściłem wzrok.

- Temat na parusetstronicową monografię. Od czego by tu zacząć? Hmm... - zamyśliła się. - Święty Bernard napisał o nich piękne zdanie: „Jest ich więcej niż gwiazd na niebie, niż ludzi na ziemi, niż piasku w morzu”. Mają setki nazw. Roi się od nich w bajkach, pogańskich i współczesnych mitach, w legendach. Żadna z nowoczesnych religii nie może ich ignorować. Dostojnicy kościelni zmienili je w anioły, archanioły, cherubiny, serafiny i diabły... Tomasz z Akwinu i kabała podzielili demony na siedemdziesiąt kategorii i skatalogowali. Każdy według swego gustu. Nie, żeby to coś zmieniło... Przychodzą z drugiej strony, a ich istoty nie tworzy ciało materialne, lecz astralne. Ich domem jest świat astralny, na jego obszarze żyją, rozmnażają się i umierają. Są długowieczne. Niektóre dożywają setek lat. Nie są jednak zupełnie odcięte od świata materialnego. Antyczni filozofowie mówili o nich jako o elementach lub elementarnych istotach, ponieważ, chociaż są czysto niematerialne, to zawsze połączone z jednym elementem.

- Elementem? - nie zajarzyłem od razu.
- Cztery żywioły: ogień, woda, ziemia, powietrze...
- Aha, jasne! Przepraszam, Platon nigdy mi nie podchodził.
- Empedokles i Arystoteles - poprawiła mnie.
- No widzisz, kiedy ja chodziłem do szkoły, zamiast etyki i filozofii uczyliśmy się o Marksie i Leninie...

Sądząc po krótkim wybuchu śmiechu i błysku w oczach, musiałem naprawdę ją rozbawić.

- Następną rzeczą, która łączy żywiołaki ze światem materialnym, jest sposób odżywiania - kontynuowała. - Tak jak my konsumujemy stworzenia niższego rzędu, które oferują nam całą plejadę substancji odżywczych, bez których byśmy umarli, tak samo one są zależne od

substancji, która jest częścią ludzkiego ciała astralnego. Nazywamy ją mana, ambrozją, pokarmem bogów, ale równie dobrze możesz określić ją jako życiową energię albo indywidualne fluidy. Nikomu nigdy nie udało się odkryć, czym dokładnie to jest. I właśnie na tym polega fundament naszego współżycia. Żywiołaki mogą zdobywać manę przemocą albo dostać ją, wyświadczając jakąś przysługę. Obydwa sposoby są równie często stosowane. Istnieją ludzie, i to nierzadko wywodzący się z kręgów Wtajemniczonych, którzy dobrowolnie karmią żywiołaki ofiarami, a w zamian za to korzystają z ich zdolności. Żywiołaki, które nie mają tego szczęścia, muszą zdobywać manę starym sposobem. Należą do nich łowcy i wampiry. Istnieje wiele możliwości dobrania się do ofiary: od prymitywnego zabijania i wysysania krwi, przez molestowanie seksualne, aż po skomplikowaną przemoc psychiczną. Wiele żywiołaków z tej grupy stara się ułatwić sobie męczące zdobywanie many, wykorzystując do tego najróżniejsze metody. Jednym z nich jest tymczasowe lub trwałe zawładnięcie materialnym ciałem. Nie należy to do łatwych czynności, wymaga sporej dawki magicznej energii. Początkujący oraz biedniejsi często próbują wejść w niezabezpieczone trupy albo martwe przedmioty. I potem biegają nam po świecie rewenanci i golemi.

- Tacy jak ten, którego widzieliśmy dzisiaj?

Kiwnęła głową.

- Bardziej doświadczone i posiadające większe zdolności magiczne demony potrafią z żywiołu, do którego są przypisane, stworzyć prawdziwe ciało materialne, używając do tego własnej wyobraźni. Ale utrzymywanie go w całości wymaga wielkiej dawki energii, przez co ich apetyt ciągle rośnie...

- Brzmi to przekonująco i logicznie, ale ciągle pozostaje zasadnicze pytanie... - wątpliwości wciąż wierciły mi dziurę w brzuchu - jak to możliwe, że do tej pory ich nie spotkałem?

- Ależ spotkałeś! - uśmiechnęła się Tamara. - Tylko że twoje zmysły i twoja wiedza na ten temat nie osiągnęły odpowiedniego poziomu, aby we właściwy sposób rozpoznać i ocenić spotkanie. Istoty astralne są wszędzie. Codziennie w tramwaju możesz poczuć na plecach ich oddech, a w kinie celowo siadają naprzeciwko ciebie. W mieszkaniach nieustannie rozrabiają duchy domowe: powodują zacinananie się wind, chowają pocztę, rozbijają żarówki w piwnicy. Nieraz do niejednej łazienki zawędruje wodnik lub inna wredna hołota. Zostawi na całą noc odkręcone kurki albo złośliwie oparzy gorącą wodą biorącą prysznic gospodynię domową.

- Zabawne. Fajnie, ale co się w takim razie zmieniło?

- Dzieci do siódmego roku życia prawdopodobnie potrafią w naturalny sposób dostrzegać świat astralny. Nie wiem, ile jest w tym prawdy. W każdym razie ja ze swojego ubożego

dzieciństwa niczego podobnego sobie nie przypominam. Jeżeli chodzi o dorosłych, to niewtajemniczeni mogą zobaczyć żywiołaka na dwa sposoby. Po pierwsze, gdy demony same zdecydują się ujawnić.

Tak jak wspomniałam, nierzadko bywa tak wtedy, gdy mają swoje ofiary w garści i nie może im przeszkodzić w odebraniu im many. Po drugie, może to spotkać niewtajemniczonych, którzy, chcąc nie chcąc, w jakiś sposób zetknęli się z magią i ta wyostrzyła im zmysły. Ty miałeś szczęście stać się ofiarą obydwu przypadków.

- Szczęście, hmm... Jeżeli miałyby to zależeć ode mnie, w przyszłości najchętniej uniknąłbym podobnych doświadczeń. Kontynuujmy... Strzelałaś do obydwóch demonów, z którymi miałem przyjemność się spotkać. Czy tak łatwo można je zabić?

- Jeżeli chcesz pokonać żywiołaka, musisz zająć się materialną i astralną częścią jego ciała. Z tą pierwszą zazwyczaj nie ma problemu. Jeżeli żywiołaka nie chroni żadna specjalna magiczna osłona, wystarczy nóż albo kulka w łeb. Wcale nie musi być srebrna, bo pod tym względem nie różnią się od ludzi. Część astralna to już zupełnie inna sprawa. Mamy wówczas do czynienia z czystą magią. Nawet najsilniejszym Wtajemniczonym bardzo często trudno jest definitywnie zlikwidować demona. Zamiast tego staramy się przynajmniej zakazać im powrotu do ciała. Większość z nich rezygnuje. Dlatego spalanie albo magiczne zabezpieczenie zwłok...

- Albo czosnek lub osikowy kołek...

- Widziałeś, jak to dzisiaj zrobiłam. Zażądałam wykorzystania łagodniejszego i mniej drastycznego sposobu. Ale nikt nie powinien wyśmiewać się z ludowej magii. Jest z nami od zarania dziejów. Każdy powinien mieć szacunek do pradawnych wierzeń, chociaż z dzisiejszego punktu widzenia mogą wydać się śmieszne i niezrozumiałe. Wszystko działa: czosnek, srebro, kości przodków włożone do kieszeni, żelazo obrobione ludzką ręką, krzyże, hostie i różańce... To są tylko rzeczy, ale wierz mi, że wiara w ich moc ma taką samą magiczną siłę jak zaklęcia Wtajemniczonych...

* * *

Słuchałem jej z zafascynowaniem. Słowa rozbrzmiewały w mojej głowie i odkrywały coś, co dotąd było ukryte głęboko w podświadomości. Nie tylko zacząłem wierzyć Tamarze, ale czułem, jak budzi się moja pierwotna pamięć i wydostaje spoza kurtyny zapomnienia. Jeszcze długo po tym, jak skończyła swą opowieść, przetrawiałem pojedyncze zdania, z powrotem wracałem myślami do wydarzeń, uporządkowywałem sobie fakty i wstępnie

oceniałem moje miejsce w nowej rzeczywistości.

W zamyśleniu patrzyłem nad głową dziewczyny na zachodzące słońce i piłem wytrawne czerwone wino.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy znów zakreśliło mi się w głowie. Nagły płacz wszystkich przedmiotów dookoła mnie podstępnie wpadł mi do głowy i pomieszał myśli. Po chwili zaatakował ze zdwojoną siłą. Zrzuciło mnie z fotela. Z nosa ciekła mi krew.

Mocno zatkałem rękami uszy, ale rozpaczliwe głosy wołające o pomoc z łatwością opanowały mój umysł. Kuchenny kredens krzychał barytonem mężczyzny, który podczas rzeźbienia skaleczył palce. Ściana szlochała głosem kobiety, nad którą przez wiele miesięcy znęcał się mąż. Fotele zaskrzypiały jękiem płonącego lasu. Z chodnika pod oknem dochodził krzyk pijaka, z którym zabawiała się banda łysych. Potem zostawili go, aby wykrwawił się na ulicy, a ludzie omijali go ze wstrętem. Gdzieś z daleka dobiegał skowyt umierającego psa, którego przejechał samochód, oraz poruszające serce piski głodnych ptaków, które zamarzyły zeszłej zimy.

Tamara momentalnie znalazła się przy mnie. Gdyby nie ona, na pewno tak jak wczoraj straciłbym przytomność.

- Do diabła, do diabła, do diabła! - zaklęła. Jedną ręką przyłożyła mi pod nos serwetkę, a drugą mocno naciskała na czoło, rysując nad łukiem brwiowym ochronne znaki.

Chwilę trwało, zanim z jej pomocą udało mi się podnieść z podłogi i usiąść z powrotem w fotelu.

- To dlatego, że przedłużyliśmy rozmowę - warknęła.

Kazała mi siedzieć z odchyłoną do tyłu głową, po czym szybko wyszła do pokoju gościnnego.

Tylko wzruszyłem ramionami, zmieniłem serwetkę i przez otwarte drzwi obserwowałem, jak zasłania żaluzje, zaciąga zasłony, odsuwa stolik, na środek pomieszczenia przesuwa tapczan, nakrywa go białą kapą i zapala grube świece w wielkich świecznikach.

- Jeszcze krwawisz? - zapytała po powrocie do kuchni.

Sprawdziłem zaschnięte plamy na chusteczce i pokręciłem głową.

- Więc chodź! - Chwyliła mnie pod ramię, wciągnęła do pokoju obok i położyła na tapczanie.

Na myśl o białym całunie trumny mimowolnie się wzdrygnąłem.

Tymczasem Tamara zamknęła drzwi kuchenne, zgasiła wszystkie światła i uklękła na macie obok taboretu. Zapatrzyłem się w sufit. Próbowałem odzyskać jasność umysłu. Wychodziło mi to bez problemów. Właściwie nie miałem już czego wyrzucać z pamięci.

Czułem się jak człowiek po dwudziestokilometrowym biegu, który ledwo jest w stanie złapać oddech, a mózg ma tak ogłupiały, że nie potrafi sobie przypomnieć, co jadł na śniadanie. Resztę pozostawiłem w rękach dziewczyny.

* * *

Cała procedura trwała prawie godzinę. Na koniec zerknąłem na Tamarę. Sądząc po wyrazie jej twarzy, było oczywiste, że uzdrawianie nie wypadło najlepiej.

Siedziała na macie rozłożonej obok tapczanu. Głowa opadła jej na ramię zwisające bezwładnie z poduszki tuż przy moich nogach. Znowu bezmyślnie gapiała się w przestrzeń. Była zdenerwowana.

- I jak? - starałem się, aby w moim głosie zabrzmiała odrobina nadziei.

Z trudem przeniosła na mnie wzrok i westchnęła.

- Nie wychodzi mi. Nie potrafię tego z ciebie wyciągnąć.

Słyszając ten pełen rozpaczy ton, wywnioskowałem, że naprawdę jest źle.

- Co teraz będzie?

Zamiast odpowiedzieć, podniosła się i wyszła do kuchni. Nalała sobie następny kieliszek wina, a potem wypła go duszkiem. Zamyśliła się na chwilę, wreszcie zamknęła drzwi i wyszła. Przez półmatową szybę widziałem, jak podnosi słuchawkę. Rozmawiała z kimś przez parę minut, jednak znowu nie rozumiałem ani słowa. Zauważyłem tylko, że raz po raz musi coś wyjaśniać, tłumiąc przy tym emocje i rozdrażnienie w głosie.

Kiedy skończyła, wróciła do pokoju gościnnego. Długo patrzyła na mnie ze smutkiem w oczach.

- Jeszcze mi się coś takiego nie przydarzyło. - Kręciła z niedowierzaniem głową. - Wcześniej nie spotkałam się z niczym podobnym... Ale nic straconego, Dawidzie. W drodze wyjątku zabiorę cię jutro do ludzi, którzy są bardziej doświadczeni w tych sprawach.

Odniosłem wrażenie, że przede wszystkim chce przekonać samą siebie. Usiadłem.

- Powiniennem iść do pracy.

- Zapomnij o tym. Na razie nie musisz się tym przejmować. Zostałeś oficjalnie wypisany ze szpitala i masz tydzień zwolnienia. O wszystko zadbali Bronek i Petronela.

- Dzięki. Dzięki za wszystko - z zakłopotaniem kiwnąłem głową. - Ale i tak... jest już dosyć późno. Chyba powiniennem iść do domu i porządnie się wyspać. Potrzebuję tego.

- Prześpisz się tutaj. W takim stanie nigdzie cię nie puszczą.

Odwróciła się i z półki na pościel wyciągnęła poduszkę i koc. Byłem zbyt wyczerpany,

żeby zaprotestować.

- Mam ci dać coś do przebrania?

- Nie - pokręciłem głową. - Wystarczy szpitalna piżama.

Starła się uśmiechnąć.

Rozciągnąłem wargi w tak samo nieudanym grymasie.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Przyciągnąłem do siebie torbę i wyjąłem z niej piżamę. Zanim się jednak przebrałem i położyłem, ściągnąłem z łóżka wykrochmalone białe prześcieradło.

* * *

Po naprawdę męczącym dniu ogarnęło mnie oczekiwane zmęczenie. Mimo to sen wciąż nie nadchodził. Leżałem z rękami założonymi pod głową i wpatrywałem się w błędzące po pokoju cienie.

Na ścianie tykał starodawny zegar z wahadłem, taki sam, jaki kiedyś miałem w domu. Głębokie ding-dong odmierzało mijające sześćdziesięciminutowe odstępy czasu. Duża wskazówka znów zbliżyła się do pełnej godziny.

Liczyłem uderzenia.

Jedenasta.

I znowu to monotonne tykanie.

Po paru minutach zadzwonił telefon.

Słyszałem, jak Tamara otwiera drzwi swojego pokoju i zataczając się, idzie w stronę kuchni. Wyobraziłem sobie, jak po ciemku zawiązuje sobie szlafrok, przeciera oczy i wyciąga rękę po słuchawkę.

- Słucham? - dobiegło mnie jej wyraźne pytanie. Tym razem drzwi kuchenne została otwarte. - W porządku, jeszcze nie spałam. Mów...

Cisza. Tylko nerwowy oddech.

- Naprawdę?

W zaspanym głosie Tamary przez chwilę dało się słyszeć prawdziwy zapach.

- Boże, Bronek, pocieszyłeś mnie! Jeśli to prawda, wygląda na to, że w końcu go mamy. Wspaniała wiadomość. Przynajmniej jedna dzisiaj... Jutro rano? Mam pracę, muszę iść z Dawidem Abelem do Stowarzyszenia...

Znowu cisza.

- Wszystko jedno. Nie pytaj, dobrze? Ale po drodze wpadnę do ciebie. Chcę to zobaczyć, OK? O ósmej, tak? Trzymaj się.

Odwiesiła słuchawkę i jeszcze przez chwilę stała przy telefonie, jakby się nad czymś zastanawiała.

Potem wróciła do swojego pokoju.

Więc mamy iść do Stowarzyszenia...

To była ostatnia myśl, która tego wieczoru przebiegła mi przez głowę.

* * *

Gorąc, ciężkie duszne powietrze i smród.

Niski sufit. Odrapane ściany z cegieł. Brudna kamienna podłoga. A na niej ogromna dziesięcioramienna gwiazda.

Siedziałem w samym środku tego magicznego symbolu na czymś, co do złudzenia przypominało krzesło elektryczne. Byłem unieruchomiony kajdanami i związany powrozami. Ze strachem patrzyłem na bladą, nieprzyjazną twarz osłoniętą kapturem.

Tajemniczy mężczyzna przez chwilę uważnie mi się przyglądał, potem z zadowoleniem kiwnął głową i dał znak komuś stojącemu poza zasięgiem mojego wzroku.

Z tyłu zadudniły czyjeś kroki, a na ramieniu poczułem wielką, umięśnioną rękę.

- Chcesz coś powiedzieć, zanim zaczniesz przesłuchanie?

Obróciłem głowę, a mój wzrok natrafił na dwa ciemne otwory w szpiczastej, czerwonej głowie jakiejś przerażającej kukły.

Zmroziło mnie i mimowolnie zadrżałem.

- Jeśli nie, nie będziemy dłużej zwlekać. Ojciec Torquemada...

Przywołany mnich dumnie się wyprostował i złożył ręce.

- Szczęść Boże, senior starosto - powitał mnie z należyтым szacunkiem. - Znaleźliśmy się w wyjątkowej sytuacji, jako obywatelowi miasta Toledo powierzono mi ponowne zweryfikowanie oskarżenia, które złożono w twojej sprawie. Sąd świecki nie podolał wyznaczonemu zadaniu, więc członkowie rady miejskiej zwrócili się do sług bożych i kościelnych urzędów. Święta inkwizycja wspaniałomyślnie przyjęła prośbę i mianowała mnie głównym śledczym. Ja jednak nie będę zajmować się twoimi uczynkami. Do mojego zadania należy ocena twojej czystości moralnej. Jeśli głębia twojej duszy nie została skalana, wszystkie ziemskie grzechy mogą ci być odpuszczone.

Odetchnął i mówił dalej:

- Będziesz musiał dowieść swej głębokiej pokory i niezachwianego posłuszeństwa Bogu, aby potwierdziła się twa nieskazitelność. Głosy o twoim zgniłym wnętrzu docierają we wszystkie strony świata i istnieje mało dowodów świadczących na twą korzyść. Zwołałem wszystkich twoich kusicieli, grzeszniku. Siedzą na zewnątrz okręgu, poznajesz ich?

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i dostrzegłem, jak z cienia za każdym ramieniem gwiazdy wynurza się sylwetka jakiejś piekielnej istoty usadowionej na tronie.

- Nahema, demon nieczystości - Torquemada zaczął mi je przedstawiać - królowa nieprzyzwoitości i rozpusty Lilith, kuglarz Dramelech, zwiastun śmierci Baal, wieczyste zwątpienie Belfegor, władca gniewu Asmodeusz, ośła głowa Astarot, Lucifuge absurdalny, władca much i kłamca Belzebub, w końcu wieczny głód, sam Szatan i Moloch, bunt i anarchia stłoczone niewygodnie na jednym krześle. Poznajesz ich, grzeszniku?!

Z przerażeniem wytrzeszczałem oczy. To było niewiarygodne. Ktoś musiał podać mi jakiś narkotyk. Bo inaczej skąd wzięłyby się te potwory? Rezolutnie potrząsnąłem głową.

- Ale my dowiemy się prawdy... Na wszystko przyjdzie czas - usłyszałem.

Zanim uświadomiłem sobie powagę groźby, okrutny kat siłą rozwarł mi prawą dłoń, przydeptał ją ciężkim butem, a mały palec, który pozostał wyprostowany, wsadził między zardzewiałe kleszcze.

- Powiedz grzeszniku, czy oprócz naszego jedyne Boga wyznawaleś innych i oddawałeś im cześć? - syknął fałszywie Torquemada.

- Nigdy nie wyznawaleś innych bogów - odparłem stanowczo.

- Nieprawda! - Mnich splunął mi w twarz, a kat niemiłosiernie zacisnął kleszcze.

Wrzasnąłem z nagłego bólu i nie wierząc własnym oczom, spojrzałem na sterczący na końcu dłoni kikut.

Nienasycona gardziel kleszczy przesunęła się na następny palec.

- Powiedz, grzeszniku, ile razy wymawiałeś imię Pana Boga swego nadaremno?

- Nie macie prawa!

- Odpowiedz!

- Nie macie prawa! Szczęk kleszczy.

Palec serdeczny upadł na zakurzoną podłogę. Krew wytrysnęła niczym fontanna i ciurkiem ściekała po drewnianym oparciu, tworząc mi pod nogami rubinową kałużę.

- Aaaaaaauuuuuu!!! Przestańcie! - wrzasnąłem na całe gardło.

Ale moi prześladowcy zignorowali krzyk. Nie pozwolili mi nawet zaczerpnąć tchu.

- Powiedz, grzeszniku - kontynuował Torquemada z kamienną twarzą. - Czy pamiętałeś, aby dzień święty święcić?

- *Tak, pamiętałem - warknąłem przez zaciśnięte zęby.*

- *Nieprawda!*

Oprawca obciął następny palec.

- *Czcileś ojca swego, matkę swoją?... zabijałeś?... cudzołożyłeś?... - następne pytania docierały do mnie niczym echo. Cały mój świat był pełen bólu i rozpacz. Miotalem się uwieczony w kajdanach.*

Ale tylko przez chwilę. Dopóki starczyło mi sił. Potem już nie protestowałem, tylko błagałem szeptem i podnosiłem cichy lament.

Wszystko na darmo.

- *Kłamałeś? Falszywie świadczyłeś przeciwko bliźniemu swemu?*

Dziesięć boskich przykazań. Jedno na każdy palec, jak mówiła moja babcia.

- *...pożądałeś żony bliźniego swego... A jakiegokolwiek rzeczy, która jego jest?*

Moje odpowiedzi nic nie znaczyły. Liczył się tylko mój majątek, klejnoty i pieniądze, na które ostrzyła sobie zęby banda nienazartych kruków.

„Przeklinam ich do dziesiątego pokolenia!!!” - pomyślałem i zamknąłem oczy...

Gwałtownie zerwałem się i prawie sturlałem z tapczanu. Całe ciało oblał mi zimny pot, a żyły na skroniach dziko pulsowały. Odkryłem koc i usiadłem na łóżku, żeby zaczerpnąć tchu.

Ze strachem spojrzałem na własne ręce.

Mimo że w pokoju gościnnym panowała ciemność, na zgięciu każdego palca dało się rozpoznać poprzeczną bliznę.

Blizny powoli zbladły i zniknęły. Ale były tam - wystarczyło, że wiedziałem.

Ukryłem twarz w dłoniach i zapłakałem cicho.

DZIEŃ CZWARTY

CZWARTEK 14.09

Gdy rano pojawiłem się w kuchni, Tamara od razu bezbłędnie odgadła powód mojej bladości i depresyjnego wyrazu twarzy.

- Zły sen?

Usiadłem do śniadania i nalałem sobie kawy.

- Dokładnie. Koszmar - sililem się na wesoły ton. Niestety mi nie wyszło.

Tamara zrobiła śmiertelnie poważną minę. Schyliłem się po masło, ale opadła mi ręka.

- I to nie pierwszy - szepnąłem, spoglądając na nią podkrążonymi z niewyspania oczami.

- Dzisiaj to było naprawdę przerażające.

Zamiast mi współczuć Tamara wykrzywiła gniewnie usta.

- No proszę! Nocny koszmar! I to nie pierwszy! Czego ja się tu dowiaduję! - Ton jej głosu był zimny i ostry jak brzytwa. - Jest coś jeszcze, o czym zapomniałeś mnie poinformować?!

- Miewam złe sny. - Wzruszyłem ramionami.

- Naprawdę? - spytała z przekąsem.

- Przytrafia się to wielu ludziom. Nie przypisywałem im jakiegoś szczególnego znaczenia

- powiedziałem, przeczuwając kolejne złe wiadomości.

- O znaczeniu to ja zadecyduję, dobrze? Kiedy to się zaczęło?

- W poniedziałek... właściwie nie, już w niedzielę...

- Pamiętasz poszczególne sny? Zamyśliłem się i po chwili przytaknąłem.

- Więc opowiedz mi je. Po kolei.

Nabrałem powietrza i szukałem jakiegoś punktu zaczepienia. Zmusiłem się, by nabrać nieco masła na nóż i posmarować rogalik. Już pierwszy kęs jedzenia i łyk gorącej kawy trochę mnie ocuciły. Przy śniadaniu nawet te najgorsze sny wydają się łagodniejsze, a czując ciepło w żołądku, o wiele łatwiej o nich rozmawiać. Nawet gdy wrażenie spokoju jest tylko iluzją.

Moja opowieść nie była spójna, o wielu szczegółach przypominałem sobie z lekkim opóźnieniem. Była chaotyczna i nieuporządkowana tak jak uczucia, które dopadały mnie zaraz po przebudzeniu. Mimo to zawierała wszystkie najważniejsze elementy: świece, Orloj, Parsifal...

To wystarczyło, żeby Tamara straciła apetyt, a na jej, czole pojawiły się kolejne zmarszczki.

- Nie wdepnąłeś w bagno, ale w obrzydliwe gówno - stwierdziła zachrypniętym głosem, gdy skończyłem.

Kęs rogalika, który miałem akurat w ustach, stanął mi w gardle i zacząłem gwałtownie kaszleć. Pomógł mi łyżeczek kawy, ale w oczach zabłyśły łzy.

- Że co?

Dziewczyna potrząsnęła głową i podparła ręką czoło. Starła się jeść dalej, ale po chwili przerwała, odłożyła widelec i spojrzała mi prosto w oczy.

- Trzyście świec, dwunastu apostołów, jedenastu rycerzy Okrągłego Stołu i dziesięć przykazań. Piękny szereg. Co ci to przypomina, Dawidzie?

- Końcowe odliczanie? - zapytałem nieśmiało.

- Bingo! - Klasnęła w dłonie. - Teraz to wszystko zbierzemy do kupy. Odliczanie do czego?

Nerwowo obracałem leżący na talerzu rogalik.

- Do spełnienia klątwy?

- Bingo! Inteligentny chłopiec! - Wstała, wytarła ręce ścierką i rzuciła ją w moją stronę. - Dlaczego nie potrafił wpaść na to bez niczyjej pomocy?!

W normalnych okolicznościach zezłościłby mnie taki ton, ale głowę zaprzętały mi inne myśli.

- Dwudziestego... dwudziestego trzeciego września. To jest sobota - obliczałem półgłosem. - Co stanie się w przyszłą sobotę?

- Dobrze pytanie. - Oparta o stół Tamara z bliska gromiła mnie wzrokiem. - Co stanie się w przyszłą sobotę? Hm, nie jestem pewna, kolego... Nie jestem dobrym tłumaczem snów, ale sądząc po charakterze tych twoich, może nie będzie tak ciężko zgadnąć...

Z wysiłkiem przełknąłem ślinę.

- Wygląda na to, że zostało ci dziesięć dni życia. Więc ruszmy się w końcu...

* * *

Asystent Tamary mieszkał niedaleko. W jednopokojowym mieszkaniu, chyba na czwartym piętrze. Nie pamiętam nazwy ulicy, ale wiem, że naprzeciwko znajdowała się przychodnia i poczta.

- Bronisław Bohater - podał mi rękę, gdy tylko weszliśmy. - Spotkaliśmy się przelotnie w szpitalu.

Przez chwilę patrzyłem na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Abel. Dawid.

Po rannej nowinie byłem kompletnie roztrzęsiony i wlokłem się za Tamarą jak cień. Moje ciało i myśli oddzielone od siebie błędziły w zupełnie innych wymiarach.

Usłyszałem ciche miauczenie. Przy Bronku pojawiły się jego trzy koty, by przywitać wczesnych gości. Rozkosznie mrucząc, otarły się o nogi Tamary. Ledwie jednak podeszły do mnie, prychnęły ze wstrętem i uciekły.

- Czy coś się stało? - spytał Tamarę Bronek, a zwisający mu z szyi telefon komórkowy zatańczył w lewo i w prawo jak wahadło. - Zazwyczaj Stowarzyszenie jest ostatnią deską ratunku.

Spojrzał na mnie prawie z litością w oczach. W końcu jakiś przejaw ludzkiego zainteresowania! Dotąd wszyscy patrzyli tak, jakbym zasłużył sobie na swoje nieszczęście.

- Załóżmy, że to bardziej skomplikowane, niż myśleliśmy. Co z Arabami w Koszycach? - Dziewczyna szybko zmieniła temat. Bronek jeszcze raz badawczo zmierzył mnie wzrokiem, po czym zamknął drzwi.

- Poszedłem do Mohameda. Jego stosunek do Stowarzyszenia w żaden sposób się nie zmienił. Przywitał mnie z szacunkiem. Nie wie o nikim, kto by przywoływał ifrity. I nie zna powodu, dla którego ktoś miałby to robić, przyznał jednak, że niczego nie można wykluczyć. Arabowie nie są tak dobrze zorganizowani jak my. Dostałem pozwolenie na rozmowę z jego przywódcami. Włączyłem do śledztwa również Petronelę i Zdenka. Powoli nad tym pracujemy, ale idzie nam jak po grudzie. Może powinnaś przycisnąć szefową, żeby dała mi więcej ludzi. Tamara kiwnęła głową.

- A ty jak sobie radzisz? - zapytał Bronek. - Słyszałem, że wczoraj zginął następny astral. Zaczynasz być niebezpieczna. He, he, he...

Nie słuchałem ich. Powoli rozglądałem się po przedpokoju. Pograżony w zadumie jak przez mgłę widziałem stosy dzienników, popołudniówek, czasopism, książek, dyskietek, walających się na podłodze płyt CD, zdobiących ściany kolorowych tapet zrobionych z wycinków z gazet oraz dziwacznych map, w które ktoś powbijał chmury szpilek z poprzyczepianymi flagami. Artystyczny nieład, w jakim tylko właściciel dostrzega porządek i bezbłędnie odnajduje szukane przedmioty.

- To był parszywy rewenant. Nie cackałam się z nim - mruknęła Tamara. - Miałam go prosić? Wszyscy są prymitywnymi bestiami. Hołotę, którą należy wytepić!

Bronek pokręcił głową.

- Dobrze wiesz, że nie możesz wszystkich demonów wrzucać do jednego worka. Dlaczego nie zapomnisz o przeszłości i nie spojrzysz na wszystko bez emocji, tak jak twoja

siostra?

- Nie mieszaj do tego mojej siostry! Dobrze?! - Dziewczyna ze złością zacisnęła pięści.

- Odezwał się nasz artysta! - Spojrzała w moją stronę. - Żebyś dobrze zrozumiał, ten oto Broniek ma astralnego obrońcę. Właściwie, mówiąc ściślej, obrończynię. Istnieje między nimi klasyczny układ: wynagrodzenie za przysługę. Wczoraj opowiadałam ci o tych sprawach. On układa dla niej symfonię, a ona za to oferuje mu magiczną ochronę. Jeśli wierzy jakiemuś potworowi, to jego sprawa. A może Broniek czeka na inną usługę? Tylko żeby przypadkiem się nie rozczarował. Jeśli chcesz się zabawić, kolego, twoja obrończyni potrzebuje materialnego ciała. Masz wystarczająco dużo nut, aby stała się dostatecznie silna i potrafiła tego dokonać?

Najwyraźniej to był dowcip mający wyciągnąć mnie ze złego nastroju oraz mały rewanz za bezczelności asystenta. Udałem, że mnie to rozbawiło, choć tak naprawdę sam poczułem się dotknięty. I najwyraźniej nie zdołałem tego ukryć, bo zmieszana Tamara szybko zmieniła temat.

- Gdzie są te materiały? - spojrzała pytająco na Bronka. - Spieszmy się.

- Na stole w moim pokoju - warknął. Dziennikarka od razu skierowała się do następnego pomieszczenia. Asystent zdjął okulary i zaczął je czyścić brzegiem koszulki. Po chwili wahania z poważną miną obrócił się w moją stronę.

- Cztery lata temu spotkało mnie podobne doświadczenie - powiedział. - Naprawdę poważna sprawa, trzytygodniowy horror. Demon, który chciał mnie opętać, stopniowo odbierał mi spokój ducha, pracę, życie osobiste, wszystko, co kiedyś lubiłem. Szybko udało mu się pozbawić mnie zdrowego rozsądku i o mały włos życia. Ale pamiętaj, zawsze znajdzie się ktoś, kto poda ci pomocną dłoń. Żeby uratować swój tyłek, musiałem zawrzeć pakt z pradawnym, a wtedy jeszcze bardzo słabym ziemskim żywiołem. Przyznaję, miałem wiele do zaoferowania, więc to nie był przypadek. Ale wszystko dobrze się skończyło. Ty jednak trafiłeś na silniejszego i tańszego obrońcę. Trzymaj się Tamary, ona cię z tego wydobędzie. Nieważne, co cię opętało. Głowa do góry, kolego. Ta kobieta jest jak bulterier. Jak się za coś weźmie, to nie popuści.

Poklepał mnie po ramieniu, z powrotem włożył okulary i poszedł za dziewczyną do sąsiedniego pokoju.

Jego słowa przeleciały mi przez głowę niczym wichur, ale ich pocieszający ton zrobił swoje. Postanowiłem wziąć się w garść i choć na chwilę odpędzić pochmurne myśli. Podeszedłem do obklejonych ścian, zacząłem czytać przypadkowo wybrane wycinki z gazet.

U każdego asystenta dziennikarki z renomowanej gazety pewnie dałoby się znaleźć

podobny rozgardiasz. Wielu asystentów może z dumą określiłoby go przesadną nazwą „archiwum”. Broniek nie byłby w tym daleki od prawdy. Objętość jego zbioru była naprawdę imponująca. Ale jeśli chodzi o treść, to kolekcja bardzo mnie rozczarowała. Oczekiwałem, że zgromadzone wiadomości będą poważniejsze.

Bronka szczególnie interesowały niedorzeczności, które gazety szczególnie chętnie drukują w sezonie ogórkowym.

„Čirč, powiat Stará Ľubovňa. Następny dom, w którym straszy! Pojawiły się w nim istoty nie z tego świata! Łowcy duchów nie dali im rady”.

„Południowe Włochy. W nadmorskiej wsi w zagadkowy sposób zniknęło trzydzieści kotów. Prawdopodobnie zostały złapane przez nieznanego właściciela firmy zajmującej się produkcją rozgrzewających »skórek« oraz maści na zapalenie oskrzeli”.

„Szwajcarskie Alpy. Na mało uczęszczanej drodze wyjazdowej z miasta zaatakował turystów tajemniczy potwór tatzelwurm. Świadkowie zeznali, że był to płaz o długości jednego i pół metra”.

„Fińska część Laponii. Zmarł stutrzyletni mężczyzna. Po śmierci nie zdołano ruszyć z miejsca ciała matuzalema, chociaż starało się go podnieść dziesięciu ludzi. Dopiero przybycie księdza i wykonanie odpowiedniej ceremonii rozwiązało problem”.

„Praga. Sensacyjny powrót zaginionego przed kilkoma miesiącami czeskiego archeologa Milana K.! Hospitalizowany mężczyzna twierdzi, że w jaskini pod Blanikiem spędził tylko jeden dzień i nie dopuszcza do siebie faktu, że w międzyczasie zmieniło się więcej niż dziesięć kart w kalendarzu”.

I tak dalej...

Na ścianach znajdowało się sporo podobnego materiału o UFO i bliskich spotkaniach trzeciego stopnia. Jak ja nienawidziłem tego sprofanowanego tematu!

Z rozczarowaniem kręciłem głową.

Zdania, w których naoczni świadkowie opisywali przybyszy z innego świata jako aniołów, były podkreślone grubą linią. Co w tym takiego interesującego?

Dopiero potem na to wpadłem.

Anioły. Demony. Żywiołaki.

Wszędzie wokół leżały tony dziennikarskiego kiczu, który nawet przy najszczerzych chęciach nie zasłużył sobie na łagodniejsze określenie. Z drugiej strony jednak w tych wszystkich pseudoartykułach i pseudoreportażach doświadczony czytelnik lub fachowiec mógł odkryć ziarno prawdy, mimo że było dobrze ukryte pod stertą wymysłów i niewidoczne dla niedoświadczonych oczu.

„Więc tak wygląda baza informacyjna Stowarzyszenia" - pomyślałem. Trochę zmodyfikowałem swoje pierwsze wrażenie.

Przeglądając archiwum Bronka, jednym uchem mimowolnie słuchałem, czym zajmowali się moi towarzysze za ścianą.

- Senden? Gdzie to jest? W Bawarii? - zapytała naraz Tamara nieco głośniej.

- Tak, blisko Badenii-Wirtembergii - odpowiedział jej asystent.

- Farmerska okolica?

- Tak.

- Dokładnie jak przypuszczałam. Boże, ileż to trwało, zanim go namierzyliśmy! Masz u mnie kolację w restauracji, którą sam wybierzesz!

- Tylko się przedwcześnie nie ciesz. Nie zapominaj, że to nadal są tylko spekulacje...

- Nie! To odpowiednie miejsce. Na pewno! Czuję to w kościach. A do tego ta wczorajsza masakra... To mógł być tylko on!

- W teczce z aktami masz poukładane chronologicznie wszystkie wiadomości z niemieckich dzienników oraz stron internetowych, które teoretycznie mogą dotyczyć sprawy. Porządny burdel, ale przypuszczam, że ty zrozumiesz z tego więcej. Lepiej niż ja znasz jego zwyczaje. - A to?

- Wytypowałem parę adresów, od których mogłabyś zacząć. Organizacje i nieruchomości. Dokładnie takie jakich kazałaś mi szukać.

- Jesteś bezcenny, Broniek! Wszystko zabieram ze sobą. Masz kopie?

- Oczywiście.

Usłyszałem, jak z trzaskiem zamknęła się aktówka. Po chwili obydwójce wrócili.

- Wspaniale, zarezerwuj mi bilet na samolot do Stuttgartu na jutro rano. Jeżeli znowu nam ucieknie, to mnie chyba szlag trafi!

Broniek przytaknął.

- Żebym nie zapomniał, dla pani Pauliny. - Podniósł paczkę leżącą na szafce z butami i podał Tamarze.

- Jasne. - Dziennikarka włożyła pakunek do teczki i otworzyła drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję, Broniek.

Długowłosey asystent tylko się uśmiechnął i kiwnął głową.

- Trzymam kciuki - zapewnił mnie, gdy wychodziłem za Tamarą.

Tym razem mój uśmiech nie wyglądał tak tragicznie.

* * *

Dla Tamary było oczywiste, że słyszałem wszystko, o czym rozmawiała z Bronkiem, ale jak zwykle nie zamierzała mi niczego wyjaśniać. Ja zaś - choć mimo wszystko wciąż byłem normalnym, ciekawskim człowiekiem - nie chciałem na siłę wyciągać z niej informacji. I tak odniosłem wrażenie, że analizowali coś, co mnie nie dotyczyło, i nie miałem zamiaru zachowywać się jak wścibski cham.

Saab skręcił do centrum spokojnie, jak najbardziej zgodnie z przepisami. Tamara miała zwycięstwo wypisane na twarzy. Nawet za bardzo się nie spieszyła. Zauważyłem, że gdy dostaje dobre wiadomości, również w stosunku do mnie jest bardziej przyjazna.

- Jedziemy do Stowarzyszenia - powiedziała. - Jest to coś w rodzaju tajnej organizacji, więc nie zdziw się, jeżeli ludzie, których spotkamy, będą szeptać o twojej obecności. Postaraj się być uprzejmy, a przypadkowe złośliwości pomijaj milczeniem. Pamiętaj, że twój los znajduje się w rękach tych właśnie ludzi. Mamy oficjalne zaproszenie od pani Pauliny, która obecnie stoi na czele Stowarzyszenia, ale to nie znaczy, że możemy ignorować reguły lub zapomnieć o dobrych manierach.

- Tajna organizacja. Już się cieszę. Za chwilę mi powiesz, że muszę mieć zawiązane oczy, bo będziemy wchodzić tajnym wejściem - dodałem ironicznie.

- Tak. Według protokołu wejdziemy tajnym wejściem - zgodziła się.

- O Boże! Nie wierzę własnym uszom. Takie gierki w dwudziestym pierwszym wieku! Jesteście jakąś sektą, czy co?

- Żadną religią, żadną ideologią, żadną sektą. - Tamara ze zdecydowaniem pokręciła głową. - Nie należymy ani do masonerii, ani do Zakonu Białej Róży, martynistów, ani do żadnej podobnej bandy. Nie mamy ustalonej liczby członków, nie wtajemniczamy ludzi z zewnątrz, nie mieszamy się do polityki i nie mamy swoich stron internetowych. Powiedzmy, że Stowarzyszenie jest po prostu wyższą instancją sprawującą dozór nad byłą Górną Słowacją i Siedmiogrodem. Dbamy tu o porządek. W sprawach magicznych, oczywiście.

- Wyższa instancja! Chryste, aż mnie ciarki przeszły! Bez obrazu, ale urodziłem się w państwie totalitarnym, choć przez ostatnie lata szybko przywykłem do demokracji. Kto wam, do licha, daje prawo sprawować nade mną nadzór?!

- Nikt - wzruszyła ramionami. - Wymagały tego okoliczności. Odkąd żyją tu ludzie, wszędzie ktoś uprawia magię. Z osobistych lub nieosobistych powodów. Ze szlachetnymi intencjami, aby pomagać i leczyć innych, ale często, żeby niszczyć i szkodzić. A nieraz w prymitywnym celu, by z łatwowiernych głupków wyciągnąć trochę pieniędzy. W tym względzie też istnieją pewne granice i trzeba przestrzegać etyki, której niestety nie określa

oficjalne prawo. Dlatego musiały je zastąpić inne struktury.

- Mówi się - podjęła po chwili - że korzenie Stowarzyszenia sięgają aż do organizacji, które tworzyli najznamienitsi członkowie i ważne osobistości pochodzące ze starych rodów dackich, celtyckich, huńskich, gockich i słowiańskich. Nie wyobrażaj sobie jakiegoś zgromadzenia maniaków z klapkami na oczach, dla których nie liczy się nic prócz głupich przepisów, jakie sami sobie wymyślili. Ani wtedy, ani dzisiaj nie istnieje żaden kodeks, a prawo moralne jest wyłącznie sprawą sumienia członków. Szło z duchem czasu. Rada Wtajemniczonych tylko na podstawie własnych poglądów decydowała o tym, co będzie, a czego nie będzie tolerować.

- I mówisz mi o tajnym Stowarzyszeniu tak otwarcie?

- Czy powiedziałam coś konkretnego?

- No, właściwie to nie, z wyjątkiem imienia przewodniczącej...

- Podobne stowarzyszenia istnieją na całym świecie i mają dokładnie określony zasięg terytorialny. Wielu ludzi podejrzewa, że istnieją, ale wolą się do tego nie mieszać. Stowarzyszeń nie da się znaleźć. Za to one odnajdą cię bardzo łatwo, jeśli uznają, że to konieczne. Są ponad interesami narodów, kultur albo trzymających władzę grup finansowych. Respektują je wszystkie towarzystwa zajmujące się magią.

- Wszystko brzmi wspaniale. Ale nie wierzę w bezinteresowność tajnych organizacji i w to, że dbają wyłącznie o interesy społeczeństwa.

- Nikt tego od ciebie nie wymaga. Przecież nie powiedziałam, że nie dbamy w pierwszym rzędzie o własne interesy. Tylko to, że nie rządzą nami masy ludzi ani nikt z zewnątrz...

„Ładnie, ładnie! - pomyślałem sobie. - Nie wpadłem czasem z deszczu pod rynnę?”

* * *

Zaparkowaliśmy na rogu ulic Puszkina i Młyńskiej, mniej więcej tam, gdzie kiedyś stały najstarsze mury obronne miasta.

Stamtąd pieszo dotarliśmy na Garncarską i weszliśmy do jednej ze zniszczonych kamienic znajdujących się niedaleko miejskiego więzienia.

Tamara włączyła światło na klatce schodowej. Dostrzegłem biegnące po ścianach kable polatane tu i ówdzie taśmą izolacyjną i zaraz zeszlismy do piwnicy. Niski ciemny korytarz śmierdzał stęchlizną i szczurami. Ściany były odrapane i brudne, co kilka metrów przecinały je wnęki nośne i żelazne drzwiczki prowadzące do składów węgla. Dziewczyna zatrzymała się przy jednych. Wyciągnęła z torebki pęk kluczy i wybrała właściwy. Szczęknął stary

zamek.

Weszliśmy do środka, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę staliśmy w zupełnej ciemności. W pomieszczeniu nie było ani działającej lampy, ani okienka, przez które dałoby się wrzucać węgiel. Tamara po omacku doszła do przeciwległej ściany i kilka sekund czymś manipulowała.

Nagle przed nami otwarło się wejście prowadzące do wyłożonego ceglami korytarza oświetlonego starą, brudną neonówką. W głębi panowała ciemność, którą bezskutecznie próbowałem przeniknąć wzrokiem.

Dziewczyna wyciągnęła z torebki małą latarkę kieszonkową.

- Mam nadzieję, że nie zgaśnie tak jak ostatnio - powiedziała. - Chodź za mną.

Zatrzasnęła za nami idealnie zamaskowane drzwi, chwyciła mnie za ramię i ruszyła do przodu.

Zza pleców Tamary niewiele widziałem. Poza tym przez większość czasu musiałem gapić się pod nogi, bo nierówna powierzchnia nieustannie groziła potknięciem. Mimo to byłem w stanie zauważyć krzywy brzeg korytarza, a po obu stronach mnóstwo odgałęzień prowadzących nie wiadomo dokąd. Mam całkiem dobrą orientację w terenie i tylko po to, żeby zająć czymś myśli, przez jakiś czas starałem się zapamiętać drogę. Ale już po trzeciej wnęce prowadzącej do identycznego tunelu zrezygnowałem. Tylko modliłem się, żeby dziewczyna naprawdę wiedziała, gdzie jesteśmy. Kobiety zazwyczaj mają problemy ze swoim wewnętrznym kompasem.

- Gdzieś słyszałem, że w średniowieczu przez koszyckie podziemia kilometrami ciągnęły się tajne korytarze. Najważniejszy z nich podobno biegł od miejskiego więzienia aż do katedry świętej Elżbiety. Czy to są one? - zapytałem.

- Co masz na myśli? - warknęła przez zęby Tamara, a jej głos świadczył o tym, że jest piekielnie skoncentrowana.

Wolałem więcej jej nie rozpraszać.

W końcu dotarliśmy do następnego pustego składu węgla i brudnej piwnicy. Wyglądała jak lustrzane odbicie miejsca, przez które weszliśmy do podziemia.

Dziennikarka głośno odetchnęła, a ja z nią.

Przesunęliśmy się na boczne schody. Były wąskie i kręte, ale wreszcie wyprowadziły nas na powierzchnię. Przez malutkie okienka na półpiętrach dostrzegałem światło, jednak nie poza tym. Zakurzone szyby ktoś dodatkowo pooblepiał kawałkami leukoplastu. Nie po raz pierwszy widziałem coś takiego. Pewnie na całym świecie wyjścia awaryjne albo boczne schody w wielkich kamienicach niegdyś przeznaczone dla służby wyglądają podobnie.

Mogliśmy nawet znajdować się wciąż w tym samym budynku, do którego weszliśmy na ulicy Garncarskiej.

W końcu dotarliśmy schodami na samą górę, myślę, że mniej więcej na trzecie piętro, i stanęliśmy przed ogromnymi mahoniowymi drzwiami.

Tamara zapukała.

Tak po prostu. Nie zauważyłem, by jej pukanie zabrzmiało jak jakiś kod. Zanim otwarto się drzwi, też nikt nie zapytał nas o hasło.

„Czyżby cały ten spacerek był tylko po to, aby mnie zmylić?” - pomyślałem i byłem tego pewien coraz bardziej. Gdy jednak zobaczyłem wewnątrz za drzwiami, zmieniłem zdanie.

* * *

- O Boże! - krzyknęła kobieta, która otworzyła nam drzwi. Zakryła ręką usta. Zauważyłem, że brakuje jej dwóch palców. Małego i serdecznego.

Przerażenie i rozbiegany wzrok kobiety przypomniały mi scenę ze szpitala, gdy Tamara zobaczyła mnie po raz pierwszy po wypadku. Tyle że tym razem nie miałem na głowie turbanu z bandaży. I myślę, że moja fryzura też nie wyglądała upiornie.

Oszacowałem, że kobieta jest trochę po czterdziestce. Miała pofarbowane rudoczerwone włosy, gustowną fryzurę, idealny makijaż, szyty na miarę ciemnoniebieski kostium, skórę trochę ciemniejszą niż inni, co mogło świadczyć o domieszce cygańskiej krwi, i niesamowite brązowe oczy z małymi żółtymi plamkami na tęczówce.

- Wejdźcie... - powiedziała.

Znaleźliśmy się w przestronnym, jasnym pomieszczeniu. Słońce, które powoli osiągało zenit, wpadało przez okna na suficie. Sprytne - widziałem tylko chmury i kawałek białoniebieskiego nieba. Żadnego komina albo jakiejś wieżyczki, dzięki którym mógłbym rozpoznać, w której kamienicy starego miasta się znajdowałem.

Jeśliby wyposażyć to pomieszczenie w ławki, mogłoby służyć jako sala szkolna. Ale było prawie zupełnie puste, co sprawiało, że wydawało się jeszcze większe i jeszcze mniej przytulne. Na wypolerowanym parkiecie ustawiono tylko dziesięć wiklinowych foteli ustawionych w kręgu i jedno krzesło. Samotne, pośrodku...

W półmroku pod ścianą naprzeciwko stało w milczeniu osiem osób.

- Skoro grzeczność wymaga, aby się przedstawić, panie Abel... Nazywam się Paulina Herešowa.

Podążyła mi ręką i wskazała ludzi pod ścianą.

- To są moi przyjaciele, którzy przyjęli zaproszenie na dzisiejszy seans.

Szefowa Stowarzyszenia przedstawiła mi ich po kolei. Nikt nawet się nie poruszył. Wszyscy tylko z dystansem kiwali głowami, gdy padło ich imię. Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Mogłem tylko stać jak kołek i z miną zakłopotanego idioty bezsensownie powtarzać półgłosem:

- Abel, Abel, Abel...

Spośród zebranych wcześniej poznałem tylko Petronełę. Sądząc po jej trochę mętym spojrzeniu, nieprzypadkowo miała liść trawy na swojej wyciągniętej bluzie. Siwy staruszek w swetrze tuż obok niej, pałący starodawną rzeźbioną fajkę, miał na imię Michalko. Odniosłem wrażenie, że uśmiechnął się na powitanie. Całkiem sympatyczny. Zdenek Vanicki, młody człowiek w garniturze i z okularami na nosie, wyglądał mi na świeżo upieczonego absolwenta Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Miał ten sam „kalkulacyjny wzrok”, co moi wieloletni koledzy z pracy. Jego zupełne przeciwieństwo - długowłosy chłopak w wytartych jeansach, koszulce z kapelą deathmetalową i młotem Thora na szyi - został przedstawiony jako Rene. Dałbym sobie głowę uciąć, że gra w jakimś undergroundowym zespole. Panna Henrietta - szczupła, wysoka, z blond trwałą i surowym spojrzeniem - przypominała mi moją nauczycielkę słowackiego ze szkoły podstawowej. Jeśli nawet nie uczy, to na pewno w przeszłości chociaż raz udało jej się zostać przewodniczącą klasy. Za to inżynier Wais - wysoki, łysy Żyd - kojarzył mi się z dowódcą kompanii z wojska. Różniła go jedynie opaska na oku, no i nie był też tak gładko ogolony. Słodziutkie staruszki poobwieszane klejnotami, wyglądające na jednojajowe bliźniaki (które, myjąc naczynia, pewnie używają rękawiczek) nawet nie kiwnęły mi głowami na powitanie. Ale nie został już nikt, do kogo pasowałyby imiona Edyta i Klara. Edyta i Klara Wargowe - dla ścisłości.

Zauważyłem, że oprócz Pauliny, której brakowało dwóch palców, i inżyniera Waisa z przepaską na oku, każdy z obecnych miał jakąś bliznę albo małą deformację ciała. Może z wyjątkiem Tamary i Petroneli, ale przecież nie zaglądałem im pod ubranie. Zawód Wtajemniczonych chyba serwuje porządną dawkę adrenaliny.

- Usiądźcie, proszę - powiedziała przewodnicząca i skierowała mnie na krzesło pośrodku okręgu.

Błagalnie spojrzałem na Tamarę, ale dała mi znak, że nie mam się czego obawiać.

Zdjąłem kurtkę i ostrożnie usiadłem.

Po chwili również pozostali jak na komendę przemieścili się do swoich foteli. Naprzeciwko mnie wygodnie usiadła pani Paulina.

Po jej prawej stronie zajęły swoje miejsca Tamara i Petronela, po lewej pan Michalko i

Zdenek. Chcąc zobaczyć resztę obecnych, musiałem się odwrócić.

Na początek szefowa Stowarzyszenia poprosiła Tamarę, żeby dokładnie opowiedziała o tym, co wydarzyło się w poniedziałek. Tamara w faktograficznym, typowo dziennikarskim stylu (zboczenie zawodowe), ze szczegółami opisała spotkanie z ifritem. Wspomniała o niby to zepsutym silniku jej saaba i o galerii, w której niby to mieliśmy się kiedyś poznać. Potem przeszła do moich nocnych koszmarów, omdleń i przywidzeń. Tym razem wtrąciłem się i uzupełniłem opis o zasłyszaną w szpitalu rozmowę tej dziwnej trójki w białych lekarskich ubraniach. Przez to po raz kolejny zasłużyłem sobie na kolejne mordercze spojrzenie Tamary. No cóż, czasem człowiek ma prawo do małej zemsty.

- Streśmy to - zabrała głos pani Paulina. - Na pana Abela z pewnością ktoś rzucił klątwę. Jak wszyscy dokładnie widzimy, ma wyraźnie uszkodzoną aurę. Zawsze podczas zachodu słońca cierpi na intensywne zaburzenia psychometrii, prześladowają go chaotyczne prorocze sny i zyskał wtórne zdolności widzenia i czucia żywiolaków.

- Ehm. Co to jest psychometria, jeśli wolno zapytać? - przerwałem jej na chwilę.

- Słyszał pan o ludziach, którzy potrafią zauważyć ślady astralne w materialnym świecie? Podczas kontaktu ze znajdującymi się dookoła przedmiotami wchłaniają informację o tym, co się z nimi działo w przeszłości. Za granicą często pomagają policji w poszukiwaniu przestępców albo zaginionych osób.

- Niedawno w telewizji powtarzali serial o takim facecie - starał się podpowiedzieć mi ekonomista Zdenek.

- Ach, tak! - Oczywiście, że przypomniałem sobie Lance'a Henriksena w roli Franka Blacka z „Millennium”. Do głowy przyszło mi jeszcze jedno skojarzenie. Pomyślałem o postaci Johna Smitha ze „Strefy śmierci” Stephena Kinga, jednej z niewielu książek fantastycznych, które w czasie komunistycznego reżimu przedostały się na Słowację. Czytałem ją w szkole podstawowej. Tak, psychometry to całkiem porządni ludzie. Poczulem się bardziej pewny siebie.

- Co w takim razie wiemy o klątwie? - kontynuowała pani Paulina. - Symptomy są dosyć powszednie, nic konkretnego. Spróbujmy spojrzeć na to z drugiej strony. Wróćmy do wieczoru, gdy została rzucona. Panie Abel, proszę opisać nam z najdrobniejszymi szczegółami, co pan przeżył podczas spotkania z ifritem. Może uda nam się znaleźć jakiś nowy punkt zaczepienia.

Znowu to samo. Ponownie musiałem wracać do niezrozumiałej, przykłej poniedziałkowej sceny, a nie miałem na to najmniejszej ochoty. Wiedziałem jednak, że muszę. Zamknąłem oczy. W głowie szczegółowo przeanalizowałem ten moment i próbowałem ubrać

myśli w słowa.

Smród siarki, błysk, eksplozja, upadek...

Hipnotyzujący wzrok ifrita, kłapiące zęby, szybko wyciągnięte łapy z pazurami...

Pani Paulina słuchała w skupieniu, a gdy skończyłem, zachmurzyła się i pokręciła głową.

- A ty, Tamaro? Tak samo nic nie widziałaś i nie słyszałaś?

Dziennikarka wyjęła z ust łańcuszek, który nerwowo gryzła i stanowczo zaprzeczyła: - Nie.

- Tak silna klątwa musi zostać wypowiedziana i poparta jakimś gestem.

- Wiem o tym. Mimo że Dawid zasłaniał mi widok, jestem pewna, że ręce ifrita aż do momentu tego błysku zwisały bez ruchu, i na sto procent wiem, że nic nie mówił.

Wszyscy przez chwilę milczeli.

- Słowo i gest nie muszą być wykonane na miejscu. To nie jest jedyny warunek, Paulinko - powiedział pan Michalko. - Można, mówiąc najprościej, przygotować je wcześniej...

- To prawda - zgodziła się szefowa Stowarzyszenia. - Podobne triki były używane podczas pojedynków czarnoksiężników. Ale nie oczekiwałabym tego od żywiołaka.

- No to narobiłaś, Tamara! - odezwał się zza moich pleców głos z silnym węgierskim akcentem, zapewne pochodzący od jednej z bliźniaczek. - My mogli znaleźć ifrita i prosto z niego wyciągnąć, jakie zaklęcia użył. A ty pozbawiła go materialne ciało i osłabiła na długi czas. Najwcześniej za parę miesięcy z powrotem odzyska swoją osobowość.

- Kto to mógł wiedzieć?! - zdenerwowała się dziewczyna. - Wyglądało to na zwykłe uderzenie ogłuszające. Żadnych znaków, żadnych zaklęć. Zaatakował, więc go spacyfikowałam! W najskuteczniejszy sposób.

- Spokój! - przywołała ją do porządku pani Paulina. - Już za późno, żeby roztrząsać podobne sprawy. Kontynuujmy. Próbowalaś uwolnić pana Abela od klątwy...

- Trzy razy - przytaknęła Tamara. - Robiąc to, co zawsze.

- Najpierw ogólne odczynienie klątwy, a potem zaklęcie negujące najpopularniejsze typy uroków?

- Dokładnie tak.

- Bezskutecznie?

- Bezskutecznie. Znowu nastąpiła pauza.

- Panie Abel - zwróciła się do mnie przewodnicząca. - Istnieją setki klątw, a większość z nich należy do grupy powszechnych ataków magicznych. Sądząc po tym, co usłyszeliśmy, klątwa, którą na pana rzucono, jest pod każdym względem niestandardowa. Skoro nawet w przybliżeniu nie wiemy, jak brzmiała, jaką miała formę lub w jaki sposób znalazł się pan pod

jej wpływem, nie możemy zagwarantować powodzenia procedury, której pana poddamy. W zasadzie nie zostaje nam nic innego, tylko znowu wypróbować wszystkie metody, którymi starała się pozbać pana klątwy panna Bernáthowa, lub eksperymentalnie wypróbowywać bardziej radykalne sposoby. Oczywiście wiąże się z tym pewne ryzyko. Dlatego, zanim zaczniemy, potrzebuję, oczekuję od pana dobrowolnej zgody.

- Są inne możliwości? - Przełknąłem ślinę.

- Możemy czekać do przyszłej soboty i obserwować, co z tego wyniknie. Ale potem już będzie za późno...

Uznałem, że w końcu są fachowcami. Cóż miałem robić?

Zgodziłem się.

* * *

Bez skutku powtórzyli to wszystko, czego wcześniej próbowała Tamara.

A potem?

Potem zaczęło się coś, co mógłbym porównać tylko do tortur, które przeżyłem w moim śnie. Tylko teraz nie był to sen, a procedura nie była cielesna...

Nikt z obecnych nie ruszył się z fotela, nikt mnie nawet nie dotknął. Nie odzywali się. Nie gestykulowali. Jednak wyraźnie czułem, z jaką agresją grzebią mi w ciele i umyśle. Przeszukiwali wnętrzości, wyciągali zapomniane obrazy, otwierali stare rany - wszystko po to, aby bezskutecznie próbować dojść do sedna mojego problemu.

Znowu wpadłem w coś, co przypominało trans.

Siedziałem na krześle, a jednocześnie leżałem na łóżku fakira w otoczeniu magicznych cieni, które tańczyły wokół w szaleńczym rytmie. Rozszarpywały mnie na strzępy i pożerały moje wciąż jeszcze żywe ciało.

Krzyczałem.

Mój krwawiący organizm na przemian męczyła gorączka i dreszcze. Ponownie dopadły mnie wszystkie choroby z dzieciństwa.

Umarłem.

Później zaczęło się uzdrawianie.

Zjawy wypluwały przetrawione mięśnie, z powrotem przyklejały je do kości. Odwróconą na lewą stronę skórę naciągały na ciało i zszywały. Ogarnięty szalem, krzyczałem jeszcze głośniejszym głosem. Chociaż poznawałem swoje organy, moja psychika nie chciała ich zaakceptować. Otworzyłem oczy, leżąc na ziemi, wijąc się niczym wąż, i ze strachem obmacywałem swoje

kończyny.

Byłem kompletnie spocony. W dodatku czułem, że mam mokro w spodniach, i podejrzewałem, że nie pot jest tego przyczyną...

Długowłose Rene i jego eleganckie przeciwieństwo, Zdenek, posadzili mnie z powrotem na krześle. Omal nie osunąłem się bezwładnie na ziemię. Obrócili mnie, usadowili okrakiem, a moje ręce zwiesili przez oparcie. W takiej pozycji kiedyś w Koszycach wykonywano na ludziach karę śmierci. W tej chwili miecz kata przyjąłbym z otwartymi ramionami.

Nie wiem, ile czasu to wszystko trwało, ile minęło, zanim odzyskałem przytomność. Kiedy w końcu podniosłem głowę, zauważyłem, że cienie w pomieszczeniu jakby się wydłużyły.

- Już koniec? - zapytałem.

- Tak - odparła Tamara. - I co?

Ze smutkiem pokręciła głową. A ja zakląłem ze złością.

* * *

Potem wszyscy przechadzali się po pomieszczeniu i filozofowali.

- Musimy znaleźć źródło tej klątwy - powtarzała Petronela. - W ten sposób tylko błądzimy po omacku.

- Trzymałbym się obydwu rhozwiązań - nalegał Zdenek, który miał wyraźne problemy z wymową „r”. - Sphróbujmy zbadać barhdziej szczegółowo, co przythrafiło się Dawidowi.

- To niczym gra w ślepca, Zdenku - pokręcił głową pan Michalko. - Dotykasz i zgadujesz. Ale nie widzisz i nigdy nie zobaczysz. Poza tym symptomy mogą być mylne. Prowadzące w nieodpowiednim kierunku. To nie choroba, to klątwa. Postępowanie lekarskie jest nie niewarte. Mówię to jako rejonowy lekarz z trzydziestoletnim stażem. Jedyne, co w tym przypadku ogranicza pole działania, jest uregulowanie czasowe klątwy. Sny są obronną reakcją organizmu, bezpośrednią odpowiedzią na to, co dzieje się w naszym astralnym wnętrzu. To jedyne, w co bym wierzył.

- Dokładnie tak - poparł go inżynier Wais. - Wyczuwanie obecności żywołaków, jak również psychometria sama w sobie, mogą być tylko oznaką przebudzenia się nabytych zdolności postrzegania świata astralnego. W ogóle nie muszą mieć związku z organiczną istotą klątwy. Można by jeszcze zastanowić się nad zmianami aury pana Abela. Jest błada, mętna, poszarzała. Jakby w każdej chwili miała się rozpląnąć. Czuliście te wibracje podczas kontaktu z jej powierzchnią? To świadczy o niebywałym zasięgu zniszczenia i

prawdopodobnie o fatalnej progresji.

- Więc - skomentowała to Edyta - mamy tu teoretycznie śmiertelną klątwę z dwunastodniowym terminem reklamacji. *Bocsánat*⁴, właściwie już dziesięciodniowym Marnujemy swoją energię na niepotrzebne kłótnie. W takiej sytuacji równie dobrze możemy wziąć do ręki średniowieczny leksykon pełen przeróżnych zaklęć i wskazówek na odczynianie uroków, przeczytać jedno hasło po drugim, co oczywiście zajmie nam wiele miesięcy, a wszystko po to, by i tak stwierdzić, że w międzyczasie ktoś wymyślił coś nowego. *Sajnálom*⁵, na mnie nie liczcie!

- Mamy trzeci punkt zaczepienia: ifrita. Śmiehrtelną klątwę, dwanaście dni. Nie przychodzi wam do głowy, co mogłoby łączyć te rzeczy?

- Tak na marginesie - dodał Rene - w przyszłą sobotę jest dwudziesty trzeci września. W ten dzień wypada Mabon, astrologiczna równonoc jesienna. Nie możemy być pewni, co spowodowało, że ifrit albo jego inwokator wybrali ten termin, ale trzeba wziąć go pod uwagę. Osobiście uważam, że to nie był przypadek.

- Mabon jest świętem przyrody - rozmyślała na głos Petronela - symbolizuje zamknięcie cyklu wegetacyjnego, przełom i ostatni dzień równowagi, od którego dni zaczynają być krótsze, a noce dłuższe. Jest czasem zakończenia dożynek i rozpoczęcia winobrania, uczt i zabaw. Rzeczywiście, jest to dzień wypełniony magią, ale obfituje w pozytywną energię. Nie przychodzi mi do głowy żaden związek. Może Dawid ma wtedy zasnąć i już się nie obudzić, jak większość roślin?

- Może wyhrośnie mu pszeniczna bhroda Welesa i zmieni się w sthracha na wchróble? - zażartował Zdenek.

Nikt z obecnych się nie roześmiał, a atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała.

- Rene słusznie zauważył - powiedziała pani Paulina - że to wszystko nie musiało pochodzić z głowy ifrita. Że nasz żywiołak wcale nie musiał być na przypadkowym polowaniu, ale mógł działać na czyjeś polecenie. Już sama jego obecność w naszym kraju jest dość nietypowa. Skąd się wziął? Zaczynam wierzyć, że naprawdę ktoś trzeci maczał w tym palce. Bronek był już w naszym imieniu u Mohameda i dostaliśmy zgodę na przesłuchanie jego ludzi. Oprócz Arabów trzeba by było przyjrzeć się i innym Wtajemniczonym w mieście, którzy mają korzenie na Bliskim albo Dalekim Wschodzie: gminie żydowskiej, komunie cygańskiej i tym paru Hindusom, którzy tu mieszkają. Edyta ma rację. Nie ma sensu szukać na ślepo. Znajdźmy tego, kto wywołał ifrita albo przywiózł go ze sobą z własnego kraju. Jeśli

⁴ *Bocsánat* (węg.) - przepraszam; w sensie: „Przepraszam, która godzina?”.

⁵ *Sajnálom* (węg.) - przepraszam; w sensie: „wybaczcie”.

będzie znać klątwę, to ją z niego wyciągniemy.

Potem zwróciła się do mnie:

- Panna Bernáthowa twierdzi, że na pewno nie miał pan żadnych problemów z Arabami albo z nikim innym, kto chciałby panu śmiertelnie zaszkodzić. Czy to prawda?

- Tak - skinąłem głową. - Jedyne osoby, z którymi mam jakieś konflikty, są mój szef i sąsiadka z góry, bo systematycznie zalewa mi mieszkanie. Ale to zupełnie nieszkodliwi wrogowie.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy - powiedziała szefowa Stowarzyszenia i obróciła się w stronę Tamary. - Nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości. Są silniejsi i bardziej doświadczeni magowie niż my wszyscy razem wzięci. Wiesz, o co chcę cię prosić?

Dziennikarka kiwnęła głową, a pani Paulina dokończyła:

- Zapomnisz o wszystkich dawnych sporach i jutro z rana zabierzesz pana Abela do stryja w Danii. W tym czasie my rozejrzemy się za inwokatorem ifrita. Wierzę, że ktoś taki istnieje. A jeśli tak, to najwyższy czas zrobić z nim porządek.

Gdy w drodze powrotnej znów przemierzaliśmy ciemne piwnice, ogarnęła mnie rezygnacja i ledwo docierały do mnie powściągliwe wskazówki Tamary. Chyba zostałem spisany na straty. Gdy uświadomiłem sobie powagę sytuacji, poczułem taki chłód, jakbym nie był w Koszycach gdzieś pod ulicą Garncarską, ale w głębinach arktycznego lodowca. Moja przewodniczka spokojnie mogłaby zostawić mnie w tych katakumbach - nawet bym nie zaprotestował. Zaczynałem mieć wszystkiego serdecznie dosyć.

Przy samochodzie Tamara wyciągnęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Bronka. Kazała mu zarezerwować na jutro jeszcze jeden bilet lotniczy do Stuttgartu, a na sobotę rano kolejne dwa ze Stuttgartu do Kopenhagi.

Gdy dała mi znak, żebym wszedł do samochodu, tylko potrząsnąłem głową.

- Idę do domu - powiedziałem. - Muszę... chcę mieć trochę spokoju...

Dziewczyna warknęła. Przez chwilę patrzyła na mnie gniewnie, ale w końcu przytaknęła ze zrozumieniem.

- Dobrze, idź do domu. Dojdź do siebie, spakuj się i porządnie wyśpij. Będę u ciebie o szóstej trzydzieści. O ósmej mamy samolot do Pragi, więc lepiej, żebym nie musiała na ciebie czekać.

- Nie wiem - zagryzłem wargi - nie wiem, czy powinienem wierzyć, że jest szansa na wydostanie się z tego gówna. A poza tym tylko przysparzam ci problemów. Masz kupę własnej roboty, której nie możesz odłożyć na później, a do tego musisz ciągnąć za sobą półmartwą niezdare...

- Nie chcę więcej tego słuchać! - krzyknęła tak głośno, że przechodzący obok ludzie zaczęli się za nami oglądać. - Z zasady pistoletu używam tylko przeciwko żywiołakom, ale mogę zrobić wyjątek! Skamlesz jak stary pies, a w mojej rodzinie zawsze się je zabijało. Nic nie jest jeszcze stracone, na wszystko przyjdzie czas. Jutro załatwimy moje sprawy na południu Niemiec, a pojutrze twoje w Danii. Weź ze sobą jakąś książkę dla zabicia czasu. I nie waz się myśleć o testamencie ani o przytulnym miejscu na cmentarzu! Dopiero gdy ja się poddam, możesz zacząć rozpaczać.

Ze wstydem spuściłem wzrok.

- W porządku. Do jutra rana - odwróciłem się.

- Poczekaj jeszcze! - zatrzymała mnie i zanurzyła rękę w torebce. - Przez to twoje gadanie zapomniałabym o najważniejszym. Chyba nie chcesz dziś wieczorem pomalować własnego mieszkania na czerwono? Jeszcze ze dwa lub trzy krwotoki z nosa, a będziemy musieli wysłać cię na transfuzję.

Podawała mi małą niebieską kuleczkę pokrytą srebrną siateczką. Wyglądała jak jakiś klejnot.

- Ten amulet hamuje wrażliwość astralną. Gdy zrobi się ciemno, spokojnie się połóż, mocno zaciśnij go w rękę i przyłóż do klatki piersiowej. To powinno pomóc.

Uświadomiłem sobie, że zupełnie zapomniałem, jakie piekło czeka mnie jeszcze w domu.

- Dziękuję... A... w nocy? Tamara westchnęła.

- Słyszałeś. Koszmary pochodzą z twojej głowy i nie mam na nie sposobu. Ale pamiętaj, że to są tylko sny i że prawdopodobnie chcą ci pomóc. Nie panikuj. Wsłuchaj się w nie.

* * *

Na przystanek trolejbusowy przy placu Wyzwolenia postanowiłem iść pieszo.

Świeciło piękne wrześnie słońce, ale jego promienie potrafiły ogrzać tylko moje ciało. Nie były w stanie odegnać czarnych myśli.

Wsiadłem do pierwszego trolejbusu, który przyjechał, i dotarłem na osiedle Koszyckiego Programu Rządowego. W swoim jednopokojowym mieszkaniu na szóstym piętrze zrzuciłem ubranie i wziąłem prysznic. Woda też nie potrafiła zmyć tego, czym mnie naznaczono.

Potem sięgnąłem do lodówki po pierwszą lepszą konserwę. Nie czułem głodu ani smaku. Zrobiłem to z konieczności. Szukałem czegoś, co by mnie rozweseliło. Jednak siedzenie przy kuchennym stole i gapienie się w okno tylko pogłębiało moją depresję. Posprzątałem mieszkanie. Spakowałem się. Wybrałem książkę na jutrzejszą podróż i znów zostałem sam ze

swoimi problemami.

Tamara taktownie dała mi do zrozumienia, że przez pewien czas będę piątym kołem u wozu. „Wyspa skarbów” Stevensona idealnie nadawała się na zajęcie myśli i zabicie nudy. O ile dobrze pamiętałem, nie zawierała dołującej treści, a fabuła rozgrywała się w miejscu wystarczająco oddalonym, żeby nie obudzić żadnego przypadkowego skojarzenia. Ile lat mogło minąć, odkąd po raz ostatni czytałem tę książkę? Dwanaście? Piętnaście? W każdym razie to było dawno.

Pół godziny przed zmrokiem, tak jak kazała mi Tamara, położyłem się do łóżka, zamknąłem oczy, wyciągnąłem amulet i zacisnąłem go w ręce. Dla pewności przez nocny stolik przewiesiłem stary ręcznik. Lepiej, żeby był pod ręką.

Dokładnie o dziewiętnastej zero dwa słońce dotknęło horyzontu i powoli schowało się za wzgórze nad Mysłavą. Poczułem delikatne ochłodzenie. W tle świadomości usłyszałem niewyraźne szepty, ale w niczym nie przypominały tych wczorajszych lub przedwczorajszych głosów. Przeczekałem kolejne pół godziny, dopóki nie byłem zupełnie pewien, że wszystko ucichło i nic mi już nie grozi.

Poczułem ulgę. Usiadłem. Ostrożnie odłożyłem kuleczkę na nocny stolik i obserwowałem ją z wdzięcznością. A więc istnieją sposoby walki z przekleństwem! Mała iskierka nadziei w nieprzeniknionej ciemności okrywającej następnych dziesięć dni. Mała niebieska kuleczka...

Ostrożnie wziąłem ją do ręki, zamknąłem w pudełku od zegarka, który niegdyś dostałem w prezencie, i włożyłem do reklamówki z rzeczami przygotowanymi na podróż. Nie daj Boże, bym ją zostawił w domu!

I znów nie miałem nic do roboty.

Usiadłem więc przed telewizorem i pozwoliłem, aby kolorowe reklamy i szybko przeskakujące kanały ogłupiły mój mózg. Przyniosło to jednak odwrotny skutek. Po chwili złapałem się na tym, że w ogóle nie pamiętałem, na co się gapiłem przez ostatni kwadrans, i znowu rozmyślałem o swojej beznadziejnej sytuacji.

Ze złością zgasiłem telewizor, a pilota wrzuciłem za tapczan. Nic się nie da zrobić! A na sprawy beznadziejne jest tylko jeden lek. Otwarłem lodówkę i sięgnąłem po jedyną znajdującą się tam butelkę. Koniak, który został jeszcze z moich urodzin. I zaledwie jedna pięćdziesiątka na dzień. Cholera! Wlałem w siebie te parę kropli i nawet nie zwróciłem uwagi, że alkohol jest sztucznie aromatyzowany.

Musiałem coś ze sobą zrobić.

Złapałem kurtkę i bez wahania wyszedłem.

Drogę do knajpy przy kortach tenisowych znam na pamięć. Ale tuż przed wejściem zawahałem się - na pewno w środku spotkam kogoś znajomego. A to oznaczało wiele pytań i jeszcze więcej wyjaśnień. O nie, nie miałem najmniejszej ochoty na tego typu rozmowy! Odwróciłem się i poszedłem na przystanek.

Z powrotem do centrum.

Zniknąć w tłumie.

W końcu ominąłem nawet zatłoczoną ulicę Główną i tułałem się po bocznych uliczkach, na ślepo szukając takiej knajpy, o której nigdy nie wspominali moi przyjaciele i dzięki czemu mogłem być pewien, że do niej nie chodzą.

Sprzyjało mi szczęście. Nie minęło pół godziny, a już taką znalazłem.

* * *

Ktoś mógłby pomyśleć, że po tym, co przez ostatnie dni przeżyłem i czego się dowiedziałem, jest rzeczą niezrozumiałą, że wszedłem właśnie do tego malutkiego baru o nazwie „U Pikulika”. Ale ja tak zrobiłem! Gdy przede mną z ciemności wynurzyły się odrapane drzwi z szybą oblepioną plakatami z początku wieku i ledwo świecący neon z imieniem demona, poczułem, jak ogarnia mnie złość.

Żaden strach ani respekt, tylko złość.

No bo co by mi się jeszcze mogło stać?! Już zostałem przeklęty i spisany na straty.

Zezłościła mnie ewidentna prowokacja losu i odczytałem ją jako wyzwanie. Niech jeszcze dzisiaj ktoś tylko spróbuje mi coś zrobić!

Otworzyłem drzwi ze zdecydowaniem i wszedłem do środka. Knajpa była naprawdę niewielka. W środku stały tylko trzy okrągłe stoliki oddzielone od siebie zielonymi parawanami i duży bar. Wszystko w starodawnym stylu przypominającym lata dwudzieste, wliczając w to obrazy, lampki, półki na butelki i nawet kasę.

Zajęty był tylko jeden boks. Przy dwóch opróżnionych do połowy kieliszkach wina siedziała tam całująca się para.

Kiwnięciem głowy przywitałem opartego o bar kelnera. Gdy zająłem miejsce, mężczyzna odłożył gazetę i podszedł do mnie.

Wyglądał jak pedancik w średnim wieku, niski, trochę masywny, z wielkim, pokrytym siateczką czerwonych żyłek nosem, sterczącym z pucułowatej twarzy. Miał na sobie doskonale wyprasowaną białą koszulę i zielony fartuch - i jedno, i drugie jakby żywcem ściągnięte z plakatów na ścianach.

Poczułem od niego wyraźny smród siarki i spalenizny.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał.

Na chwilę zamarłem, ale od razu ogarnęła mnie jeszcze większa złość.

- Duże jasne i dwie pięćdziesiątki śliwownicy. Sprawdzony sposób na otepienie mózgu.

Nie skomentował mojego zamówienia. Poszedł za bar i widziałem, jak nalewa mi piwo. Alkohol przyniósł na rzeźbionej drewnianej tacy przykrytej serwetą. Śliczne kieliszki do wódki, a w nich najprawdziwsza gazdowska!

„Rachunek będzie niczego sobie” - pomyślałem.

A niech to! Wlałem w siebie obydwie pięćdziesiątki i zapilem je piwem. W końcu ogarnęło mnie to specyficzne uczucie. Alkohol szybko działał. Zamówiłem następną kolejkę. Barman kiwnął głową i spełnił moje żądanie.

Drugie piwo wchodziło mi trochę wolniej, a trzecie popijałem w normalnym tempie. Nie zapomniałem też o zatruciu żołądka śliwownicą. Powrót do domu wcale mnie nie martwił. Od czego są taksówkarze?!

Powoli mijała godzina za godziną, zniknęła gdzieś zakochana para, ale mnie nie przeszkadzała samotność.

Z należytyym skutkiem kontynuowałem zapijanie ogarniającej mnie depresji.

- To na koszt firmy - usłyszałem nagle.

Podniosłem głowę i spojrzałem spode łba na starodawny zegar wiszący nad barem. Wskazówki skakały mi przed oczami i nie potrafiłem stwierdzić, która mogła być godzina. Barman postawił na stole następne dwie śliwowice, jedną dla mnie, a drugą dla siebie, po czym usiadł obok.

- Wiem, kim jesteś - warknąłem. - Od ciebie na pewno nie wezmę nic za darmo.

Mężczyzna z uśmiechem spojrzał na moją zachmurzoną twarz, stuknął swoim kieliszkiem o mój i wypił.

- I ja też wiem, kim jesteś, nieznajomy. Przyszedłeś się upić czy wyrzucić z siebie złość?

- Upić - powiedziałem i prowokacyjnie wlałem w siebie śliwownicę. Zanim wypilem poprzednią, miałem mdłości, ale ta weszła idealnie.

- Przykro mi, że znalazłeś się w tym syfie, ale z tego powodu nie musisz patrzeć na mnie jak na parszywą świnię. Zrobił ci to jakiś Wtajemniczony czy ktoś z naszych?

- Żywiołak... ognia...

- Interesujące. Zazwyczaj moi bracia tego nie robią. Z doświadczenia wiem, że takie pomysły mogły zrodzić się tylko w ludzkiej głowie...

- W takim razie nie widziałeś jeszcze wszystkiego. Tego mieszańca nigdy więcej nie

pomyliłbym z człowiekiem!

Barman przez chwilę milczał. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Kurwa, masz rację - westchnąłem. - Prawdopodobnie ktoś go wynajął...

- Brakuje mi starych czasów. - Knajpiarz zapatrzył się na dno pustego kieliszka. - Wtedy demony wykonywały swoją robotę, a ludzie swoją.

- Mnie brakuje czasów, kiedy nie miałem pojęcia, że w ogóle jakieś demony istnieją.

- Nie musisz wszystkich potępiać tylko dlatego, że jeden z nas zrobił ci krzywdę. Gdy ugryzie cię wściekły pies, pozwolisz pozabijać wszystkie, nawet zdrowe?

Wzruszyłem ramionami.

- Do tej pory nie słyszałem o was nic dobrego.

- W każdym razie ja nie muszę się niczego wstydzić - odparł barman. - Zawsze dobrze układało mi się z ludźmi. Według mnie jest odwrotnie. Często mam wrażenie, że jest wystarczająco dużo powodów, by stwierdzić, że to ludzie mnie krzywdzą.

- Jak to?

- W dawnych czasach wszystko miało swoje miejsce,znaczony przyjacielu. Żyję tu już prawie dziewięćset lat. Służyłem jeszcze u pierwszych osadników w Kotlinie Koszyckiej. U właścicieli karczm, handlarzy i rzemieślników. W zamian za okazywany mi szacunek i resztki ze stołu odwdzięczałem się, zapewniając im bogactwo i szczęście. Pikulik-wydrwigrosik, tak... Występuję już tylko w bajkach i to w postaci groteskowego krasnoludka. Czasy się zmieniły. Ludzie odrzucili stare zwyczaje, wytworzyło się nowoczesne społeczeństwo. Zmienił system gospodarczy, przemysł i handel. Założyli przedsiębiorstwa i spółki. Rodzinne domowe rzemiosło powoli przestawało istnieć. To zbyt wiele dla zwykłego pikulika. Nie, żeby narzekał. Świat się zmienia. Przeżyli ci, którzy potrafili się dostosować. Sam zostałem przedsiębiorcą. Żaden wielki biznes, ale żyję sobie w spokoju i dostatku. Pikulik, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, cha cha... Oferuję kredyty w gotówce, obniżam ryzyko handlowe, pomagam pomnożyć majątek, wspieram w rozwoju kariery. Moimi klientami są właściciele firm, drobni przedsiębiorcy, maklerzy giełdowi. Wciąż znajdzie się paru desperatów, którzy próbowali już wszystkiego i nie pozostaje im nic, jak tylko zaufać starej dobrej metodzie.

- Nic nie jest za darmo...

- Dokładnie tak. Powiedziałem, że jestem przedsiębiorcą. W zamian za usługi oczekuję wynagrodzenia w postaci prezentów, przedmiotów o wysokiej wartości, posiadających dużą ilość many, niekiedy nawet paru kropel krwi...

- Albo palców, oczu, uszu lub kończyn...

- Zależy od wykonanej usługi. Nie można zrealizować zamówienia o wartości miliona koron w zamian za jakąś błahostkę. Najważniejsze, że wszyscy płacą dobrowolnie. Jeśli cena jest dla nich zbyt wysoka, mogą obrócić się na pięcie i po prostu odejść. Na nikogo nie naciskam i niczego nie wymuszam.

- Ten, który rzucił na mnie klątwę, jakoś nie robił ze mną interesów...

- Należał do tych, którzy biorą i nie pytają o zgodę. Ale nawet oni nie są z gruntu źli. Co jest dobre, a co złe, to rzecz względna. Zależy od punktu widzenia. Weźmy jako przykład mojego bratanka! Ma naprzeciwko kasyno...

Spojrzałem przez okno i zauważyłem migający kolorowy napis - prawdopodobnie neon reklamowy.

- Jest taki jak wszyscy, ale kiedyś był szanowanym Strażnikiem Ognia. W małej osadzie, która stała w miejscu, w którym dziś znajduje się osiedle Tahanovce. Niczego nie brał, nie robił interesów. Ludzie sami składali mu ofiary. I to w większej ilości niż mnie. Ale kto w dzisiejszych czasach potrzebuje Strażnika Ognia? Nikt. Pomogłem mu przeżyć. Teraz żyje z paru automatów do gry, ewentualnie wykorzystuje ludzkie nałogi i słabości. Jednak dziś mój bratanek nie prosi nikogo o pozwolenie, tylko wchłania każdą kroplę manny, którą zostawiają u niego hazardziści. I czy dlatego jest zły? Każdy z tych ludzi ma szansę. Każdy sam decyduje, czy postawi pieniądze. Ulegnie albo nie. Czy demon, który infantylnie i bezmyślnie nazywa swoje kasyno „Diabelską ruletką”, jest gorszy od dziecka kradnącego swoim rówieśnikom zabawki?

- Obojętnie, z jakiego punktu widzenia patrzę na tego drania, który rzucił na mnie klątwę, nie znajduję ani jednej rzeczy, która mogłaby go usprawiedliwić!

- Ja go przecież nie usprawiedliwiam. Zgadzam się, że to było świństwo. Obojętnie, czy zrobił to ze względów osobistych, czy pracował dla kogoś innego. Ale powiem ci coś jeszcze. To wy ponosicie winę za podobne sytuacje. Kiedyś istniał równomierny podział siły. Po jednej stronie stały zaprzędane ciemności demony, a po drugiej dla zachowania równowagi mnóstwo bóstw opiekuńczych, strażników świętych miejsc, patronów chroniących domy, gospodarstwa, osady, całe rody i plemiona. Gdzie są dzisiaj? Zaślepieni cywilizacją odrzuciliście je i kłaniacie się sztucznym nowoczesnym figurkom, które i tak wam nie pomagają. Dlatego wiele bóstw, którym kiedyś składaliście ofiary, przeszło na drugą stronę i ogarnęło je zło. Często po to, aby przeżyć. Nie z innego powodu.

- Świat to skurwiałe miejsce - szepnąłem.

- Jesteś dorosły, musisz się z tym pogodzić. Świat jest skurwiałym miejscem, ale nikt nie poprowadzi cię za rączkę. Na zdrowie!

Obydwa kieliszki znowu były pełne.

Zdziwiony posłusznie wypilem, co mi zaoferowano.

* * *

Wypełnił się czas i otworzyła się dziewiąta brama.

Przez ogromny portal przeleciał wiatr, który figlarnie rozwiął włosy stojącej nieopodal postaci.

Mężczyzna w wytartej liberii z niechęcią spojrzął na zegarek i cicho wzdychając, zgasił o filar wypalonego do połowy papierosa. Wyszedł mi naprzeciw.

- Virgil - przedstawił się.

- Virgil? - zapytałem zdziwiony. Wzruszył ramionami.

- Wszyscy przewodnicy po piekle nazywają się Virgil. Kiwnąłem głową ze zrozumieniem.

Zaprosił mnie do gondoli dziwnego przedpotopowego sterowca z balonem wypełnionym helem, a sam wgramolił się na położony nieco wyżej mostek. Podniósł leżące na pokładzie pióro i przez chwilę szukał w aktówce odpowiedniego formularza.

- Abel Dawid? - zapytał.

- Tak.

- Ma pan opłaconą wycieczkę krajoznawczą z przewodnikiem. Życzy pan sobie dodatkowe wyżywienie?

- Nie, dziękuję.

- Proszę tu podpisać. Zrobiłem, co mi kazał.

Virgil włożył formularz z powrotem do teczki i obrócił się w stronę dziwnej aparatury pełnej dźwigni i tarcz zegarowych.

- Więc zaczynamy.

Pojazd zawarczał, parę razy zadrzał niebezpiecznie, uniósł się jakieś trzydzieści centymetrów w górę i ruszył przed siebie. Wygodnie usadowiłem się na skórzanym siedzeniu i z zainteresowaniem obserwowałem ścianę mgły przed nami.

- Acheron - powiedział szorstko przewodnik.

A więc lecieliśmy nad mityczną rzeką! Świadczył o tym tylko szum dobiegający ze wszystkich stron. Światło padające z poźółkłej lampy naftowej dyndającej nad moją głową nie było w stanie przebić się przez otaczającą nas mgłę.

Po chwili szum rzeki ustał, ale mleczna zasłona towarzyszyła nam jeszcze przez dalszych parę minut. Gdy w końcu zniknęła, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem bezkresne łądy

niekończącego się Inferna.

- Przedpiekle i krąg pierwszy - oznajmił Virgil, zmniejszając prędkość.

Rozejrzałem się dookoła. Na twarzach trupów stojących tu wszędzie jak posągi szukałem pięknych rysów Homera, Sokratesa albo Platona. Wszyscy grzesznicy byli jednak brudni, mieli długie włosy i zapuszczone brody, obdarte ubranie i mętny wzrok. Najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy z obecności sterowca.

Na darmo wytrzeszczałem oczy. Nie został w nich ani ślad godności i męstwa, które kiedyś posiadali, będąc szanownymi autorytetami przedchrześcijańskiego świata. Nie przypominali postaci z marmurowych rzeźb i alegorycznych obrazów.

Jeżeli kiedykolwiek posiadali inne ciała, teraz najwyraźniej je utracili.

Virgil znowu przyspieszył i skierował pojazd nad głowy znudzonych grzeszników.

Na twarzy poczułem silny powiew wiatru, który zwiększył się wraz z zostawianym w tyle przedpiekłem. Niedługo musieliśmy unieść się jeszcze wyżej, bo tuż nad ziemią powietrze było zbyt gęste i nie dało się oddychać.

- Krąg drugi: zmysłowi! - zawołał mój przewodnik, przekrzykując szalejącą wicherę.

Wyjrzałem za burtę sterowca i w oddali obserwowałem ledwo widoczne sylwetki miotające się w nigdy nieustającym deszczu i niemiłosiernie chłostającym je wietrze.

- Teraz to dopiero mają to swoje sado maso - zachichotał pod nosem Virgil.

Nie skomentowałem jego złośliwej uwagi.

Po paru minutach zaczęliśmy się obniżać. Wiatr powoli ustawał, a jego świsty stopniowo zastępował wściekły zwierzęcy ryk.

- Ma pan szczęście, Cerberus już się obudził - mrugnął do mnie przewodnik. - Zazwyczaj śpi. Za chwilę będą go karmić. Nie każdy ma okazję to zobaczyć. Krąg trzeci: żarłocy i opilcy.

Kątem oka obserwowałem, to co działo się przede mną. W zupełności wystarczył mi obrzydliwy smród wymiocin i kału oraz uderzające prosto w serce agonalne krzyki dusz kończących w ogromnym psim żołądku. Byłem naprawdę szczęśliwy, gdy w końcu stamtąd odlecieliśmy. Po krótkiej chwili spokoju nagle usłyszeliśmy potężny huk. Doleciały do nas bojowe okrzyki i odgłosy walki.

Virgil przyspieszył i niedługo potem znaleźliśmy się nad rozległym polem bitwy.

- Krąg czwarty: skąpcy i rozrzutnicy. - Przewodnik kiwnął głową w stronę dwóch oddziałów żołnierzy skazanych na odwieczną wojnę.

W oszołomieniu obserwowałem ludzi, którzy w okrutny sposób mordowali się nawzajem przy akompaniamencie dzikich wrzasków. Brzęczała stal. Krew płynęła strumieniami, a jej kałuże zmieniały się w zdradzieckie bagna. Dookoła śmigły chmary strzał. Gdy wlecieliśmy

w unoszący się dookoła ciemny obłok, zacząłem kaszleć. Parę razy musiałem wysiąkać nos, żeby oczyścić go z wdychanego kurzu i brudu.

- Styks - ogłosił Virgil, kiedy powietrze znowu było w miarę czyste, a odgłosy bitwy pozostały daleko za naszymi plecami.

Szeroka rzeka płynąca pod nami rozdzielała krajobraz na dwie części.

- Krąg piąty, gdzie zamieszkują dusze ludzi gniewnych, na pewien czas został zamknięty i obecnie jest niedostępny dla lotów wycieczkowych - kontynuował przewodnik. - Okrążymy go i zatrzymamy się za Flegetonem. W szóstym kręgu.

Sterowiec zaczął opadać. Zatoczył łuk, a krajobraz na chwilę zlał się w jedną rozmazaną smugę. Mniej więcej po dziesięciu minutach pojazd zwolnił i ostrożnie zbliżył się do ziemi.

- Krąg szósty: heretycy.

Dzięki zręczności Virgila sterowiec zgrabnie wylądował i przez chwilę ślizgał się po nieskończenie długiej ulicy z rozmieszczonymi po obu stronach rzędami grobowców. W środku każdego z nich smażyły się dusze heretyków. Ostry, smolisty odór pieczonego ludzkiego mięsa spowodował, że znowu zacząłem kaszleć. Od ciągłego napinania przepony zaczęło mi się mienić przed oczami. Dałem znak przewodnikowi, żebyśmy odlecieli stąd jak najszybciej. I tak nie było tu nic ciekawego do oglądania.

- Krąg siódmy: bluźniercy i gwałtownicy, którzy zgrzeszyli wobec Boga i bliźnich. Obowiązkowy przystanek.

Minęliśmy siedzibę morderców kapiących się we własnej krwi.

Pojazd wycieczkowy przystanął pośród tych, którzy własną ręką odebrali sobie życie. Dusze samobójców były uwięzione w nowych ciałach, które kształtem przypominały przerażająco powykręcane drzewa lub krzewy. Dookoła rozlegał się cichy jęk.

Virgil wyskoczył ze sterowca, podszedł do jednego z potępieńców i bez skrępowania rozpiął spodnie. Po spróchniałym pniu pociekł mocz.

- Na pana miejscu zrobiłbym to samo. W dziewiątym kręgu niektórzy bardziej wrażliwi osobnicy potrafią nieźle zabrudzić mi tył pojazdu. Chyba nie chciałby pan po sobie sprzątać?

Westchnąłem i przyłączyłem się do niego. Ulżyłem sobie jednak na niezarośniętym skrawku ziemi.

Gdy zapinałem spodnie, stojące nieopodal drzewo nagle wyciągnęło w moją stronę jedną z gałązek i boleśnie oplątało ją wokół mojego nadgarstka.

Ze strachu omal nie stanęło mi serce.

- Nie odchodź - szepnęło drzewo - zostań z nami. W rzeczywistości nie jest tu aż tak źle.

W spróchniałej korze rozpoznałem twarz młodego mężczyzny.

- To rozwiąże wszystkie twoje problemy... Raz na zawsze... - obiecywał. - Dołącz do nas.

- Nie! - wyrwałem się i ze strachem wskoczyłem do sterowca.

Przewodnik roześmiał się i z rozbawieniem poklepał mnie po ramieniu. Wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie patrzyłem na zapadających się w gorącym piasku lichwiarzy i sodomitów. Masowałem bolący nadgarstek. Czulem, że ogarnia mnie złość. Rzeczywiście, nieźle to sobie wymyślił. Fajny sposób na łatwe werbowanie następnych niewinnych dusz. Diabeł nie śpi, cholera!

- Krąg ósmy - ostrzegł mnie Virgil. - Złe Doły.

Znowu wychyliłem się za burtę gondoli i obserwowałem, co dzieje się w najbardziej zaludnionej części piekła. Karę za grzechy ponosili tu uwodziciele, pochlebcy, hipokryci, łapówkarze, złodzieje, siewcy niezgody oraz adwokaci diabła. Specjalnie dla nich wymyślono dowcipne, oryginalne i szczególnie bolesne kary. Biczowano ich, zakopywano w piasku, wieszano głową w dół, przypalano im członki, wkładano je do gorącej wody albo obkładano lodem. Okaleczeni i dręczeni chorobami jęczeli, charczeli, wrzeszczeli, miotali się bezradnie i płakali.

Targnął mną dreszcz. Kakofonia potępieńczych krzyków wryła mi się głęboko w pamięć i czulem, że na wieki pozostanie w moim umyśle.

- Przed nami Cocytus, ostatnia rzeka w piekle, oddzielająca najgłębsza przepaść: dziewiąty krąg - głos Virgila wmieszał się w ogłuszający huk. - Ostrzegam, że więzienie największych zdrajców ma dziwny kształt i obowiązują w nim inne prawa niż w naszym świecie. Przelecimy tylko po zewnętrznej stronie, ale radzę, że tak powiem, „zapiąć pasy”. W przypadku mdłości pod siedzeniem znajduje się papierowy worek. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z wycieczki, i dziękuję za skorzystanie z usług naszej firmy.

Powiedziawszy to, obrócił się do mnie tyłem, i zajmowało go już tylko kierowanie sterowcem.

Wziąłem sobie jego wskazówki do serca i mocno chwyciłem się oparcia. Nagle pojazd zaczął na leb na szyję opadać w przepaść, a ja dostałem potwornych zawrotów głowy. Jednak po chwili przestrzeń pod nami nieoczekiwanie rozstąpiła się i ujrzałem nieskończony wszechświat.

Virgil zahamował, dwa razy obrócił pojazd i zaczęliśmy błyskawicznie unosić się w górę.

Byłem mu za to wdzięczny. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby pragnąć tylko jednego: opuścić to przerażające miejsce jak najszybciej, nie musieć go oglądać ani sekundy dłużej. Wizja potwornej głowy związanego Lucyfera - w nieskończoność polykającego i

wypluwającego dziewięć rozżarzonych, krążących dookoła planet - wystarczyła, aby podrażnić mój pęcherz i żołądek.

Dobrze, że przynajmniej jeden z tych organów został wcześniej opróżniony.

DZIEŃ PIĄTY

PIĄTEK 15.09

Obudziło mnie głośnie walenie w drzwi połączone z histerycznym odgłosem dzwonka. Z nieodpartym uczuciem, że za chwilę eksploduje mi głowa, usiadłem na łóżku i powoli rozbudzałem otępiałe zmysły.

Odkaszlnąłem ze wstrętem. Smród wydobywający się z moich ust był nie do wytrzymania. W czasie drogi powrotnej do domu albo wymiotowałem, albo zjadłem zdechłego szczura.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie pierwszy wariant.

Znowu pukanie do drzwi.

Z trudem dowlokłem się do przedpokoju i otworzyłem natrętnemu gościowi.

Tamarze wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zgadnąć, co się działo w nocy. Poza tym w całym mieszkaniu było czuć śliwownicę.

Tak, istotnie, zanim wyszedłem z baru, Pikulik obdarował mnie dodatkową butelką.

- Wiedziałam, że się schlejesz. Ale żeby aż tak... - pokręciła głową dziewczyna.

Chwyła mnie za podkoszulek, zaciągnęła do łazienki i wsadziła mi głowę pod prysznic. Po chwili zostawiła mnie, a sama wróciła do pokoju.

- Do tej torby spakowałeś rzeczy?! - zawołała, przekrzykując lejącą wodę.

Wysunąłem spod prysznica połowę twarzy, otwarłem jedno oko i kiwnąłem głową.

- Idę zanieść to do samochodu. Jak wrócę, masz być gotowy!

- Mmm - wymamrotałem i pozwoliłem, aby zimny strumień jeszcze przez chwilę zmywał skutki wczorajszego przepicia.

Potem zakręciłem wodę, ostrożnie przesunąłem się w kierunku łóżka i wciągnąłem na siebie spodnie. Niestety, koszula była okropnie przepocona i miała naderwany lewy rękaw. Otworzyłem szafę, starając się znaleźć coś w zamian. Wszystkie czyste ubrania znajdowały się w torbie, a na półce został jedynie nigdy nienoszony podkoszulek z Flinstone'ami, który wygrałem w jakimś konkursie radiowym. Włożyłem go bez zastanowienia. Nagle znowu ogarnęły mnie mdłości i dla bezpieczeństwa oparłem się o szafę.

Dotarłszy jakoś do przedpokoju, sięgnąłem po buty. Były ubrudzone zawartością mojego żołądka i nie miałem odwagi nawet ich dotknąć. Westchnąłem ciężko, klękając przy szafce na buty. Wyciągnąłem z niej pudełko zawierające zupełnie nową, jeszcze nierozchodzoną parę skórzanych mokasynów, które kupiłem zaledwie przed tygodniem. Ale podobno przez następne dwa dni czeka mnie więcej siedzenia niż spacerów...

Tamara wparowała do mieszkania w chwili, gdy starałem się znaleźć kurtkę. Nie było jej ani w przedpokoju, ani gdziekolwiek indziej, nawet pod łóżkiem. Albo wymieniłem ją na stojącą na nocnym stoliku butelkę, albo po prostu zgubiłem. To było jak najbardziej prawdopodobne. Zawsze mam szczęście zostawić coś w taksówce. Było mi przykro z powodu kurtki. Lubilem ją.

- Masz paszport?

Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i przytaknąłem. Cud, że i jego niechcący gdzieś nie zgubiłem.

- Porozmawiamy, jak będziesz w normalnym stanie!

Kiwnąłem głową, zza szafki na buty wyciągnąłem klucze i zamknąłem drzwi.

Ponieważ od paru dni nie działała winda, musieliśmy zejść po schodach. Bez opierania się o poręcz i dwóch krótkich postojów na pewno nie dałbym rady. Ale zważywszy na to, że po wczorajszej nocy omal nie zatrąłem się alkoholem i że spałem może dwie godziny, i tak był to superwyczyn.

W samochodzie oparłem głowę o przyjemnie chłodną szybę. Jeszcze na parę minut zamknąłem oczy...

Na dworze padało. Mimo że Tamara nie zdejmowała nogi z gazu, musiała uważać i nie przesadzać z prędkością. Zapewne dlatego na miejsce przyjechaliśmy tuż przed odlotem naszego samolotu.

Podczas rejestracji i kontroli bagażu pracownik lotniska, zapewne oburzony spóźnieniem, mierzył nas nieprzyjaznym wzrokiem. W pośpiechu nalepił nam na bagaże naklejki z kodem kreskowym i podał bilety lotnicze.

- W Pradze musicie państwo poczekać półtorej godziny na odlot samolotu Lufthansy. Bagaż odbierzecie dopiero w Stuttgarcie - powiedział powściągliwym tonem, po czym dał znak, żebyśmy prędko udali się do kontroli paszportów.

Na szczęście, gdy przechodziłem przez wykrywacz metalu, nic nie pipnęło. Nie musiałem się wracać i przedłużać opóźnienia. Samolot stał bardzo blisko poczekalni, więc podczas szybkiego biegu nawet nie zdążyłem przemoknąć. Ale za to trzęsłem się z zimna. Bieganie w samej koszulce po wrześnieowym deszczu nie jest niczym przyjemnym. Jednak dzięki temu poczułem się trochę lepiej.

* * *

Nikommu nie życzę latania na kacu małutkim samolotem czeskich linii lotniczych z

czterdziestoma współpasażerami.

Wstrząsy podobne do tych w pociągu jakoś da się przeżyć. Klaustrofobia też nie jest w tym przypadku najgorsza. Gdy człowiek ma mocne nerwy, to z równowagi nie są w stanie wyprowadzić go nawet komunikaty wygłaszane przez pilota: „Znajdujemy się siedem tysięcy metrów nad ziemią” albo „Na zewnątrz jest minus sześćdziesiąt stopni Celsjusza”. Jednak zmiany ciśnienia przy wznoszeniu się i stabilizowanie maszyny to zbyt wiele jak na bolącą głowę i wycieńczony organizm.

Najpierw zatkały mi się uszy.

Potem całe moje ciało oblał zimny pot. Przed oczami pojawiły mi się figury geometryczne i diagramy, z jakimi pracują naukowcy od fizyki nuklearnej.

A po chwili dał o sobie znać biedny żołądek...

Gdy tylko znaleźliśmy się w powietrzu i zgasła komenda nakazująca zapięcie pasów bezpieczeństwa, Tamara wyciągnęła katalog z bezcłowym towarem i ignorując moją obecność, zaczęła go przeglądać. Jakoś specjalnie się tym nie przejąłem. Przynajmniej miałem spokój i okazję, żeby poszukać papierowej torby.

Tym razem był to fałszywy alarm. Ale na wszelki wypadek nie zjadłem śniadania.

Za to wlałem w siebie trzy kawy. Zdobycie ich nie było łatwym przedsięwzięciem. Musiałem nieźle się naprosić, aby w końcu ktoś je przyniósł. Stewardesy omijały mnie z daleka. Musiałem fatalnie wyglądać.

- To pański pierwszy lot? - odważyła się zapytać jedna z nich, podając mi z bezpiecznej odległości parujący napój. Dołączyła do zamówienia paczkę odświeżających chusteczek.

- Tak - skłamałem. Nie byłem zdolny do jakichkolwiek wyjaśnień.

Roztrzęsionymi rękami przyłożyłem do ust brzeg plastikowego kubka. Leciałem już samolotem, ale wtedy nie byłem po całonocnej popijawie. W dodatku czeskie linie lotnicze umiliły mi podróż paroma okrążeniami nad Pragę, do których byliśmy zmuszeni ze względu na duży ruch nad lotniskiem i niesprzyjające warunki pogodowe.

Przez następne dziesięć minut musiałem głośno przekonywać mój organ odpowiedzialny za równowagę, że latanie w pozycji pochylej przy ciągle zwiększającym się ciśnieniu jest rzeczą zupełnie normalną. Ale i ja, i mój błędnik ledwo przeżyliśmy tę ciągnącą się w nieskończoność katorgę.

Gwałtowne uderzenie kół o asfalt lotniska przyjąłem jak długo oczekiwane wybawienie.

Z samolotu wybiegłem pierwszy, a do autobusu odwożącego podróżnych do hali lotniska wszedłem ostatni.

Potrzebowałem odświeżającego prysznica, a zimny deszcz był jedynym, który miałem

pod ręką.

* * *

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po wejściu do strefy bezcłowej lotniska Ruzyne, był zakup szczoteczki do zębów. Później wielominutowe szorowanie ich i intensywne płukanie jamy ustnej.

Musieliśmy poczekać na podstawienie boeinga lecącego do Stuttgartu.

Tamara wolny czas wykorzystwała na bieganie po sklepach ze skandalicznie drogim towarem, a ja na wylegiwanie się na czterech krzesłach w poczekalni. Bezmyślnie gapiłem się w telewizor z włączonym kanałem muzycznym i obserwowałem uzbrojonych policjantów łąjących tam i z powrotem ze śmiertelnie poważnymi minami.

Gdy Tamara pojawiła się w zasięgu mego wzroku, jako symbol zawarcia pokoju niosła dwie następne kawy.

Z wdzięcznością przyjąłem tak miłosierny gest i chociaż od buzującej w żyłach kofeiny powoli zaczynał mi grozić zawał serca, zmusiłem się do wypicia jeszcze jednej dawki.

„I co z tego?! - pomyślałem sobie. - Zostało mi tylko dziewięć zakręconych dni. Czy to nie wszystko jedno, kiedy zacznę wachać kwiatki od spodu?”

Po wypiciu kawy stopniowo dojrzewaliśmy do odnowienia wzajemnych kontaktów.

Z mojej strony padła pochwała i podziękowanie za uratowanie od ponownego psychometrycznego omdlenia. Dziewczyna natomiast chciała znać szczegóły mojego wczorajszego snu. Temat pijaństwa i przeprosin za złe zachowanie odłożyliśmy na później.

W momencie gdy zastanawialiśmy się nad znaczeniem mojej wycieczki do piekła (a w międzyczasie zorientowaliśmy się, że mam takie same inicjały jak Dante Alighieri), zadzwonił telefon Tamary.

- Serwus, Bronek, stało się coś? - przyłożyła komórkę do ucha.

Przez chwilę słuchała i nagle aż podskoczyła.

- Niemożliwe! Jesteś pewien?!

Zauważyłem w jej oczach błyskawicznie narastającą panikę.

- Cholera! - zaklęła. Nerwowo rozejrzała się dookoła i nieświadomie skuliła na krześle. - Słuchaj! To bardzo ważne. Musisz ostrzec Stowarzyszenie i poprosić Paulinę, żeby to sprawdziła. Uważaj na siebie!

Skończyła rozmowę i znowu w panice rozejrzała się po hali lotniska.

- Chodźmy! - Chwyciła mnie za rękę. Pobiegłem za nią w stronę najbliższych toalet.

- Ale to jest damskie WC! - zaprotestowałem nagle. - Co się dzieje?
- Wie o nas! - Kto?
- Aziz! - odpowiedziała i zaklęła pod nosem. - Do diabła, jak mógł się dowiedzieć?!
- Kim jest Aziz? Tamara potrząsnęła głową.

- Wy tłumaczę ci to kiedy indziej. Teraz nie ma na to czasu. Nie chodzi o ciebie. To ja mam problem. Ale niebawem wszystko się wyjaśni. - Gwałtownie wysypała na półkę między umywalkami zawartość swojej torebki. - Zmiana planu. Od razu polecisz do Danii. Za, uf... - błyskawicznie spojrzała na zegarek - czterdzieści minut masz samolot do Kopenhagi. Tu są pieniądze na bilet - wsadziła mi do ręki parę banknotów euro - a tu masz adres - z notatnika wyrwała kawałek papieru i w pośpiechu coś na nim naskrobała. - Stryjek nazywa się Imrich Bernáth, mieszka w Thisted. Wsiądziesz w Kopenhadze, pojedziesz na dworzec kolejowy i stamtąd złapiesz bezpośredni pociąg do Thisted. Rozumiesz?

- Tak - przytaknąłem z zakłopotaniem, wpatrując się w kartkę. - Ale co z naszym bagażem?

- Zapomnij o nim - powiedziała, zgarniając rzeczy z powrotem do torebki. - U stryjka zajmą się tobą. Nie szukaj bagażu. Dla własnego bezpieczeństwa.

- A... a co z tobą? - wyjąkałem.

W tym momencie Tamara wybiegła z toalety. Trzaśnięcie drzwiami musiało mi wystarczyć za odpowiedź.

Ze zdziwieniem patrzyłem na kawałek papieru i pieniądze, które trzymałem w ręce.

Ktoś ponownie otworzył drzwi i do środka weszła starsza pani. Gdy mnie zauważyła, zatrzymała się, cofnęła i dla pewności sprawdziła, czy nie pomyliła toalet.

- Pomyłka! - Z wymuszonym uśmiechem na ustach wybiegłem na zewnątrz.

* * *

Długo wpatrywałem się w tablicę z odlotami, zanim do mnie dotarło, że po angielsku „Kopenhaga” pisze się przez „C”. Po tym odkryciu już sprawniej odnalazłem na rozkładzie mój samolot.

Zakląłem i czym prędzej pobiegłem do informacji. Tam oznajmiono mi jednak, że lista pasażerów na najbliższy lot jest już zamknięta, ale jeśli mam coś pilnego do załatwienia, mogę spróbować zapytać bezpośrednio przy wejściu.

Ruszyłem więc na stanowisko A, na które podstawiono samolot. Większość podróżnych już weszła i pewnie zajmowała siedzenia. Miałem szczęście, bo i dla mnie znalazło się wolne

miejsce. Gotówką zapłaciłem za bilet i jako bonus dorzuciłem historyjkę o niespodziewanej chorobie brata pracującego w Kopenhadze. Dzięki temu nie musiałem tłumaczyć braku jakiegokolwiek bagażu. Pracownicy lotniska długo oglądali mój paszport, a dwoje z nich zabrało go i gdzieś z nim pobiegło. Zdenerwowałem się, ale w sumie mieli rację. Przed nimi stał rozczochrany mężczyzna w koszulce z Flinstone'ami, z siedmiodniowym zarostem na brodzie, a z ust wydobywała mu się mieszanka śliwowicy i pasty Colgate. Do tego dopiero co chciał lecieć innym samolotem i nagle mu się odwidziało... Co byście na ich miejscu zrobili?

Ale wszystko dobrze się skończyło i zostałem wpuszczony na pokład. Paliwo lotnicze jest drogie, więc w końcu dla linii lotniczych liczy się każda zarobiona korona.

* * *

Pośpiech i porządna dawka adrenaliny na chwilę wypędziły z mojej głowy kaca, ale w samolocie znów mnie dopadł.

Zignorowałem wszystkie trzy wersje powitania pasażerów oraz zasad bezpieczeństwa - czeską, angielską oraz duńską - zamknąłem oczy i spróbowałem się zdrzemnąć. Pólsen sprawił, że mniej odczuwałem turbulencje. Lot trwał dosyć krótko. Po pewnym czasie stewardesy obudziły mnie na obiad. Tym razem nie odmówiłem i muszę przyznać, że mimo pewnych dwuznacznych sygnałów z żołądka, jedzenie dodało mi siły. Gratisową buteleczkę zawierającą dwudziestkę piątkę brandy dla pewności szybko schowałem do kieszeni. Nie chciałem, aby niepotrzebnie mnie kusiła.

Opadanie i hamowanie samolotu znów było nieprzyjemne, ale gdy stanąłem na twardym gruncie lotniska, od razu poczułem się lepiej.

Zacząłem zastanawiać się nad swoją sytuacją. Miałem tylko adres, paszport, portmonetkę, a w niej parę euro, które zostały mi z biletu, i jakieś słowackie banknoty, których liczba wyraźnie się zmniejszyła po wczorajszym chlaniu. Niby niewiele, ale przy odrobinie szczęścia powinno wystarczyć, aby przeżyć.

Przemierzałem wielokilometrowy budynek lotniska, szukając drogi na zewnątrz. Organizm powoli otrząsał się z alkoholowego otepienia. Marzłem. Z zaciśniętymi zębami obserwowałem strzałki z napisem „Exit” i starałem się nie zauważać szalejącej na zewnątrz ulewy.

Do wyjścia przedostałem się przez punkt wydawania bagażu. Szedłem wzdłuż ogromnej hali i podziwiałem ciągnące się w nieskończoność przenośniki, a na nich tony walizek, tobołów, papierowych pudeł i toreb podróżnych o najróżniejszych kształtach, rozmiarach i

kolorach. Nagle w głowie zrodził mi się szaleńczy pomysł i ogarnęła mnie nieodparta pokusa.

Nikt nie stał przy ostatnich ruchomych taśmach wynurzających się z podziemi lotniska. Właściciele bagażu prawdopodobnie dopiero opuszczali samolot. Myśl o tym, jak są daleko, sprawiła, że tym bardziej nie umiałem się powstrzymać.

Złapałem wózek. Z taśmy, nad którą świecił napis „Kijów”, zgarnąłem pierwszą lepszą torbę i udałem się do wyjścia.

Potrzebowałem tylko kurtki. Planowałem, że resztę bagażu zostawię gdzieś w widocznym miejscu. Gdzieś, gdzie go na pewno znajdą. Bez problemów minąłem kontrolę lotniczą, której pracownicy ze znużonymi wyrazami twarzy obserwowali podróżnych przez kuloodporną szybę. W końcu wszedłem do komory z dwóch stron zabezpieczonej drzwiami na fotokomórkę. Oddzielała miejsce wydawania bagażu od holu, w którym na podróżnych czekały ich rodziny i przyjaciele. Nagle przypomniałem sobie o cyfrówkach czatujących na każdym lotnisku przy wyjściu ze strefy międzynarodowej i szybko wyciągnąłem z kieszeni chustkę. W chwili, gdy otworzyły się drugie drzwi, przyłożyłem ją do twarzy, udając, że wycieram nos, i jak najszybciej wbiegłem do drugiej hali. Odetchnąłem z ulgą, kiedy mignął mi przed oczami słaby błysk. Idealne wyczucie czasu - wybrałem odpowiedni moment. Nie rozpoznają mnie nawet w Interpolu!

Moja radość nie trwała długo. Wziąłem zbyt duży rozpęd. Nie udało mi się zahamować i zaślepiiony wcześniejszym powodzeniem nagle wpadłem w grupę japońskich turystów, którzy akurat filmowali mima udającego robota.

Dwoje z nich krzyknęło z bólu, a wszystkie dwadzieścia kamer obróciło się w moim kierunku.

No tak. Teraz to mają mnie z przodu i z profilu!

Zbladłem.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Wszyscy stali jak wryci.

Tylko kamery cicho buczały i spoglądały mi prosto w twarz.

- *Dorno arigato, Hokkaido!* - opamiętałem się i pomachałem do stojącej z tyłu szczupłej Japonki. Według mojej słabej znajomości japońskiego miało to znaczyć coś w stylu: „Cześć, Hokkaido!”.

Tak, oczywiście, wiem doskonale, że nikt normalny w Japonii nie nazywa się Hokkaido, podobnie jak nikt na Słowacji nie ma na imię Bratysława albo Niżne Tatry. Strasznie głupio to zabrzmiało, ale przyszedł mi do głowy tylko aktor Jackie Chan. Gdybym tak powiedział do tamtej dziewczyny, byłoby pewnie jeszcze gorzej. Najważniejsze, że poskutkowało. Wszystkie kamery jak na rozkaz skierowały się w stronę Japonki, która stała z szeroko

rozdziawionymi ustami i kompletnie nie wiedziała, co zrobić. Bez wahania wybiegłem razem z wózkiem prosto w szalejącą ulewę. Boże, pomóż mi jak najszybciej się stąd wydostać! Nie miałem pojęcia, co należałoby powiedzieć duńskiej ochronie lotniska, gdybym przypadkiem wpadł w jej ręce. Po duńsku umiałem jeszcze mniej niż po japońsku.

Przed wejściem stała taksówka z otwartymi drzwiami.

Bez namysłu odepchnąłem wózek, drucianą czterokołową kolubrynę, i razem z torbą wgramoliłem się do środka.

- *Railway station!* - krzyknąłem szybko do tureckiego kierowcy.

Po chwili wyruszyliśmy w drogę.

* * *

Nie wiedziałem, jak daleko jest do dworca. Gdy po dziesięciu minutach jazdy Turek ani myślał się zatrzymać, znów oblał mnie pot. Zapytałem kierowcy, czy mogę zapłacić w euro. Odpowiedział, że tak. Otworzyłem portfel i policzyłem, że zostało mi jedenaście monet z symbolem Unii Europejskiej.

Ups, w kasie lotniska pomylili się i wydali mi za dużo pieniędzy. Zapytałem, czy to wystarczy.

Samochód gwałtownie zahamował, a ja omal nie rozwaliłem głową przedniej szyby.

Potem taksówkarz mnie skasował. Chciałem się z nim jakoś dogadać, ale zdecydowanie odmawiał przyjęcia słowackich koron, tylko wskazywał drzwi. I deszcz. Zostałem wysadzony tuż obok skrzyżowania niedaleko skomplikowanej sieci kanałów i mostów. Zanim dobiegłem na najbliższy przystanek autobusowy, przemokłem do suchej nitki. Pod zadaszeniem na szczęście nikt nie stał. Wreszcie mogłem w spokoju otworzyć ukradzioną torbę. Gdy natrafiłem ręką na biustonosz, omal mnie szlag nie trafił.

Nieszczęścia chodzą parami... ot co!

Ze smutkiem wyciągnąłem długą żółtą pelerynę - jedyną część garderoby, w której nie wyglądałbym na zboczeńca. Okryłem się nią, ale na wszelki wypadek nie zapiąłem guzików. Lepiej, żeby nikt nie zobaczył, że mam je przyszyte po nieodpowiedniej stronie. Potem szczegółowo przestudiowałem mapkę wiszącą obok rozkładu jazdy. Niestety był to tylko schematyczny wykres linii autobusowych. Duńskie opisy przystanków pełne krążkowanych liter „a”, dziwaczne zniekształconych „e” i przekreślonych „o” nie rozjaśniły mi umysłu.

Zarzuciłem torbę na ramię, na głowę włożyłem czapkę z napisem „Družba” cyrylicą i poszedłem w kierunku, w którym jeszcze niedawno wiozła mnie taksówka.

* * *

Po lewej stronie mijały mnie samochody i od czasu do czasu zalewały moje ubranie fontannami wody ze stojących wszędzie kałuż. Przyglądałem się całym peletonom rowerów o najróżniejszych rozmiarach i kształtach przeznaczonych do jeżdżenia w pozycji siedzącej, leżącej na brzuchu lub na grzbiecie, z pedałami przeznaczonymi dla rąk i dla nóg. Całkowicie przyjazny zdrowiu sposób transportu. Dziwiłem się jednak, że fatalna pogoda nie zdołała zmusić sportowców do pozostania w domach.

Zaraz za przerzuconym nad szerokim kanałem mostem, gdzie parkowały promy i łodzie, zaczynało się centrum. W końcu znalazłem przejrzystą mapę z angielską legendą. Z ulgą stwierdziłem, że idę w odpowiednim kierunku i znajduję się w połowie drogi. Zapamiętałem główne punkty informacyjne, po czym pełen zapału ruszyłem przed siebie. Niedługo potem trafiłem na kantor. Zamieniłem wszystkie słowackie korony na duńskie i modliłem się, żeby starczyło na pociąg.

Minąłem co ważniejsze zabytki, okazały ratusz i sławne Tivoli, ale nie poświęciłem im ani chwili uwagi. Chciałem jak najszybciej dostać się na miejsce i po czterdziestu pięciu minutach byłem już na dworcu. Tam, w gigantycznym budynku z mnóstwem tablic, napisów, symboli i niekończących się komunikatów o każdej minucie opóźnienia odjeżdżających lub przyjeżdżających pociągów, znów się zgubiłem. Gdy w końcu znalazłem monitor wyświetlający słabo widoczną informację o istnieniu jakiegokolwiek pociągu zmierzającego do Thisted, zorientowałem się, że odjechał pół godziny temu.

Postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Rozpocząłem prywatne śledztwo. Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś bezpośrednio przy kasie. Sympatyczna pani w kolejarskim mundurze z uśmiechem oznajmiła mi, że dzisiaj nie ma już bezpośredniego pociągu do Thisted. Najbliższy jedzie jutro o jedenastej. Zaproponowała mi połączenie z czterema przesiadkami na stacjach, o których nigdy w życiu nie słyszałem, i dodała, że na miejsce dojadę jeszcze przed północą.

Podjęcie decyzji ułatwiła mi cena biletu. Okazało się, że mam za mało pieniędzy.

Zapewniłem kasjerkę, że aż tak mi się nie spieszy i poczekam do jutra. Z trudem znalazłem wyjście, skąd udałem się do najbliższego banku.

Przywitano mnie z uśmiechem - takim samym, jakbym był nie w Danii, ale u siebie w pracy. Wsadziłem rękę do kieszeni w spodniach. Moi duńscy koledzy z zainteresowaniem obejrzelili słowacką kartę do bankomatu, ale poradzili mi, żebym lepiej z niej nie korzystał.

Zaproponowałem inne rozwiązanie. Wspólnymi siłami drogą elektroniczną dotarliśmy do mojego konta. (Niech żyje Unia Europejska, IBAN i Internet!) Ale tym razem też nie dopisało mi szczęście - jeszcze nie dostałem pensji. Zawartość mojego konta mogła starczyć za ledwie na opłatę za przelew. Zrezygnowałem. Byłem w kropce.

Co będzie dalej? Musiałem się dobrze zastanowić. Może pójde do ambasady?

Na Boga, czy my tu w ogóle mamy jakąś ambasadę? Hm. Może nie jest aż tak źle. Wizytę w konsulacie postanowiłem zostawić sobie jako ostatnią deskę ratunku.

Musiałem znaleźć jakieś inne wyjście z tej sytuacji.

Z poczuciem klęski przenieśliem się na pobliski skwerek. Usiadłem na ławce pod drzewem, które osłaniało ją przed deszczem, i dokładnie przeszukałem torbę nieznannej ukraińskiej turystki. Znalazłem discman marki Sony oraz parę płyt zespołu Queen. Z przykrością stwierdziłem, że muszę się ich pozbyć. Wcześniej naiwnie wierzyłem, że jakimś cudem uda mi się zwrócić rzeczy właścicielce. Ale potrzebowałem gotówki i nic nie mogłem na to poradzić. Wybrałem się na poszukiwanie lombardu.

Nie było to proste, zwłaszcza że nie wiedziałem, jak jest „lombard” po duńsku lub po angielsku.

Biegałem w deszczu po ulicach Kopenhagi. Wchodziłem do wszystkich możliwych sklepów, które na ogół okazywały się antykwariatami. Przeklinałem wszystkie trunki świata za to, że wczoraj pozbawiły mnie sił, których tak dziś potrzebowałem. Ledwo żywy po trzech godzinach bezsensownych poszukiwań przypadkiem natrafiłem na grupę mówiących po czesku Cyganów, którzy wyemigrowali tu jakiś czas temu. Boże pobłogosław duńską politykę mniejszościową!

Nie tylko zrozumieli, czego szukam, ale solidarnie polecili najlepszy interes w mieście, szczegółowo wytłumaczyli, jak się tam dostanę, a potem zaprowadzili mnie na miejsce.

Stary Chińczyk siedzący za malutkim blatem w pomieszczeniu wielkości spizarni wziął ode mnie wszystko - discmana, słuchawki i płyty CD - i wcisnął mi do ręki gotówkę. W przyływie radości zaraz po dokonaniu transakcji wbiegłem do znajdującego się naprzeciwko sklepu z pamiątkami i kupiłem czapkę z daszkiem ozdobioną duńską flagą. Potem przysła kolej na McDonalda, którego mają tu na każdym rogu, i Big Maca z wielką porcją frytek.

Wreszcie mogłem odpocząć.

Wiedziałem, że wystarczy mi nie tylko na bilety, ale też na hotel i porządną kolację. Zmieniłem plany i zdecydowałem, że podróż z czterema przesiadkami jest zbyt ryzykowna. Teoretycznie spokojnie zdążyłbym na pociąg. Ale to nie byłoby najlepsze posunięcie. Zmrok zapadłby w chwili, gdy znajdowałbym się w pociągu i do tego mógłbym nie znaleźć

wygodnego miejsca na spokojną kontemplację. Poza tym nie miałem pojęcia, o której się ściemnia w północnej Europie.

Na wszelki wypadek postanowiłem być oszczędny. Zamiast zwykłego hotelu wybrałem coś w stylu hotelu robotniczego. Znajdował się niedaleko dworca. Pokoje były względnie czyste, a w szufladzie nocnego stolika nie brakowało nawet trójjęzycznej Biblii.

* * *

Po krótkim odpoczynku w kiwającym się fotelu zebrałem resztki sił i postanowiłem się ogarnąć. Mokre ubrania rozwiesiłem na kaloryferach, wziąłem prysznic i ogoliłem się damską golarką produkcji ukraińskiej. Była trochę tępa i z pewnością przeznaczona do innych partii ciała niż moja broda, ale dzięki niej znów wyglądałem jak człowiek.

Podczas dzisiejszej wycieczki najbardziej ucierpiały moje nogi. Zapłatą za rozchodzenie nowych butów było parę wielkich bolesnych pęcherzy na stopach. Sycząc i jęcząc, delikatnie je przekłułem i zdezynfekowałem gratisową brandy, którą dostałem od Czeskich Linii Lotniczych. Potem po raz ostatni przeszukałem ukradzioną torbę, łudząc się, że znajdę w niej coś interesującego. Niestety, oprócz żółtej peleryny i kosmetyków nie zawierała nic użytecznego. Zamknąłem ją, wsunąłem pod łóżko i zdecydowałem, że jutro się jej pozbędę.

Gdy moje rzeczy były już suche, zszedłem na dół na kolację. Dzisiaj już po raz trzeci nieźle się najadłem, a podczas sjeisty przy kawie udało mi się sprawdzić dokładny czas zachodu słońca. Duńczycy umieszczają go w stopkach wszystkich lokalnych gazet. Chyba w celu poinformowania czytelników, od której godziny policjanci mogą wlepić im mandat za niewłączenie sygnalizacji świetlnej w samochodzie lub rowerze. Ciągle miałem mnóstwo czasu. W Kopenhadze ściemniało się pół godziny później niż u nas.

Po kolacji wróciłem do pokoju. W końcu mogłem wygodnie rozłożyć się na łóżku. Włączyłem sobie radio i dla zabicia nudy łąpałem różne stacje. Nagle jakimś cudem natrafiłem na czeski program. Wydaje mi się, że to była Praga-1. Niestety akurat wtedy, gdy zaczynała się audycja dla cudzoziemców. Przełączyłem radio z powrotem na duńską stację. O dziwo, zaskoczyła mnie blokiem, w którym prezentowali nowe ekscentryczne zjawisko muzyczne prosto z Polski. Ku mojemu zdumieniu, spokojnie dało się tego słuchać.

* * *

W pokoju powoli zaczęły wydłużać się cienie. Czuję, jak opuszcza mnie dobry nastrój.

Gapilem się w sufit. Leżąc z założonymi pod głową rękami, uświadomiłem sobie, że czarodziejska niebieska kuleczka, której niedługo będę potrzebować, leży w pudełku od zegarka na dnie mojej torby podróżnej, a torba prawdopodobnie krąży teraz samotnie na ruchomym pasie gdzieś na lotnisku w Stuttgarcie. Oczywiście jeśli nie „pożyczył” jej sobie jakiś inny desperat.

Zakląłem pod nosem i ze złości zazgrzytałem zębami. Nie zostawało mi nic innego, jak tylko odwiedzenie wspólnej toalety, zdobycie dwóch rolek papieru na wypadek krwotoku i oczekiwanie następnego psychometrycznego ataku.

Za oknem zapadł zmrok. Z zaciśniętymi pięściami w napięciu obserwowałem powoli zmieniające się cyfry na budziku. Przekonywałem sam siebie, że może zostanie mi oszczędzona kolejna udręka. Może wczoraj niechcący opuściła mnie nabyta zdolność wczuwania się w cierpienie i ból innych ludzi.

Może dziś to nie nastąpi...

Błąd.

Nastąpiło.

Szybko i boleśnie.

Z idealnym wyczuciem czasu.

Tylko że tym razem nie prześladowały mnie żadne dźwięki ani wizualizacje. To, co poczułem w swojej głowie, ominęło wzrok czy słuch i opanowało cały mój umysł.

Pojawiła się w nim cudza jaźń.

Zmęczona życiem postać tonąca w morzu smutku, depresji, rozpacz, zwątpienia i frustracji.

Rozum dążący do jednego celu.

Myśl, która w końcu znalazła rozwiązanie...

Jakie rozwiązanie - to zrozumiałem, czując gwałtowny ból w nadgarstku. A więc dostałem pokój po samobójcy. Po mężczyźnie, który zakończył swe nieszczęsne życie w łóżku, na którym właśnie leżałem. To jego twarz widziałem w korze drzewa z wczorajszego snu.

Desperat, którego nieszczęśliwa miłość, niewyrozumiali rodzice i niepowodzenia w życiu osobistym doprowadziły do grzesznego czynu.

Byłem w jego głowie, a on był w mojej.

Materac pode mną z pewnością mógł zdać mi relacje z wielu innych cierpień, ale podcinanie żył bezsprzecznie zwyciężyło wszystko inne. Zacząłem krzyczeć.

Nagle zdrętwiały mi mięśnie. Poczułem, jak słabnie moja wola.

Młody mężczyzna zapanował nade mną i już mnie nie wypuścił.
Wspólnie jeszcze raz z najmniejszymi szczegółami przeżyliśmy jego ostatnią noc.
Potem straciłem przytomność. Jeśli dobrze pamiętam, to już trzeci raz w tym tygodniu.

* * *

A w tym samym czasie...

Pan Sokołowski właśnie oglądał swoją ulubioną wenezuelską telenowelę, gdy nagle przeszkodził mu natrętny dzwonek do drzwi. Zaklął pod nosem, odstawił puszkę piwa, wsadził podkoszulek do spodni i niechętnie udał się do przedpokoju.

- ...ak - powiedział.

Zapewne miało to oznaczać: „Tak?”.

W drzwiach stał starszy mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu, pilśniowym kapeluszu i rękawiczkach. Miał jasną cerę i siwą, krótko przyciętą, dobrze utrzymaną bródkę.

- Dobry wieczór - przywitał się z wyraźnym rosyjskim akcentem. - Przepraszam, że przeszkadzam. Jestem z administracji. Ktoś zgłaszał ulatnianie się gazu. Prawdopodobnie w mieszkaniu obok. Pańskiej sąsiadki, panny Bernáthowej, nie ma obecnie w domu. Nie wie pan, kiedy wróci albo kiedy mogę ją zastać? To pilne.

Pan Sokołowski nienawidził takich ugrzecznionych gości w podeszłym wieku. Według niego to były zwykłe pedały. Jego zdaniem prawdziwy mężczyzna powinien umieć głośno bekać, pierdzieć, smarkać, drapać się po jajach i sikać w kiblu przy otwartych drzwiach. I oczywiście zostawiać podniesioną deskę klozetową. Facet stojący za progiem na pewno nie miał o podobnych sprawach zielonego pojęcia. Poza tym to imigrant. Czemu nie siedzi w domu ze swoimi matrioszkami?! Nie, w ogóle się panu Sokołowskiemu nie podobał.

- Ulatnianie gazu? My-ic takiego nie zgłasza-śmy...

- Tak, tak - kiwnął głową mężczyzna. - Wiem o tym. Zgłaszało to małżeństwo, które mieszka piętro niżej. Awaria wystąpiła prawdopodobnie w przeciwnym pionie.

- No to tam trza...

- Nie, ja już to sprawdziłem.

- Tak bez narzędzi?

- Zapewniam, że wszystko, czego mi potrzeba, noszę przy sobie.

- Panie, jestem hydraulikiem i mam też kolegów na gazowni - pochwalił się pan Sokołowski. - I żaden z nich nie robi ...ez narzędzi. I do tego w... tak ubrany...

- Ja nie z gazowni. Jak już mówiłem, ja z administracji.

- ...ech mi pokaże dowód osobisty, ...naczej nie będziemy dalej rozmawiać.

Starszy pan w jasnobrązowym płaszczu westchnął z rozczarowaniem. Za cara wszystko było łatwiejsze. Ludzie byli bardziej ufni, o wiele bardziej otwarci. No i wtedy nie było jeszcze dowodów osobistych.

- Ależ oczywiście - powiedział z szerokim uśmiechem i sięgnął do kieszeni.

Następny moment przyniósł parę wydarzeń naraz, a pan Sokołowski nawet się nie zorientował, jak do tego doszło.

Uświadomił sobie, że w jednej sekundzie klapnęły zamykane drzwi, pedał w prochowcu znalazł się w jego przedpokoju i nim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć won!", trzymał go za kark jakiegoś trzydzięści centymetrów nad ziemią.

- Panie Sokołowski, jest pan bardzo nieodpowiedzialnym lokatorem. Nie chce pan współpracować! - skarcił go i z niewiarygodną siłą zaczął uderzać nim o ścianę.

Choć pan Sokołowski ważył sto dziesięć kilo i dzięki temu koledzy z pracy czuli do niego respekt, uderzenie zaparło mu dech w piersiach. Ze zdziwieniem wytrzeszczył oczy.

Mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu zaczął powoli ściągać rękawiczki.

- Chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie, panie Sokołowski. Gdzie mogę znaleźć pannę Bernáthową?

Słyszał go, ale nie potrafił odpowiedzieć. Patrzył na jego ręce. Były popielate z nienaturalnie długimi palcami. Pokrywały je szarozielone łuski.

Mężczyzna chwycił pana Sokołowskiego za głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Wie pan?

Poczuł wypieki na policzkach i pieczenie w uszach. Zaczęły tlić mu się włosy na skroniach.

- ...ezu Chryste! - jęknął.

Z rozwartych szeroko nozdrzy gościa buchnął kłęb dymu.

- Nie! - krzyknął pan Sokołowski. - P...awie jej nie znam. Nie wiem, gdzie pracuje...

Przyznałby się nawet do własnej impotencji. Ból był nie do zniesienia.

- *Charaszo*. No widzi pan, nie można było tak od początku? Obejrzałby pan odcinek. - Mężczyzna w jasnobrązowym płaszczu postawił go na ziemi i uchylił drzwi do pokoju gościnnego. Na ekranie telewizora właśnie pojawiły się napisy końcowe. - Wie pan, że na końcu serialu Chose dowiaduje się, że jego własny ojciec zrobił jego żonie dziecko, i zabija go podczas kłótni? Piękna scena...

Pan Sokołowski trzymał się za krwawiące uszy. Spojrzał ze łzami w oczach na

mężczyznę w prochowcu.

- Przykro mi, że jej pan nie zobaczy... - usłyszał. Słowa nic nie znaczyły, ale chodziło o to, żeby go udobruchać.

- Za chwilę wróci moja żona. - Wzdrygnął się. - Poszła ...ylko na zakupy. Zara będzie z powrotem - mamrotał.

Gość z rosyjskim akcentem uśmiechnął się tylko.

- W porządku. Myślę, że dzisiaj pańska żona będzie mieć mniej problemów z gotowaniem niż zwykle.

Zdjął ze ściany starodawny zegar z kukułką. Zważył go w ręce i jednym ciosem rozbił panu Sokołowskiemu czaszkę.

* * *

Po wielogodzinnym błędzeniu w ciemnym labiryncie w końcu znalazłem nić. Była wilgotna i lepka jak wszystko dookoła. Ale ucieszyłem się. Trik Tezeusza jest znany od tysięcy lat. Nic dziwnego, że już wcześniej ktoś w podobny sposób próbował znaleźć wyjście z lochów.

Skąd mogłem wiedzieć, że to następna pułapka zastawiona przez Minotaura!

Przypadkowo obrałem jeden z dwóch możliwych kierunków i wytrwale kontynuowałem podróż wzdłuż napiętego włókna. Na następnym skrzyżowaniu stwierdziłem, że znaleziona nić nie jest jedyna. Po chwili potknąłem się o kolejną i niechcący przerwałem ją nogą. Gdy już byłem za rogiem, trzecia z kolei przylepiła mi się do twarzy.

Odczytałem to jako dobry znak.

Nici krzyżują się ze sobą. Niedługo dotrę do wyjścia!

Łudziłem się nadaremnie...

Nici wciąż przybywało, a w gęstniejącej ciemności nadal nie było widać ani odrobiny światła.

Po pewnym czasie na każdym kroku zacząłem potykać się o przedzę najróżniejszej grubości, która zamiast nieść mi pomoc, spowalniała marsz. Ale nie traciłem nadziei. Wiedziony jakimś wewnętrznym instynktem zręcznie przedzierałem się przez niewidzialne sploty i parłem do przodu. W końcu poczułem powiew świeżego powietrza. Korytarz był jednak całkowicie zatarasowany nićmi i aby się z niego wydostać, musiałem pokonać tę pajęczynę.

Poczułem przyływ energii. Ostatnia przeszkoda nie była w stanie mnie zniechęcić.

Wpadłem w szal. Z wściekłością targalem otaczające mnie włókna. Na własną zgubę, niestety. Pragnąc wyjść na wolność, zaplątałem się w otaczającej mnie przędzy i utknąłem w samym jej środku.

Wtedy przyszedł po mnie Minotaur.

W ciemności błysnęło osiem czerwonych oczu i kłapnęły potężne szczęki. Osiem włochatych kończyn błyskawicznie wyrwało mnie z pułapki i przycisnęło mi ręce do ciała. Omotały mnie strugi świeżego jeszcze, ciepłego kleju, który szybko tężał w postaci włókien. Zostałem ponownie uwięziony. Zawisłem pod ogromnym głowotułowiem potwora.

Nie mogłem nawet zaprotestować.

Nieruchomy niczym poczwarka zostałem przeniesiony do nory wielkiej pajęczycy. Może była potomkiem samej Ungolianty lub innego stworzenia żyjącego na ziemi od zarania dziejów. A może tylko zmutowanym potworem pochodzącym z próbówki szalonego naukowca. Obojętnie, skąd się wzięła, gdy posadziła mnie na spróchniałym krześle naprzeciwko siebie, w jej oczach dostrzegłem niezaprzeczalny błysk inteligencji.

To, że nie była zwyczajnym stworzeniem, potwierdzały nie tylko jej rozmiary. Wzrok także wyrażał o wiele więcej, niż tylko zwierzęcy głód i potrzebę podtrzymania gatunku. Dostrzegłem w nim prawie ludzkie rozbawienie i szczyptę złośliwości. Potwierdzając moje spostrzeżenia, pajęczycy uwolniła mnie i postawiła między nami stolik z szachownicą. Na wyciągnięcie ręki przysunęła sobie wielką tablicę ze sławnym szkicem Leonarda da Vinci przedstawiającym mężczyznę o podwójnej liczbie kończyn wpisanego w doskonały okrąg.

Przez cały czas ani na sekundę nie spuściła ze mnie wzroku.

Z niecierpliwością czekałem, co z tego wyniknie.

Spod stolika wyciągnęła drewniane pudełko i wysypała z niego szachy. W mgnieniu oka ustawiła swoje czarne figurki i dała mi znak, że mam to samo zrobić z białymi. Postuchałem jej i pełen obaw stwierdziłem, że do dyspozycji mam tylko osiem pionów - żadnych wieży, koni, gońców, nawet króla lub hetmana.

Najwyraźniej sprawiedliwość nie była jej mocną stroną.

Oczywiście pierwszy ruch zawsze należy do białych...

Roztrzęsionymi rękami złapałem jednego wyrzeźbionego z kości słoniowej nieszczęśnika i posunąłem go o jedno pole w przód...

Po trzech następnych ruchach straciłem pierwszą figurkę. Pajęczycy koniem zbiła mi stojącego z brzegu szachownicy pionka i z niechęcią wrzuciła go z powrotem do pudełka.

Zdrętwiałem.

Z ogromnej gardzieli wydobyło się młasnęcie przypominające odrobinę śmiech. Jedna z

kończyn potwora uniosła się w stronę szkicu Leonarda i kredą przekreśliła dwie lewe ręce nagiego mężczyzny. Dopiero wtedy zauważyłem, że czerwone kreski dzieliły jego ciało na osiem części.

Po moich plecach przeszły ciarki. Szkic nie wyobrażał już idealnych proporcji ludzkiego ciała. Zaczął mi raczej przypominać rysunki, na których uczą przyszłych rzeźników, jak sprawiać mięso. Tylko że tym razem liczby oznaczały ludzkie górne i dolne kończyny, głowę, biodra, żebra...

Osiem części, tak jak osiem figurek.

Tak wyglądała w skrócie moja przyszłość.

Pajęczycyca szturchnęła mnie niecierpliwie. Nie chciała, abym przedłużał grę.

Znowu przyszła kolej na mój ruch...

DZIEŃ SZÓSTY

SOBOTA 16.09

Z hotelu wyprowadziłem się tuż przed dziewiątą. Nie wiedziałem, o której godzinie wymieniają w sobotę pościel, ale wolałem zniknąć, zanim jakaś kobieta w fartuchu zjawi się w drzwiach mojego pokoju i podniesie niezły lament na widok czerwonych plam zdobiących łóżko. Podczas wczorajszego ataku krwawiłem jak zarzynane prosię.

Skradzioną torbę wyrzuciłem do najbliższego kontenera na śmieci. W drodze na dworzec kolejowy zatrzymałem się w informacji turystycznej i zgarnąłem wszystkie broszurki i ulotki, jakie tylko mieli. Potem kupiłem bilet do Thisted i czekając na ławce w holu, oglądałem swoją zdobycz. Ogolony, ubrany w przeciwdeszczową pelerynę i czapkę z daszkiem wyglądałem jak zwyczajny turysta. A co najważniejsze, nie przypominałem już mężczyzny ze zdjęcia, które mi zrobiła ochrona lotniska. Co prawda szczerze wątpiłem, czy tym znudzonym ludziom za kuloodpornymi szybami chciałoby się podjąć jakieś działania w sprawie zniknięcia ukraińskiego bagażu, ale i tak zmiana wyglądu dodała mi pewności siebie.

Napięcie ostatecznie ze mnie opadło, kiedy znalazłem się w pociągu.

Siedziałem w prawie pustym wagonie i obserwowałem krajobraz. Od czasu do czasu spomiędzy chmur wychylało się parę promieni słonecznych i ożywiało ostatki zieleni pokrywające niekończące się niziny wysp duńskich. Mijaliśmy gospodarstwa, malownicze miasteczka i wioski, niewielkie lasy, rozległe pola, samotnie stojące urocze białe kościółki z czerwonymi dachami i całe kompleksy nowoczesnych elektrowni. Problem transportu przez cieśniny znajdujące się między wyspami rozwiązywały głębokie tunele i wielokilometrowe mosty.

Jadąc wzdłuż wybrzeża, śledziłem wzrokiem żaglówki i łodzie rybackie. Staralem się nie myśleć o dręczących mnie nocnych koszmarach i przeżyciach ostatnich dni. Jednak wciąż powracało pytanie, gdzie jest teraz Tamara i w jak bardzo szalonym towarzystwie podróżuje. Brakowało mi jej. Ale z drugiej strony cieszyłem się, że jej nie ma. W zupełności starczyły mi moje wczorajsze kłopoty.

Oznaczenia stacji kolejowych są w Danii o wiele bardziej przejrzyste niż na Słowacji. Uważnie śledziłem każdy przejechany kilometr i bez kłopotów porównywałem trasę z mapą, którą za ostatnie pieniądze kupiłem w Kopenhadze. Dzięki temu bezbłędnie wysiadłem na odpowiedniej stacji. Choć dałbym radę i bez mapy - była końcowa.

Thisted to małe miasteczko leżące w północno-zachodniej części Półwyspu Jutlandzkiego. Leży zaraz przy brzegu cieśniny Limfjorden, przez którą, gdy spojrzeć na mapę, górna część Danii wydaje się odkrojona od reszty.

Brak pieniędzy wykluczył możliwość skorzystania z komunikacji miejskiej lub użycia telefonu. A żebrać się wstydziłem. Postanowiłem, że mimo odcisków na stopach zrobię sobie pieszą wycieczkę. Pierwszą osobą, którą spotkałem po opuszczeniu dworca, była wygrzewająca się na ławce kobieta z dziecięcym wózkiem. Poprosiłem ją, żeby mi wytłumaczyła, gdzie znajdę ulicę, której szukałem. Jej nazwę musiała przeczytać bezpośrednio z kartki Tamary, bo ja nie potrafiłem wymówić tej piętnastoliterowej plątaniny głosek. Kobieta mówiła po angielsku gorzej ode mnie, ale w końcu jakoś się dogadaliśmy. Główną rolę w naszej komunikacji odegrały ruchy rąk i nóg.

Udałem się we wskazanym kierunku. Nie minęło nawet dwadzieścia minut, gdy doszedłem na skraj miasta. Stałem na asfaltowej szosie, a po jej obu stronach ciągnęły się chodniki i domki jednorodzinne. Droga krzyżowała się z inną tuż obok parku z jeziorkiem, a potem wiodła daleko przez pola.

Na szczęście była dobrze oznakowana, jak wszystko w Danii. Litera po literze odcyfrowałem nazwę na tabliczce, porównałem z notatką Tamary i z ulgą ruszyłem wzdłuż domów.

Niestety wciąż prześladował mnie pech. Z początku numeracja kolejnych budynków zachęcająco rosła. Gdy jednak doszedłem do ostatniego przed tablicą oznaczającą koniec miasteczka, stwierdziłem, że jego numer jest niższy niż ten, który miałem na kartce. A dalej nie stała nawet psia buda.

W pierwszej chwili pomyślałem, że Tamara mogła się pomylić. Bez wahania zadzwoniłem do drzwi.

Gospodarzom nic nie mówiło imię i nazwisko Imrich Bernáth. Trudno stwierdzić, czy nigdy o nim nie słyszeli czy zawiniła moja słowacka wymowa. Byłem bliski hysterii. Dopiero gdy pokazałem im kartkę z adresem, uśmiechnęli się ze zrozumieniem i wskazali wiodącą przez pola drogę.

Znowu wyruszyłem w nieznane. Szedłem asfaltową szosą, wzdłuż której po obu stronach dumnie rosły topole. Po półkilometrowym spacerze w końcu trafiłem na dom Bernáthów. Powinienem raczej powiedzieć: dworek.

Na pierwszy rzut oka przypominał prowincjonalne majątki ziemiańskie z filmów o Sherlocku Holmesie. Dwupiętrowy i dwuskrzydłowy kamienny budynek stał na zboczu

porośniętym zadbanym angielskim trawnikiem. Droga dojazdowa była wysypana białymi kamyczkami, a za dworkiem ukrywał się duży ogród.

Gwizdnąłem z uznaniem. Ten dom nie ustępował nawet słowackim renesansowym kasztelom. Sądząc po jego stanie, łatwo można było odgadnąć, że mieszkających w Danii Bernáthów nigdy nie czeka śmierć głodowa.

Czyżby szczęście zaczęło mi sprzyjać?

* * *

Ledwie nacisnąłem dzwonek, gwałtownie otworzyły się masywne drzwi wejściowe.

Stał w nich wysoki mężczyzna odziany w jedwabny chiński szlafrok. Opierał się o mahoniową laskę. Sądząc po białych włosach, krzaczastych brwiach i siatce zmarszczek na twarzy, miał zapewne około siedemdziesięciu lat. Ale piękne zęby, doskonała postawa i siła, z jaką otworzył drzwi, świadczyły, że jest w lepszej formie niż Hugh Hefner, wydawca „Playboya”.

- Nazywam się...

- Wiem, kim pan jest - przerwał mi gospodarz. Idealnie mówił po słowacku. - Dzwoniła pani Paulina. Powinien pan być tu już wczoraj! Przez całą noc nie zmrużyłem oka! Gdzie jest Tamara?!

- Pan Imrich Bernáth, prawda? - Lekko oszołomiony podałem mu rękę.

- Oczywiście. Proszę wejść do środka. Dlaczego jest pan sam, panie Abel?

- Pańską... hm... bratanicę po raz ostatni widziałem wczoraj po południu na lotnisku Ruzyne. - Wzruszyłem ramionami i w skrócie opowiedziałem, co wydarzyło się w Pradze.

Wiadomości bardzo go zaniepokoiły. Zachmurzył się. Poglądził krótką, starannie utrzymaną brodę i wymamrotał coś pod nosem. W potoku słów duńskich i słowackich było wiele przymiotników w stylu „głupia, nieodpowiedzialna, uparta”...

- Przepraszam, ale boję się o bratanicę - powiedział do mnie po chwili. - Sprawy wymknęły się spod kontroli, a ona niepotrzebnie kusi los. Jadł już pan obiad?

- Nie - odparłem i poczułem, że z głodu zaczęło burczeć mi w brzuchu.

- Akurat zamierzałem usiąść do podwieczorku. Każę nakryć również dla pana. Chyba że woli pan najpierw chwilę odpocząć i uporządzić się?

- Z chęcią - przytaknąłem.

- Proszę tu poczekać. *Jomfru* Bolette zaprowadzi pana do pokoju. Spotkamy się w jadalni - wskazał drzwi naprzeciwko i utykając, odszedł gdzieś w głąb swego domostwa.

Od razu pojawiła się Bolette, niska, gruba służąca w wykrochmalonym fartuchu i czepku na głowie. Wszedłem za nią na pierwsze piętro do północnego skrzydła. Wskazała mi pokój gościnny z łazienką na końcu korytarza. Podziękowałem jej za fatywę najpierw po słowacku, ale ponieważ nic nie rozumiała, dodałem: „Thank you very much”. Szybko ściągnąłem czapkę z daszkiem i damską pelerynę, którym przyglądała się z wyraźnym zdumieniem.

W pokoju było świeżo nagrzone, a pościel i ręczniki zostały przygotowane najwyżej przed paroma godzinami. Siląc się na dowcip, zapytałem po angielsku, jakim cudem domyśliła się, że przyjadę dzisiaj. Odpowiedziała, że rano znalazła w kuchni leżący na podłodze nóż - znak, że do domu zawita obcy mężczyzna. Potem odwróciła się i wyszła. Nie zdążyłem zapytać, co oznaczałyby widelec lub łyżka.

W pokoju zabawiłem dosyć krótko. Nie miałem nic do rozpakowania i tylko nostalgicznie spojrzałem na starodawną szafę i garderobę. Przez chwilę rozkoszowałem się leżeniem na łóżku z baldachimem, a potem usiadłem w miękkim fotelu z podnóżkiem. Nigdy nie widziałem wygodniejszego. Przez wysokie okno zacienione do połowy grubymi zasłonami, których poskromienie wymagało drabiny i wielokrążka, obserwowałem piękny ogród z krzakami obsypanymi różowym kwieciem i śliczną altankę.

Wreszcie zrzuciłem z siebie resztę ubrań.

Nie miałem wątpliwości, że wanna jest drugim z kolei najgenialniejszym wynalazkiem człowieka. Dzięki niej w mgnieniu oka awansuje się o jeden stopień wyżej na drabinie ewolucji. Jest się bardziej cywilizowaną istotą.

Pozwoliłem sobie na dziesięciominutową kąpiel, wreszcie zbiegłem po schodach w przygotowanych dla mnie papuciach zrobionych na drutach. W jadalni pan domu wskazał mi miejsce za stołem.

Jedliśmy w milczeniu. Duńskie parówki kompletnie nie miały smaku, za to paszтет drobiowy wręcz przeciwnie - jak na mój gust był nawet za bardzo doprawiony. Ale domowy ciemny chleb i smażone piersi kurczaka zrekomensowały pierwsze rozczarowanie. Wciskałem je w siebie jak oszalały.

- Muszę jeszcze popracować, panie Abel. - Po skończonym posiłku gospodarz wstał od stołu. - Ale o wpół do czwartej przyjmę pana w salonie. Ma pan jakieś specjalne życzenia?

Pomiędzy jednym a drugim kęsem przedstawiłem mu sytuację z bagażem i zapytałem, czy nie mógłby załatwić mi jakiegoś zastępczego ubrania.

- Zobaczą, co da się zrobić - kiwnął głową. - Spotkamy się za godzinę. Proszę przyjść punktualnie.

Najwyraźniej cała rodzina Bernáthów miała bzika na punkcie spóźnienia. Zapewniłem,

że przyjdę na czas.

* * *

Ale w końcu okazało się, że to ja musiałem czekać na pana Bernátha. Tym razem byłem syty, ubrany w idealnie wyprasowaną koszulę i trochę wytarte sztruksy po jednym z jego synów. Moje serce wypełniała nadzieja na wyleczenie. Psychiczenie przygotowałem się jak na sesję terapeutyczną u najwybitniejszego znawcy.

Entuzjazm, z którym wszedłem do salonu, szybko mnie jednak opuścił. Na widok podłogi w kształcie szachownicy, kratkowanych pokrowców na fotelach i stolików do gry w każdym rogu pomieszczenia stanąłem jak wryty. Poczułem, jak po plecach przebiegły mi ciarki. Nie potrafiłem stłumić w sobie nieprzyjemnego uczucia wywołanego paralełą z wczorajszym snem. Wrażenie pogłębiły wiszące na ścianach kopie obrazów Leonarda da Vinci i zbiór spreparowanych owadów w witrynie naprzeciwko pieca.

Po chwili spróbowałem się uspokoić. Pobyt w jednym pomieszczeniu z miniaturowymi pająkami przyczepionymi szpilką do polistyrenu i tak był o wiele miłszy niż wczorajsze omdlenie w hotelu. Jeśli sny przygotowywały mnie do podobnych wydarzeń, to może w końcu zacząłbym je tolerować, a po pewnym czasie nauczył się czerpać z nich korzyści?

Dla pewności niczego nie dotykałem. Podszedłem do okna i bezmyślnie obserwowałem grabiącego liście ogrodnika.

Po dziesięciu minutach przyszedł Imrich Bernáth. Pomieszczenie wypełniło się przenikliwym korzennym zapachem przypominającym aromat olejków eterycznych lub świec przeznaczonych do medytacji.

W żadnym przypadku nie był to nasz popularny Old Spice.

Wygodnie rozłożył się w starodawnym fotelu, a nogi wyciągnął na miękkim podnóżku. Do ust wsadził wielkie kubańskie cygaro. Nagle na jego końcu zabłysnął mały ogień i z cygara zaczął unosić się dym. Byłem zaskoczony. Jak to się mogło stać? Pan Bernáth nie skorzystał przecież ani z zapalniczki, ani z zapalek.

- Trochę już o panu wiem od pani Pauliny - powiedział, lekceważąc moje zdumienie. - Jest pan interesującą osobą, panie Abel. Może nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale właśnie pokrzyżował pan losy wielu ludzi. Pańskie pojawienie się rzuciło nowe światło na dotychczasowe wydarzenia - dla wywołania większego efektu wycelował we mnie wskazujący palec - mimo że znalazł się pan w tym przez przypadek. Na początek najlepiej by było, gdyby pan szczegółowo opowiedział mi o wszystkim, co pana zdaniem w ciągu

ostatniego tygodnia wydarzyło się w Koszycach. Chciałbym usłyszeć to z bezpośredniego źródła. Mamy czas. Im więcej przypomni pan sobie szczegółów, tym lepiej.

Wszystko zaczęło się od początku. Cóż miałem robić, zgodziłem się. Przynależem najbliżej stojące krzesło i usiadłem naprzeciwko pana Imricha. Zalałem go potokiem słów, tak jakbym swoją kwestię znał już na pamięć. Nic dziwnego, zważywszy na wcześniejsze przesłuchania. Zacząłem od snu z trzynastoma komnatami w starym domu bez okien. Potem przeszedłem do potyczki z ifritem, przesłuchania w szpitalu i kolejnych ataków psychometrycznych. Opowiadałem o tropieniu rewenanta, wizycie u Bronka, próbach odczynienia klątwy w mieszkaniu Tamary, a potem w Stowarzyszeniu. Na koniec opisałem spotkanie z pikulikim i rozmowę telefoniczną na lotnisku w Pradze. Podczas opowiadania porządnie zaschło mi w gardle. Pan Bernáth podał mi kieliszek wina, a ja wypilem je jednym haustem.

Gospodarz uśmiechnął się i ponownie badawczo zmierzył mnie wzrokiem. Nastąpiła cisza przerywana dobiegającym z oddali pogwizdywaniem ogrodnika.

- Kto to jest Aziz? - z zakłopotaniem powtórzyłem pytanie, na które Tamara nie udzieliła mi odpowiedzi.

- Za chwilę - odezwał się staruszek. - Najpierw muszę panu podziękować. Bardzo mi pan pomógł, panie Abel. Pańskie informacje były naprawdę cenne. Dlatego jest mi bardzo przykro, że muszę panu oznajmić, że chyba niepotrzebnie pan do nas przyjeżdżał. Pomógł mi pan uzupełnić brakujące elementy układanki, ale ja chyba nie potrafię się odwdziżyć. Dopóki nie dowiemy się, co to była za klątwa, nic nie możemy zrobić. Ale zapewniam, że pracuje nad tym całe Stowarzyszenie. Jeszcze dziś wieczorem zamierzam podjąć odpowiednie kroki. Oczywiście w miarę swoich możliwości. Zostało nam siedem dni, nie licząc dzisiejszego. Jestem przekonany, że do tego czasu odniesiemy sukces.

Sprawdziło się złe przecucie, które ogarnęło mnie zaraz po wejściu do salonu. Zdrętwiałem. Zrobiłem się błąd jak ściana. Ogarnęło mnie potworne rozczarowanie.

- Pan też nie powinien beczynnie siedzieć - kontynuował stryj Tamary. - Znosi się na przełomowy moment i w najbliższych dniach będzie pan musiał podjąć ważną decyzję, która wpłynie również na pańskie życie. Na razie nie mogę nic więcej zdradzić, gdyż karty w tej grze rozdaje ktoś inny. Ale nie chcę, aby w decydującym momencie pańskie działania były nierozważne, dlatego musi pan mieć własny ogląd całej sytuacji. Żeby wszystko było jasne, postaram się przybliżyć najważniejsze sprawy i wydarzenia, które mają związek z tym, z czym zmagają się pan już prawie od tygodnia. - Przez chwilę w milczeniu dolewał wino do pustych kieliszków. - Chce pan wiedzieć, kim jest *herre* Aziz. Dobrze pytanie. Proszę

pozwolić, abym udzielił odpowiedzi okreśną drogą. Na początku muszę powiedzieć parę rzeczy dotyczących Stowarzyszenia i naszej rodziny, ponieważ od nas wszystko się zaczęło...

* * *

Opowieść Imricha Bernátha była długa i obszerna. Zaskoczyła mnie jego szczerość. Utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że jestem o wiele bardziej wplątany w te zagadkowe wydarzenia, niż na początku zakładałem. Mimo że jego historia zaczynała się kilkadziesiąt lat temu, ani razu nie zboczył z tematu, jak to zwykle bywa w przypadku starszych ludzi.

On i jego brat Ignacy przyłączyli się do Stowarzyszenia dzięki swojemu ojcu. W rodzinie Bernáthów, starym słowackim rodzie szlacheckim, wiedzę magiczną od wieków przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Samo Stowarzyszenie było dużo młodsze niż ich rodzina - w mniej więcej obecnej postaci sformowało się w XVIII wieku, za czasów panowania Marii Teresy. Przodkowie Imricha należeli oczywiście do jego założycieli. Już na samym początku siedzibą Stowarzyszenia były Koszyce - jedno z najważniejszych miast ówczesnych Górnych Węgier. Dzięki sprzyjającym okolicznościom i zręcznej polityce nowo powstała organizacja zyskała znaczącą pozycję i stała się jedną z najsilniejszych i najbardziej wpływowych instytucji w tej „branży”.

Podobnie było jeszcze w czasach pierwszej republiki. Ciężkie czasy i stagnacja nastąpiły dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy na Słowacji, na Węgrzech i w całej tej części Europy komuniści zburzyli dotychczasowy porządek. Stowarzyszenie stało się nielegalne i musiało zejść do podziemia. Swoją działalność ukrywało pod pozorami organizowania amatorskich towarzystw historycznych, kółek czytelniczych lub innych niewinnych organizacji. Ale i tak nieraz o mały włos nie nadziało się na karzącą pięść czerwonego reżimu.

Ignacy i Imrich wstąpili do Stowarzyszenia w 1947 roku, w okresie najostrzejszych walk o przeżycie. Obydwaj mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, ale dość siły i odwagi. Te właśnie cechy były wówczas najbardziej potrzebne, żeby bronić się przed totalną destrukcją organizacji. Jej członkowie byli prześladowani, inwigilowani, regularnie musieli stawiać się na przesłuchania UB i nieraz na własnej skórze doświadczyli, jakimi metodami ludowa władza kształtuje nowe społeczeństwo. Ale Stowarzyszenie przetrwało, a młodzi przedstawiciele rodziny z jeszcze większym zapałem pielęgowali w sobie kult filozofii Nietzschego.

Z czasem sytuacja zaczęła się stabilizować. Organizacja znalazła nowe metody

wykorzystywania dziur w systemie. Dostosowała się do nowych struktur, a jej niewidzialne macki znowu mogły sięgać daleko. Po 1960 roku zaczęto nawet przyjmować nowych członków.

Mniej więcej w tym czasie dostał się do Stowarzyszenia mężczyzna imieniem Murat Kazhegeldin. Rodzina Bernáthów nigdy nie dowiedziała się prawdy o jego pochodzeniu. Nie ulegało wątpliwości jedynie, że był on emigrantem z Azji Środkowej, z jednej z sowieckich republik - chyba z Kazachstanu. Tuż po wojnie razem z żoną i najmłodszym synem wybrał się w daleką i niebezpieczną podróż i dotarli aż do Czechosłowacji. Nie wiadomo, czy ich celem była NRD, czy może któryś z krajów na Zachodzie, w każdym razie Murat nigdzie dalej nie pojechał.

Stowarzyszenie dowiedziało się o nim dzięki artykułom w „Życiu”, w których opisywał kulturę i obyczaje Dalekiego Wschodu. Zdołał oszukać cenzurę i przemycić do swoich tekstów nieco informacji o arabskiej magii. Wtedy Murat czuł się jeszcze prawdziwym Europejczykiem zaaklimatyzowanym w słowackim społeczeństwie. Jego żona była sprzedawczynią w sklepie spożywczym, syn uczył się w technikum budowlanym, a on sam awansował na kierownika księgarni. O podobnej karierze zwykle byli emigranci mogli tylko pomarzyć.

Murat miał jednak specyficzny charakter. Był raczej miły, lecz ekscentryczny. Ale dzięki znajomości azjatyckiej magii, która bardzo wzbogaciła wiadomości Stowarzyszenia, wszyscy szanowali go i traktowali jak swojego. Po pewnym czasie zyskał wysokie stanowisko. W każdym razie nie był złym człowiekiem.

Za to jego syn Aziz od pierwszego spotkania z Bernáthami sprawiał wrażenie bezczelnego, niewychowanego zarozumialca. Był tylko o parę lat starszy od Ignacego i Imricha, ale ci dwaj przez całe życie nie przynieśli swojej rodzinie tyle wstydu, ile on w latach swej burzliwej młodości. W pewnym sensie przyczynił się do tego sam Murat, który rozpieszczał syna od dzieciństwa i nigdy nie podniósł na niego ręki.

Dzięki pieniądzom ojca Aziz skończył szkołę i zdał maturę, czego nigdy nie dokonałby w inny sposób przy swoim podejściu do edukacji. Potem załatwiono mu lewe papiery, żeby nie musiał iść do wojska. Przez cały czas Murat, wykorzystując różne znajomości, wyciągał syna z tarapatów, w które ten popadał, utrzymując stosunki z bandziorami i gangsterami oraz lekceważąc swoją pracę. Ojciec bez słowa pomógł Azizowi, nawet gdy zamknięto go za kradzież i rozbój. I na utrapienie innych wcisnął go do Stowarzyszenia.

Aziz nie był głupi, a jego postępów w sztuce magicznej mógłby mu pozazdrościć niejeden z Wtajemniczonych. Ale wciąż zachowywał się jak leser i kobieciarz.

Można łatwo zrozumieć postępowanie jego ojca. Czego wielokrotnie żałował, w starej ojczyźnie musiał zostawić dwóch synów. Całą swoją miłością obdarzył więc tego, którego miał przy sobie, i kochał go, nie patrząc na jego wady. Natomiast członkowie Stowarzyszenia znosili Aziza tylko ze względu na Murata. I dopóki jego ekscesy nie narażały bezpieczeństwa organizacji, nie śmieli ich komentować. Niestety, kiedy Aziz dostąpił odpowiedniego stopnia wtajemniczenia, zaczął robić rzeczy, przeciwko którym otwarcie wystąpiło wielu członków, a w Stowarzyszeniu doszło do rozłamu.

Syn Murata zaczął budzić śpiące demony. Tak jakby Wtajemniczeni nie mieli wystarczająco dużo problemów z kręcącymi się wszędzie żywiołakami i nieprzychylnym reżimem państwowym... Pomagał demonom materializować ciała, żywił ich maną niewinnych ofiar i w ten sposób uzależniał je od siebie. Robienie interesów z astralnym światem jednoznacznie przekroczyło wszelkie granice, których zawsze broniło Stowarzyszenie.

Ale przez ostatnie lata zmieniła się atmosfera w organizacji. Reżim kontrolował życie osobiste obywateli, ograniczał możliwości ich rozwoju - to wpłynęło na mentalność ludzi. Niektórzy postrzegali system jako potwora, w walce z którym należy używać każdej dostępnej broni i nie pytać przy tym o moralność.

Także w Stowarzyszeniu pojawili się szaleńcy, którzy bez wahania przeszli na stronę Aziza. Zachęceni obietnicą zdobycia nieograniczonej mocy, zamiast zdecydowanego sprzeciwu udzielili mu swojego poparcia.

Problem rozwiązał się po śmierci Murata w 1972 roku. Skrzydło reprezentowane przez rodziny Bernáthów i Herešów w końcu po wielu miesiącach przekonywań i wysuwania coraz to nowych argumentów, zdobyło przewagę, a ojciec Tamary stanął na czele organizacji. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było wyrzucenie Aziza i przywrócenie starego porządku. Przez ponad dziesięć lat silną ręką kierował Stowarzyszeniem. Udało mu się nawet ponownie je zjednoczyć.

W tym czasie Ignacy zyskał profesurę na Uniwersytecie P.J. Šafárika, a dzięki odpowiedniej pensji kupił nowy dom. Wówczas też jego żona urodziła bliźniaczki - Tamarę i Daniełę.

Na początku Aziz próbował konkurować ze Stowarzyszeniem. Otoczył się hipisami, a wiecznie rozmarzone dzieci kwiaty nie dostrzegały nic złego w jego nowej organizacji, „Gwieździe Wschodu”. Próbował przeciągnąć na swoją stronę nawet paru byłych konspiratorów. Jego działania były jednak średnio skuteczne i to, co za ironia dzięki reżimowi komunistycznemu. Stworzenie nowych tajnych struktur nieopierających się na starych

korzeniach było prawie niemożliwe. Po 1968 roku nawet niebezpieczne.

Wreszcie przyszły lata osiemdziesiąte. Umarł Breżniew, a wkrótce w powietrzu czuło się pierestrojkę. Wschód i Zachód odchodziły od zimnej wojny i atmosfera po obu stronach żelaznej kurtyny stała się bardziej optymistyczna. Dla Stowarzyszenia nastały lepsze czasy, ale jednocześnie wzrastała odwaga Aziza. I wtedy stała się tragedia.

W 1985 roku Aziz definitywnie zrezygnował z planów tworzenia „Gwiazdy Wschodu” i zmienił taktykę. Ponownie zaczął interesować się Stowarzyszeniem, próbował nawet objąć w nim władzę siłą, kłamstwem, intrygą i lipnymi obietnicami. Zyskał kilku nowych sojuszników, dzięki czemu zdołał doprowadzić do wewnętrznej rewolucji. Zginęli rodzice Tamary, a Herešowie dobrowolnie odeszli z organizacji. Reszta Bernáthów musiała uciekać ze Słowacji.

Imrich wziął pod opiekę małoletnie osierocone bliźniaczki i wyemigrował do dalekich krewnych w Danii. Podczas ucieczki musiał skorzystać ze wszystkich swoich magicznych zdolności, aby nie dostać się w ręce prześladowców. A poza tym komunistyczny reżim, choć łagodniejszy, wciąż stanowił zagrożenie. Pana Bernátha i dziewczynkę omal nie zastrzelono podczas nielegalnego przekraczania granicy wschodnioniemieckiej. Cudem wszyscy przeżyli.

Władza Aziza nie trwała jednak długo. Zastraszanie i terror były dobre tylko na chwilę, nie sprawdziły się jako metody na zdobycie wiernych zwolenników. W decydującym momencie nie zyskał poparcia członków, a poza tym przez jego mało subtelne działania nie sposób było dalej ukrywać istnienia Stowarzyszenia. Organy państwowe dowiedziały się, że w kraju działa niewygodna organizacja. Podjęły odpowiednie kroki, aby doprowadzić do jej likwidacji. Być może któryś z członków przekazał UB odpowiednie informacje i doniósł na swoich kolegów. Nie wiadomo, co pchnęło go do tak niegodziwego czynu. Może stwierdził, że lepiej doprowadzić Stowarzyszenie do samodestrukcji, niż patrzeć, jak zmienia się w coś pośredniego między sektą a bojówką terrorystyczną. Dzisiaj trudno już dojść do prawdy.

To był definitywny koniec prawdziwego Stowarzyszenia. Paru Wtajemniczonych zostało więziami politycznymi (na szczęście tylko do 1989 roku), a pozostali wycofali się z życia publicznego.

Aziz wyemigrował na Zachód. W Austrii bez trudu zyskał status uchodźcy z bloku państw socjalistycznych i tam ślad po nim zaginął. Tamara i Daniela od dziewiątego roku życia wychowywały się w Danii razem z dziećmi Imricha. Tam ukończyły podstawówkę i liceum, a w domu poznawały wiedzę magiczną.

Po „aksamitnej rewolucji” tylko jedna z bliźniaczek zdecydowała się wrócić do ojczyzny. I nikt oprócz niej nie wiedział, co zaważyło na tej decyzji: pragnienie zemsty czy chęć

poznania własnych korzeni. W czasie studiów na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie jej życie dzieliło się między Danię i Słowację. Po obronie pracy magisterskiej postanowiła zostać w starym kraju. Przeniosła się do Koszyc i została dziennikarką. Rodzinie obiecała, że wróci dopiero wtedy, gdy wytropi Aziza, z czasem jednak ugrzęzła w „postsowieckim świecie”.

Po osiemdziesiątym dziewiątym roku Stowarzyszenie odrodziło się pod przewodnictwem Herešów. Nie było już takie jak kiedyś, ale dzisiejsze czasy są bardziej przyjazne i z czasem organizacja odzyska dawną siłę. Wszyscy z radością przyjęli wstąpienie do organizacji Tamary. Było oczywiste, że dzięki niej rodzina Bernáthów ma okazję nawiązać kontakt z przeszłością. Jak również to, że dziewczyna z jakichś powodów nie może wrócić do Danii.

Jednak jej dalsze postępowanie stało się przyczyną wielu nowych problemów...

* * *

- Na początek powinno to panu wystarczyć. - Pan Bernáth zakończył pierwszy rozdział swej opowieści. - Teraz możemy przyjrzeć się wydarzeniom z ostatnich dni.

Zapalił następne cygaro. Znowu nie zauważyłem, jak to zrobił.

- Będę tylko rekonstruować - powiedział. - Jest bardzo prawdopodobne, że się nie mylę. Najpierw powtórzę panu to, co Bronisław Bohater oznajmił Paulinie Herešowej, a potem ona mnie. Przypuszczam, że o tym samym rozmawiał z Tamarą, czego był pan świadkiem na lotnisku w Pradze.

We czwartek wieczorem sam Aziz Kazhegeldin dzwonił do Koszyc. Rozmawiał z rodziną o armeńskich korzeniach, która kiedyś należała do Wtajemniczonych. Jego telefon był niczym głos zza grobu. Porządnie wszystkich przestraszył. Stowarzyszenie ma jednak w tej rodzinie swojego człowieka, który następnego dnia rano zadzwonił do Bohatera. Dzięki temu wiemy, czego chciał Aziz.

Interesowało go, jak wiedzie się naszej Tamarze, i ewidentnie ktoś miał dostarczyć mu informacji o jej losie. Lecz najwyraźniej donosiciel nawalił.

Już od ponad dwudziestu lat nikt w Koszycach nie słyszał o Azizie. Ta rozmowa z pewnością nie była przyjacielską pogawędką na temat starych znajomych. Wręcz przeciwnie. Wiadomości, których oczekiwał, musiały być naprawdę ważne, skoro mimo ryzyka postanowił zadzwonić. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy się o tym dowiedzą. Jaki z tego morał?

Po pierwsze: Aziz wie, że Tamara go szuka. Może od ostatniego nieudanego śledztwa w

grudniu zeszłego roku, a może od niedawna. Jedno jest pewne - od tego czasu ma w Koszycach sojusznika.

Po drugie: nie ulega wątpliwości, że od paru dni Aziz próbuje definitywnie pozbyć się Tamary. Podejrzewam, że dzwonił do współnika i w typowy dla niego melodramatyczny sposób kazał mu ją zlikwidować. Robota miała zostać wykonana do dnia równonocy jesiennej. Na święto Mabon Aziz szykuje coś wielkiego i nie chce ryzykować, że Tamara pokrzyżuje mu plany.

Wspólnik w Koszycach oczywiście postanowił wykonać polecenie, ale nie miał odwagi stanąć z nią twarzą w twarz, więc wysłał ifrita. Powinszować dobrego posunięcia! O mały włos ich plan by się powiódł.

W poniedziałek wieczorem ifrit znalazł Tamarę w restauracji, w której zazwyczaj jada kolację. To świadczy o tym, że współnik Aziza dobrze poznał jej zwyczaje. Demon, tak jak mu kazano, poczekał na odpowiedni moment. Wcześniej sformułował i wypowiedział klątwę. Chodziło o to, aby Tamara nie zobaczyła jej i nie usłyszała, przez co zostałaby pozbawiona możliwości obrony. Przez to nie mogłaby jej odwołać. Ifrit zaatakował w momencie, gdy sami, bez świadków, znajdowaliście się w ciemnej uliczce.

Ale w tej samej chwili, może przez przypadek, może dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu, pomiędzy Tamarą a demonem znalazł się właśnie pan, panie Abel. Tamara błyskawicznie pokonała ifrita, a sama wyszła z tego bez szwanku.

Koniec końców nie dziwię się, że współnik Aziza bał się poinformować go o niepowodzeniu akcji. Kazhegeldin nie toleruje porażek. Teraz całe Stowarzyszenie w Koszycach liczy na to, że właśnie strach zdradzi jego towarzysza. Jeśli go znajdą i przycisną, jest pan uratowany. Nikt nie dysponuje lepszymi metodami zmuszania do zeznań niż Wtajemniczeni. Do tego czasu jednak nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać...

* * *

Dostałem nowy amulet - tym razem był zawieszony na łańcuszku, więc zmniejszyło się ryzyko, że go zgubię. Miał kształt małej miedzianej monety, z dwóch stron ozdobionej ornamentem przypominającym swastykę. Prawdę powiedziawszy, to była swastyka.

Dzięki wyjaśnieniom tłumaczącym przyczyny mojego stanu, mimo zdecydowanej odmowy leczenia przez pana Bernátha, humor trochę mi się poprawił. Najważniejsze, że w końcu wiedziałem, co się dzieje dookoła mnie. Ale na co komu wiedza, skoro i tak pozostało tylko czekać?

Przynajmniej nie musiałem martwić się o jedzenie i dach nad głową. Jeśli chodziło o gościnność, to o panu Imrichu nie mogę powiedzieć złego słowa. Kolacja była jeszcze lepsza niż podwieczorek, a pościel prawie tak wygodna jak w domu.

Wieczór miałem tylko dla siebie. Zrezygnowałem ze spaceru, bo uznałem, że przez ostatnie dni i tak dość się nachodziłem. Jeszcze coś strzeliłoby mi do głowy i tak jak przed dwoma dniami przyszlaby mi ochota na picie! W zupełności powinny mi wystarczyć te cztery kieliszki wina, które dostałem w salonie.

Poprosiłem gospodarza o jakąś książkę, przez co nieświadomie odciągnąłem pana Bernátha od jego obowiązków. Staruszek zaraz po wejściu do biblioteki nie oparł się pokusie, by wygłosić kolejny parominutowy wykład na temat prawdziwych rarytasów, jakie posiadał w swym okazałym zbiorze. Wszystkie zostały mi zaprezentowane.

Przez cały czas kiwałem z uznaniem głową, ale ostatecznie nie wziąłem żadnej książki o tematyce okultystycznej. No cóż, dawniej łączyłoby się za którąkolwiek z nich, jednak tym razem byłbym takim samym masochistą jak ciężko chory pacjent, który zajmuje się studiowaniem rozpraw medycznych o własnej chorobie.

Na szczęście znalazłem regały z całkiem dużą kolekcją angielskich *paperbacków*. Zakładałem, że jeśli znajdę książkę, którą czytałem po słowacku lub czesku, to dam radę przeczytać ją nawet w obcym języku. Automatycznie ominąłem ulubionego Poe'go, Dunsona, Sheridona LeFana i Lovecrafta. Wzdrygnąłem się na widok „Białego robaka” Stokera. Rozważałem zabranie się za Wilde'a, Dickensa, Conan Doyle'a lub Agathę Christie, ale nie potrafiłem zdecydować, kogo wybrać najpierw. Jakimś cudem na dolnej półce znalazłem stare pozółkłe słowackie wydanie „Wyspy skarbów”. Ucieszyło mnie to niczym wygrana w lotto.

Rozłożyłem się na łóżku wielkości lotniska i do późnej nocy po raz kolejny przeżyłem dobrze znane mi przygody Jima Hawkinsa. Oderwany od rzeczywistości wciągnąłem się w podróżę głównego bohatera. Czytałem tak długo, aż zaczęły opadać mi powieki, i nie mając pojęcia, co przyniesie jutro, zapadłem w spokojny sen.

Jeszcze przez chwilę w szarym blasku księżyca John Silver złośliwie uśmiechał się do mnie z okładki, jakby wiedział coś, o czym ja nie wiedziałem. Nie byłbym zaskoczony. Ostatnie kilka dni przekonało mnie boleśnie, że wszystko się może zdarzyć...

* * *

A w tym samym czasie...

Ciszę nocną pograżonego we śnie osiedla zakłóciło głośne brzęczenie dzwonka.

Bronek wzdrygnął się. Lewą ręką niechcący przewrócił kubek z własnymi inicjałami i omal nie zalał klawiatury komputera resztką zimnej, niedopitej kawy. Błyskawicznie złapał naczynie i odłożył z powrotem na talerzyk. Zegar w rogu monitora wyraźnie wskazywał dwudziestą trzecią trzydzieści.

„Kurde, kogo o tej porze diabli niosą?!“ - pomyślał chłopak.

Z ciężkim sercem odsunął się od biurka, włożył okulary i palcami rozmasował kąciki oczu zmęczonych długim patrzeniem w ekran.

Potem wszedł do przedpokoju. Założył łańcuch na drzwiach wejściowych i delikatnie je uchylił. Na korytarzu stał nieznajomy starszy mężczyzna ubrany w jasnobrązowy płaszcz, pilśniowy kapelusz i rękawiczki.

- Słucham? - Broniek podejrzliwie zmierzył go wzrokiem.

- Czytał pan ostatni numer „Strażnicy“? - mężczyzna odbił pytanie i pokazał mu egzemplarz cienkiego czasopisma. Nie dało się nie zauważyć jego silnego rosyjskiego akcentu.

- Nie jest trochę za późno na głoszenie słowa bożego? - zachmurzył się Broniek.

„Przekłęci Świadkowie Jehowy! - zaklął w duchu. - Najbardziej wścibska sekta na świecie!“

- Nigdy nie jest za późno przyjąć naukę Pana. Zawsze jest czas, aby się nawrócić.

„Oczywiście! Ja się nawrócę, a wy będziecie mieć nowego niewolnika. I to oskubanego ze wszystkich pieniędzy“.

- Do widzenia - powiedział stanowczo chłopak. Zanim udało mu się zatrzasać drzwi, głosiciel wiary zdążył zablokować je nogą.

- Proszę zaczekać! - warknął. - Nie powinno się obracać plecami do sługi bożego!

Trzy koty Bronka, które nagle zjawiły się w przedpokoju, zaczęły miauczeć ze strachu i przypominały jeden zjeżony kłębek.

- Kurwa!!! - wymsknęło się chłopakowi. Z całej siły natarł ramieniem na drzwi. Jednak nie był w stanie odeprzeć potężnej siły, która nagle zaczęła je pchać z drugiej strony.

Zaskrzypiały zawiasy, zgrzytnęło drewno, żelazny łańcuch naprężył się i po chwili pękł. Otwarte z trzaskiem drzwi jednym ciosem odrzuciły Bronka dwa metry do tyłu. Rozbiły mu okulary i złamały nos. Chłopak potknął się o stos gazet, a po chwili leżał jak długi na podłodze. Nieproszony gość stanął nad nim w rozkroku i z uśmiechem wyrzucił „Strażnicę“ do kosza.

„Może skończyła tak jak jej poprzedni właściciel - przemknęło Bronkowi przez myśl. -

Cóż za ironia..."

- Czego chcesz, ty zasańcu?! - krzyknął jednak, starając się jak najdalej odsunąć od napastnika.

- Porozmawiamy sobie o pannie Bernáthowej - odparł ze spokojem mężczyzna.

- Nie porozmawiamy. - Broniek energicznie pokręcił głową.

Za karę dostał kopniaka w brzuch. Krzyknął i zwinął się w kłębek.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Nie przedstawiłem się? - Mężczyzna zachichotał. - Gorynych. Oleg Romanowicz Gorynych. Ale nazywają mnie też „Pan Skwierczące Mięsko”.

Gestem dżentelmena zdjął rękawiczki, rozpostarł popielate, pokryte zielonymi łuskami palce i podał Bronkowi rękę.

* * *

STAŁO SIĘ W ONE DNI

Jest miejsce daleko od jej ojczyzny;
długo błądziła, nim je znalazła.
W lesie trafiła na skałę, której
nie powinny oglądać zbłąkane dusze.
Na pozór samotny monolit,
bez życia, szary i zimny.
Spojrzała w głąbie prastarej relikwii.
Skazańcy są łatwymi ofiarami.

Jon Schaffer

(Iced Earth „Reaping Stone”)

Gdy słońce schowa się za horyzontem,
a morza pokryje czerwień,
ciemność przyniesie ulgę w mym cierpieniu.

Dani Filth

(Cradle Of Filth

„Malice Through The Looking Glass”)

Wejście na szczyt zigguratu trwało siedem długich godzin. Nagi, wyczerpany, omamiony oparami czarnego lotosu z kadzideł ledwo zataczałem się na końcu łańcucha. Szeptem błagałem swych przodków spoczywających daleko na północy w ojczystej ziemi, aby powstałi z martwych i pomścili zbrodnię, której dokonają na mej duszy przekłeci babilońscy kapłani.

Procesja pokonała już siedem pięter monumentalnej piramidy. W szeregu, z wysoko uniesionymi pochodniami obeszła każdy taras dookoła, po siedmiokroć powtarzając słowa rytualnej pieśni. Śpiew za każdym razem zaczynał się od wyższej tonacji, po czym wracał do podstawowej siedmiotonowej gamy. Przed wejściem na kolejną kondygnację procesja ofiarowywała jednego z siedmiu niewolników. Kapłanów było trzy razy więcej niż nas. Jeden po drugim kończyliśmy pod niemiłosiernym ostrzem. Większość nieszczęśników szła na śmierć potulna jak baranki, mało kto stawiał opór. Ich krew spływała po powierzchni schodów, oblewała sandały prowadzących nas mężczyzn. Ciała były zrzucane na dół, a tam oczekujący w napięciu tłum łapczywie rzucał się na nie i rozszarpywał na strzępy.

W końcu przyszła moja kolej.

Dotarliśmy do najwyższego punktu wieży - ołtarza na dachu świątyni. Wysokie postacie odziane w szmaragdowozielone szaty położyły mnie na gładkiej marmurowej powierzchni. Bronilem się, kopałem na wszystkie strony i rozpaczliwie wymachiwałem rękami. Unieruchomili mnie żelaznymi kajdanami, uszy zalali woskiem, a w usta wepchnęli szmatę nasiąkniętą czymś moczem. Pozwolili, aby moje pełne nienawiści oczy z grozą obserwowały ostatnią część Inwokacji. Otoczyły mnie płomienie pochodni. Rytmicznie unosiły się do góry. To był znak, że znów zabrzmiała rytualna pieśń. Tym razem po raz ostatni.

Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki. Oczy kapłanów zwróciły się w stronę nieba, a ich usta w pełnym ekstazy transie wymawiały imiona bogów i władców. Jeden z ofiarników zrobił siedem okrążeń dookoła ołtarza. Za każdym razem świętym ostrzem boleśnie dźgał mnie w inną część ciała. Z bólem zacisnąłem zęby na śmierdzącym kneblu w ustach i bezgłośnie jęknąłem. Żadna z ran nie była śmiertelna, ale z każdej trysnęła krew i po nachylonej powierzchni ołtarza ściekała do otaczającego go rowka. Powoli i nieubłaganie uchodziło ze mnie życie.

Toń czerwonego jeziora była niezmiernie gładka. Odbijał się w niej taniec płomieni i gwiazdy błyszczące na tle hebanowej ciemności spowijającej czarne niebo.

Podniosłem pełne łez oczy i zapatrzyłem się w przestrzeń, którą codziennie przemierzają słońce i księżyc. Znalazłem przekłety gwiazdozbiór przypominający klepsydrę. Zdawał się być bardzo blisko mojej twarzy.

Cztery świecące w rogach punkty i trzy ułożone w jednej linii.

Orion.

Gwiazdy tajemniczo migotały, a ich światło odbijało się w oczach tysięcy czekających z niecierpliwością ludzi.

Obudzeni śpiewem i zapachem krwi bogowie nie kazali na siebie długo czekać. Siedem sił wszechświata jedna po drugiej odrywały się od świetlnych powierzchni, które były ich domem. Wymachując ogromnymi skrzydłami, z zawrotną prędkością gnały przez mroźne powietrze, by przywitać się z poddanymi i wynagrodzić ich za wierność.

Na ich czele był władca Marduk, za nim Enki z całym zastępem Igigów, Pogromcy Wielkiego Węża, Prastary Robak, Tiamat, a jako ostatni Kutulu - nieżyjące ciało Enkiego, lecz nie martwe, tylko pogrążone we śnie.

Stanęli na szczycie wieży i wszyscy napili się z jeziora otaczającego moje stygające ciało.

- Wreszcie jesteśmy z powrotem - zacharczała w od wieków nieużywanym języku siedmiogłowa smoczyca Tiamat.

Zatrzęsły się fundamenty zigguratu, a jego mury zaczęły pękać.

- Tak - kiwnął głową Marduk. - Powrócił chaos... Tłum u stóp piramidy zrozumiał swój błąd i zadrżał ze strachu.

Nad Babilonem rozległ się ogłuszający piekielny śmiech.

...

Czwarta rano.

Przytłaczająca pustka... Nicość wypełniająca nieskończony wszechświat. Absolutny brak materii.

Miłosierny Boże!

Czy... czy tak wygląda śmierć?

Poczułem, jak coś zimnego ściska mi gardło. Złapałem się za serce i usiadłem na łóżku. Zmierzyłem sobie puls.

...dziewięć, dziesięć...

Nareszcie! Uderzenia stały się miarowe. Zniknął ucisk w klatce piersiowej.

Ciężko dysząc, opadłem na pościel i ze strachem błdziłem wzrokiem po pokoju starego dworu.

- Uspokój się. To był tylko sen. Nic ci nie grozi... Na korytarzu za drzwiami rozległ się stłumiony huk.

Znieruchomiałem i wyostrzyłem słuch. Dobięły mnie głosy, kroki i dźwięki przypominające przesuwanie wielkich i ciężkich przedmiotów. Jakaś osoba zawołała coś po duńsku, a ktoś inny odpowiedział ze śmiechem w tym samym języku. Parę razy zatrzęsnięto z

hukiem drzwi.

Nagle hałas zagłuszył karcący alt starszej kobiety, prawdopodobnie dobiegający z głównych schodów. Powoli wszystko ucichło. Usłyszałem jeszcze parę ukradkowych skrzypnięć, cichych szelestów, ostatni szept i dom Bernáthów znowu zanurzył się w głębokim i niczym niezakłóconym śnie.

DZIEŃ SIÓDMY

NIEDZIELA 17.09

Obudziłem się koło jedenastej. Tym razem nie miałem już żadnych snów i po raz pierwszy od tygodnia naprawdę wypocząłem. Przywitało mnie piękne słoneczne przedpołudnie. Otworzyłem okno. Ubrałem się. Łagodny wietrzyk przyniósł do pokoju śpiew ptaków odlatujących na południe i świeży zapach jesiennych kwiatów z ogrodu.

Powoli opuszczały mnie pochmurne myśli i wracał dobry nastrój. Niesamowite, jak wielki wpływ na stan ducha człowieka ma to, co zaraz po przebudzeniu czeka na niego za oknem.

Idąc do jadalni, na korytarzu spotkałem mnóstwo nowych ludzi. Rozmawiali ze sobą, wchodzili i wychodzili z pokoi, podawali mi ręce i przedstawiali się duńskimi imionami. Niestety, nie zapamiętałem żadnego.

Zmiana była dosyć przyjemna. Nagle dom zaczął tętnić życiem.

„Ale następni goście? - zdziwiłem się. - Panna Bolette dzisiaj rano musiała znaleźć cały komplet rozsypanych noży!”

Jak się potem okazało, większość obecnych była członkami rodziny, którzy właśnie wrócili z wypoczynku w południowej Francji. Nie wiem, na ile ich przyjazd miał związek z wydarzeniami ostatnich dni, ale bez wątpienia zjawili się w odpowiednim momencie.

Służba dopiero niespiesznie przygotowała stoły do obiadu, ale Imrich Bernáth, słysząc, jak burczy mi w brzuchu, poradził, abym udał się prosto do kucharza. Nie tracąc czasu, zapoznał mnie z cioteczką Jytte (wymawia się: „Jude”), starszą kobietą o podziw godnych gabarytach, z którą właśnie prowadził jakąś ważną dyskusję.

Mówili po duńsku. Jedyne, co zdołałem zrozumieć, było imię Tamary. Wymienili je parę razy, a sądząc po ich minach, kontekst rozmowy nie był najszcześniejszy. Miałem nadzieję, że nie przytrafiło się jej nic złego.

Do kuchni trafiłem po zapachu. Nad wejściem wisiała żelazna podkowa. Dwóch praktykantów ze szkoły hotelarskiej w białych strojach i śmiesznych stylizowanych czapkach posadziło mnie za stołem dla personelu i ugościło jajecznicą, pieczywem przypominającym nasze rogaliki, ale smakującym zupełnie inaczej, oraz herbatą.

Gdy kończyłem to spóźnione śniadanie, tylnymi drzwiami prowadzącymi bezpośrednio do ogrodu weszła *jomfru* Bolette. Kiwnęła głową na powitanie, wyciągnęła z kredensu dwie płytkie miseczki, napełniła je aż po brzegi mlekiem i wyniosła na niską kamienną werandę.

Zapytałem, czy to dla kotów.

Odpowiedziała, że nie, bo rodzina Bernáthów woli rottweilery. A mleko jest przeznaczone dla koboldów.

Nic więcej nie dało się z niej wyciągnąć, ale tym razem nie czułem takiej potrzeby. Każdy naród ma swoje opowieści o skrzatach domowych żyjących za piecem lub pod progiem domu. Obojętnie, czy nazywa się je elfami, domowikami czy koboldami. A po spotkaniu z pikulikiem wcale już nie uważałem, że kobold jest mniej realny od kota.

Chciałem się jednak przekonać. Szybko przełknąłem ostatnie kęsy jajecznicy i następną godzinę spędziłem ukryty za kłującym różanym krzakiem rosnącym naprzeciwko drzwi. Długo obserwowałem przygotowane miski, ale nie pojawiły się przy nich żadne czarodziejskie istotki.

Najwyraźniej panna Bolette mnie nabrała. Nie powinienem być taki łatwowierny.

* * *

W jadalni byłem już piętnaście minut przed uroczystym rodzinnym obiadem. Powoli zaczęli schodzić się domownicy, a stryj Tamary po kolei każdego mi przedstawiał. Tym razem moja gorzej niż przeciętna pamięć zarejestrowała przynajmniej niektóre imiona.

Gospodarzem domu i głową rodziny nie był Imrich, jak do tej pory myślałem, ale znana już mej mało znaczącej osobie cioteczka Jytte. Ta gruba i pewna siebie Dunka, chodząca w peruce i okularach z grubymi oprawkami, śmierdząca drogimi cygarami i skropiona niesamowitą ilością perfum, już samą swoją postawą nie pozostawiała wątpliwości, kto jest prawną dziedziczką domu. I kto płaci za to wszystko, co będziemy jeść i pić.

Szczegółowo wytłumaczono mi rodzinne więzy między cioteczką a Imrichem, ale nie potrafię ich powtórzyć - rodowody i heraldyka nie są moją mocną stroną. W opisie pojawiły się określenia „wdowa” i „daleki bratanek”. O ile pamiętam, by zrozumieć, jak byli skoligaceni, należało sięgnąć do drugiego lub trzeciego pokolenia wstecz. Ale dziś już nie jestem w stu procentach przekonany.

Po prawej ręce cioteczki usiedli jej potomkowie - Kay i Kristen z rodzinami, wliczając w to małe blondaski ze śmiesznymi loczkami na główkach. Po lewej stronie Imricha zajęli miejsce jego synowie - Paul i Jakob, wysportowane mięśniaki, prawdopodobnie wielka nadzieja rodzinnej drużyny koszykarskiej. Obydwaj byli niewiele starsi ode mnie i chyba tak samo jak ja pozostający do tej pory w stanie kawalerskim. Pozostałe dwanaście osób przedstawiono mi bez bliższych koneksji rodzinnych. Ich imiona od razu wyleciały mi z głowy, odbite niczym piłeczki podczas gry w tenisa.

Dzięki wyrazom twarzy niektórych tu obecnych, od czasu do czasu patrzących ze współczuciem na moją żałośnie bladą aurę, potrafiłem odgadnąć, kto należy do Wtajemniczonych. I co było wyraźne, wrażliwość astralną posiadała większość z nich.

Tuż przed rozpoczęciem obiadu pojawiła się trochę spóźniona Daniela. Tylko kiwnęła nam głową i usiadła. Sądząc po opowieści Imricha, spodziewałem się wiernej kopii Tamary, ale do zalanej słońcem jadalni weszła kobieta, która była niemal jej przeciwieństwem. Jedyne podobieństwo dostrzegłem w rysach twarzy. Daniela miała długie, jasne i delikatnie kręcone włosy. Nie stosowała też makijażu. Jej oczy błyszczały niczym czarne oliwki, a skóra przypominała alabaster. Była szczuplejsza i bardziej delikatna. Miała na sobie prostą przewiewną sukienkę, mnóstwo bransoletek, naszyjników z koralami, a jej ręce pokrywały rysunki i ornamenty, jakimi ozdabiają swoją skórę Hinduski.

Aha, łączyło je jeszcze jedno! Choć Daniela była piękna w zupełnie inny sposób niż Tamara, tak samo jak siostra miała czym oddychać. Pomyślałem sobie, że jeśli kiedyś przypadkiem nadarzy się okazja, nie zmarnuję szansy, aby zobaczyć portret ich matki. Musiała być piękną kobietą.

Majordomus posadził Daniele obok mnie. Ucieszyłem się i zmartwiłem zarazem. Podczas obiadu byłem bardzo roztargniony. Nerwowo manipulując sztucami, wykonywałem spięte i niezgrabne ruchy. I nie miało znaczenia, że siostra Tamary w ogóle nie zauważała mojej obecności.

Nie tylko zresztą mnie zostało odebrane spojrzenie jej cudownych oczu. Daniela - z wyjątkiem chwil, gdy nakładała sobie jedzenie i odpowiadała na grzecznościowe pytania - na nikogo nie zwracała uwagi. Cały czas była zamyślona i zamknięta w sobie. Odniosłem wrażenie, że coś ją martwi.

Tymczasem domownicy ani na moment nie zaprzestawali żywej dyskusji. Mówili naprawdę bardzo dużo, ale niestety głównie po duńsku. Siedzący naprzeciwko Imrich, litując się nade mną, od czasu do czasu służył mi jako tłumacz. Ogólnie rzecz biorąc, umknęła mi puenta większości historii rodzinnych. Nie znałem okolicy i kompletnie nie orientowałem się w natłoku nieznanymi nazwami i miejscami. Ale udawałem, że wiem, o co chodzi, i tak samo gorliwie jak większość obecnych śmiałem się i spełniałem toasty - jak przystało na wdzięcznego gościa.

Kiedy wszystkie trzy dania zniknęły ze stołu, zaczęto rozmawiać o poważniejszych sprawach. Obiad zamienił się w rodzinną naradę. Atmosfera na chwilę przypomniła mi nastrój, który zapanował w Stowarzyszeniu podczas debaty o mającym mnie wyleczyć seansie. Tym razem jednak to nie ja byłem głównym przedmiotem rozmowy, tylko Aziz

Kazhegeldin.

Stryj Tamary nie miał czasu na dwujęzyczne wyjaśnienia, dlatego poprosił Daniele, żeby wyprowadziła mnie z salonu i zorganizowała mi czas. Zakładałem, że jeśli rodzina podejmie jakąś ważną decyzję dotyczącą mojego losu, to prędzej czy później i tak się o tym dowiem. A poza tym popołudnie spędzone w towarzystwie uroczej blondynki zapowiadało się o wiele przyjemniej niż męcząca nasiadówka z ludźmi, którzy mówili w niezrozumiałym dla mnie języku. Z zapałem przyjąłem propozycję.

Pomysł Imricha najwyraźniej ucieszył również Daniele, ale chyba tylko z powodu nadarzającej się okazji, aby jak najszybciej zniknąć. No cóż, nie można mieć wszystkiego. Miałem nadzieję, że moja obecność nie będzie dla niej bardziej uciążliwa niż towarzystwo krewnych.

* * *

Obawiałem się trochę, że Daniela pozostanie cicha i niedostępna, a ja będę włókł się za nią niczym kula u nogi. Kiedy jednak zaczęliśmy rozmawiać, zrobiło się całkiem miło. Dziewczyna mówiła całkiem dobrze po słowacku, ale jej duński akcent był o wiele silniejszy niż u Tamary.

Tylko od czasu do czasu zaciniała się, szukając odpowiedniego słowa.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli pójdziemy pieszo? - zapytała nagle. - To tylko trzy kilometry.

- Oczywiście, że nie - zapewniłem. - Jeszcze nie miałem okazji przyjrzeć się okolicy. A dokąd idziemy?

- Do Świątyni - odparła tonem tak naturalnym, jakby chodziło o jakąś lokalną atrakcję. Uznałem, że pewnie ma na myśli kościółek podobny do tych, które widziałem z pociągu.

Przeszliśmy przez mieniący się jesiennymi kolorami ogród. Wzdłuż ścieżki stały drewniane słupy i belki służące jako podpora dla różnych gatunków pnączy. Potem minęliśmy żelazną furtkę w murowanym ogrodzeniu. Wtedy zobaczyłem wydeptaną dróżkę wiodącą przez rozległe łąki, która powoli wspinała się na niewielkie wzgórze. W powietrzu wyczułem zapach morza i usłyszałem dochodzący z oddali odgłos przyływu.

- Hm... Więc to ty jesteś tym odważnym rycerzem, który uratował Tamarze życie? - zagadnęła Daniela.

Roześmiałem się.

- Do tej pory postrzegałem siebie jako faceta, który znalazł się w niewłaściwym czasie na

niewłaściwym miejscu. Ale twoje określenie brzmi o wiele lepiej.

- No... Streściłam tych parę zdań, które powiedział nam o tobie stryjek. Jeśli jesteś w nastroju, hm..., żeby zapoznać mnie ze szczegółami, chętnie posłucham. Już nie pamiętam, kiedy po raz ostatni rozmawiałam z kimś, kto osobiście spotkał się z moją siostrą.

- Tamara chyba już od dłuższego czasu nie była w Danii?

- Nie była - kiwnęła głową dziewczyna - a poza tym ostatnio... ostatnio mijałyśmy się.

- W ciągu tych pięciu szalonych dni, podczas których miałem okazję trochę ją poznać, zauważyłem, że jest permanentnie zajęta. Czasem ludzie zatracają się w nawale obowiązków.

Blondyneczka westchnęła ze smutkiem i odwróciła wzrok w stronę niedalekiej miedzy.

Dalsze komentarze zostawiłem dla siebie i w kilku zdaniach opowiedziałem, kim jestem, gdzie pracuję, w jaki sposób doszło do mojego spotkania z Tamarą, ile przysporzyłem jej kłopotów i w jakich okolicznościach się rozstaliśmy. Robiłem, co mogłem, aby nie wyjść z roli bohatera, w jakiej obsadziła mnie Daniela. I po raz pierwszy sam zauważyłem, że nie ma sensu użalać się nad swoim losem.

- To musi być straszne - powiedziała ze współczuciem dziewczyna. - Zdajesz sobie sprawę, że za parę dni może być po tobie i żyjesz, hm..., tylko nadzieją. W dodatku jesteś skazany na pomoc innych, a sam nic nie możesz zrobić.

- Staram się odganiać czarne myśli - odparłem z uśmiechem. Przypomniałem sobie tę rozmowę sprzed dwóch dni, gdy Tamara, widząc, jak popadam w depresję, odgrażała się, że mnie zastrzeli. - To wszystko, co mogę na razie zrobić dla dobra sprawy. Twój stryj powiedział mi, że niedługo wiele się zmieni. Wierzę mu.

- Nawet Imrich nie wie, co będzie jutro - Daniela spojrzała pod nogi - ale ma niezwykłą zdolność... jakby to powiedzieć... wyczuwania zwiastunów zbliżających się wydarzeń. Jego przeczucia często się sprawdzają. - Przeskoczyła wydeptany przez bydło strumyczek i wytarła w kępkę trawy podeszwę lewego półbuta. - Hm, oby i tym razem miał rację!

W duchu czułem, że jej prośba dotyczy nie tylko mojej przyszłości.

* * *

Przed nami pojawiło się niskie urwisko, o które uderzały fale przypływu.

Wzgórze stało na skraju szerokiej zatoki, której drugi brzeg niknął gdzieś w dali. Na szczycie wzniesienia lśnił białą okrągły budynek z wypukłym dachem. W niczym nie przypominał kościoła.

- Czy to Świątynia? - zapytałem zdziwiony.

- Tak - kiwnęła głową Daniela. - Mhm... Kazał wybudować ją prapradziadek zmarłego męża cioteczki. Jeszcze zanim zbudowali sam dworek znajdujący się na dole przy drodze. To miejsce ma bogatą historię. W, hm..., *hedenks...* czasach pogańskich służyło wikingom jako świątynia. W jaskiniach znaleziono pozostałości po rytualnych obrzędach z epoki kamiennej. Dzisiaj my zarządzamy wzgórzem.

- Zarządzacie?

- Oczywiście. Świątynia ciągle pełni swoją funkcję. Jest miejscem, w którym kontaktujemy się z siłami natury i utrzymujemy stosunki ze światem astralnym. Tak jak od wieków czynią to mieszkańcy tej ziemi.

- Uf, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem... Już raz pytałem o to Tamarę, ale ona zdecydowanie zaprzeczyła jakimkolwiek związkom Wtajemniczonych z religią albo sektą. Jakoś mi to nie pasuje do tego, co teraz widzę.

- Nic dziwnego - uśmiechnęła się Daniela. - W takim razie muszę trochę zmienić twoje poglądy.

I zaczęła wykład niczym pan Imrich:

- *Fort det frste...* po pierwsze, ani ja, ani żadna kapłanka Świątyni nie należymy do elity Stowarzyszenia. Mój stopień wtajemniczenia jest bardzo niski. Nie jestem, hm..., czarownicą tak jak moja siostra. Potrafię dostrzegać świat astralny i kontaktować się z nim, ale nie umiem nim manipulować. Dobrowolnie wybrałam taką drogę. Nigdy nie chciałam władać nadprzyrodzonymi siłami i za pomocą magicznych zdolności mieszać się w życie ludzi lub żywiołaków. Jeśli mam być szczerą, nie rozumiem, co widzi w tym reszta mojej rodziny. Po drugie, nie chodzi o religię w ścisłym znaczeniu tego słowa. Obrzędy, które wykonują kapłanki Świątyni i, hm..., ich motywacja nie są oparte na wierze. Nie musimy wierzyć w istoty, którym składamy ofiary. *Begribe?*

Kiwnąłem głową, że rozumiem.

- Po prostu wiemy - ciągnęła - że istnieją i że pojawiły się tu dawno przed nami. Władają tą zatoką i nazywały ją swoim domem, tak samo jak my dzisiaj. Staramy się je rozumieć i pomagać im. A czasem one nam. Na pewno spotkałeś się z greckimi nazwami patronek wód. W śródziemnomorskiej mitologii były to najady, oceanidy, nereidy. Na północy nazywamy je niksami. Od wieków morze stanowiło największe bogactwo i było najważniejszym żywicielem mieszkańców dzisiejszej Danii. Dlatego one, będąc ucieleśnieniem wodnego żywiołu, ze wszystkich tutejszych istot astralnych zasłużyły sobie na największy szacunek. Dbają o brzegi, rzeki i jeziora. Potrafią uciszyć sztorm, napęlić rybakom sieci, uratować tonących ludzi, wskazywać statkom drogę. Naprawdę warto... być z nimi w dobrych

stosunkach. Dla mnie ma to o wiele większe znaczenie, niż jakieś wielkie intrygi lub czary. Lubię to, co robię...

Pomyślałem sobie, że to brzmi całkiem interesująco. Nie zdążyłem zobaczyć rzeźby Małej Syrenki w Kopenhadze, ale może dzięki znajomości z kapłanką zobaczę ją na żywo. A takiej szansy, o ile wiem, nie dostał nawet Andersen.

* * *

Wzniesienie nazywało się patetycznie: Nissebjerg. Nieprzyzwyczajeni do nierówności w terenie Duńczycy najwyraźniej ponadawali piękne nazwy każdemu kopcowi kreta, w który zaryli butem. U nas na taki „Nissebjerg” miejscowi mówiliby co najwyżej „pagórek wedle drogi”, póki nie rozjeździłyby go traktory.

Z otaczającego Świątynię tarasu rozciągał się jednak piękny widok na morze. Wysokie fale rozbijały się o skały, szumiąc i wypełniając powietrze miliardami słonych kropelek. Jako rodowity Słowak nie byłem przyzwyczajony do morza ani do tego, że słońce znajduje się tak nisko nad horyzontem. Nadawało falom złocistego blasku i wręcz oślepiało. Potem weszliśmy do Świątyni.

Zewnętrzną fasadę budynku tworzyła secesyjna szklarnia - biała konstrukcja z kutego, zdobionego ornamentami metalu podtrzymująca ogromne szklane płyty. W środku rosły dziesiątki gatunków egzotycznych drzew wznoszących się aż do szczytu kopuły. Za gęstą siecią gałązek zobaczyłem sześciokątną nawę Świątyni. Bezsprzecznie liczyła sobie o wiele więcej lat niż szklarnia. Na brzegach nawy znajdowało się kilka mniejszych komnat oddzielonych zasłonami lub wąskimi ściankami. Pośrodku drewnianej podłogi czerniał szeroki na dobrych dziesięć metrów okrągły szyb wydrążony w skale. W głąb urwiska prowadziły kręcone schody. Zeszliśmy po nich na szeroki taras wiszący tuż pod sufitem ogromnej kawerny. W hollywoodzkich horrorach byłby z pewnością miejscem krwawych rytuałów.

Jednak nie skojarzył mi się z ostatnim snem. Ogarnęło mnie uczucie podobne do tego na szczycie Balwankewu - szacunek do majestatu i świętości. Dziwne drzenie jak po przekroczeniu progu gotyckiego kościoła. Podziw dla kamiennych słupów i ogromnego łukowego sklepienia. Poczucie obecności sił przekraczających granice zwykłej rzeczywistości. Poczucie bliskości intensywnej, magicznej sfery otaczającej niewidzialne drzwi do innego świata...

Zeszliśmy po stopniach na dno grotu. Było sztucznie wyrównane i wybrukowane, a na

jego środku zobaczyłem nieruchome jezioro nawodnione zapewne przez podziemny strumień. Brzegi łączył drewniany mostek - wąski na obu krańcach, ale rozszerzający się pośrodku. Daniela ruszyła na jego drugą stronę, a ja za nią.

Nigdzie nie dostrzegłem przełącznika światła ani niczego mającego związek z elektrycznością. Na ścianach wisiały tylko stare, zakurzone lampiony i latarnie, a niedaleko nich parę glinianych naczyń i dwanaście obrzędowych płaszczy. Powietrze było nasiąknięte ostrym dymem unoszącym się z kadzideł i wonnych świec. Rozpoznałem zapach, który wczoraj poczułem od Imricha. Stłumiony dźwięk uderzających o skały fal wytwarzał zwielokrotnione echo.

Nie od razu dostrzegłem samotną dziewczynę odzianą w zielone szaty. Siedziała na sienniku skryta w cieniu grotu. Daniela o coś ją zapytała, ale drobne stworzonko zamiast odpowiedzi tylko przecząco kiwnęło głową i ze smutkiem opuściło wzrok. Moja towarzyszka tylko westchnęła, z głową w dłoniach oparła się o poręcz i utkwiała wzrok w ciemnej toni jeziora.

- To tu przychodzą nikszy? - szepnąłem. Dziewczyna obróciła się. Przez chwilę patrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem, jakbym był przezroczysty.

- Masz ochotę na herbatę? - zapytała, tłumiąc smutek.

* * *

- Jeszcze niedawno jezioro było pełne morskich nimf - odpowiedziała na moje pytanie Daniela, gdy wyszliśmy z powrotem na taras na brzegu urwiska.

Pomogłem jej przesunąć stojący z brzegu tarasu stół i usiedliśmy na białych krzesłach. Kapłanka przyniosła nam imbryk z herbatą.

- Pojawiały się o świcie i po zmroku - dodała Daniela. - Każdego dnia. Do zeszłego piątku.

- Do zeszłego piątku? - zdziwiłem się. - Coś się stało?

Dziewczyna posłodziła herbatę.

- Nimfy pierwszy raz od wielu lat nie odwiedziły Świątyni. Nie pojawiły się ani rano, ani wieczorem. Jedna z kapłanek tuż przed zmrokiem z tego właśnie tarasu zauważyła, jak kilka z nich pływa chaotycznie koło urwiska, ale żadna astralna istota nie weszła do jaskini. Zaniepokoiłyśmy się, jednak nie na tyle, by nie uznać tego za, hm..., tymczasową sytuację. Niestety w sobotę nikszy... - urwała jakby z przerażeniem - nikszy nie pojawiły się nawet w okolicznych wodach. Bały się zbliżyć do Świątyni. Same wyczułyśmy coś destrukcyjnego...

coś obcego w powietrzu, zwłaszcza na dole, we wnętrzu kawerny. Ale kapłanki mają ograniczone zdolności, więc nie byliśmy w stanie stwierdzić, co się właściwie stało.

- Dziwne. Naprawdę to był pierwszy taki przypadek?

- Mhm. Nikt z nas nie pamięta, żeby w przeciągu stu lat zdarzyło się coś podobnego.

- Co zrobiłyście?

- Poprosiłyśmy o pomoc stryja - kontynuowała, bezskutecznie próbując poprawić zburzoną wiatrem fryzurę. - Imrich zaraz po przyjsciu do Świątyni wyczuł proste, ale silne zaklęcie broniące dostępu do świętego miejsca wszystkim rodzajom żywołaków. Zagadka została rozwiązana, jednak odkrycie stryja trochę nas zaskoczyło i zaniepokoiło. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał: Świątynia jest idealnie chroniona. Kapłanki stoją na straży we dnie i w nocy. Istnieje mała szansa, żeby ktoś obcy niepostrzeżenie zakradł się do środka. Mimo to nasza łączność z astralnym światem prawie została przerwana. Stryjkowi nie sprawiło problemu usunięcie zaklęcia i bardzo szybko je, hm... załatwił? *Endoy?* Złamał!

Wszystkie zadawałyśmy sobie pytanie, kto, jak i dlaczego zrobił coś takiego. Przeszukałyśmy każdy zakątek Świątyni. Przeczesałyśmy całą okolicę, ale nie znalazłyśmy żadnego śladu, który pomógłby nam znaleźć odpowiedź. Imrich na pewien czas wycofał się ze śledztwa, wrócił do swej posiadłości, a my w napięciu oczekiwałyśmy na zmierzch i przyjscie nimf. Jednak one znów się nie pojawiły...

Daniela zrobiła krótką przerwę. Złożyła ręce na kolanach i przez chwilę w zadumie obserwowała swoje paznokcie.

- Gdy wczoraj wieczorem stryj wrócił, zupełnie nas zaszokował. Powiedział, że zaklęcie znowu działa. Kiedy odszedł, ani na minutę nie opuściłyśmy kawerny. Przez cały czas przynajmniej trzy kapłanki stały na straży. Tym razem... tym razem już naprawdę nikt nie mógłby przemknąć się niepostrzeżenie i ponownie rzucić zaklęcia. Sytuacja stała się poważna. To, co się wydarzyło, nie było złośliwym dowcipem. Stryjek przyszedł jeszcze raz strasznie zdenerwowany, wygonił nas na górę do komnat przy wejściu, a sam całą noc spędził w kawernie. Szukał jakiegoś artefaktu albo innego źródła magii, które podtrzymało działanie zaklęcia. Chyba nawet przeszukał dno jeziora. Ale nic nie znalazł. *Ikke noget!* Zupełnie nic. Przed opuszczeniem Świątyni bez przekonania zlikwidował zaklęcie tym samym sposobem, co poprzednio, i postanowił przez parę godzin odpocząć.

- Ale znów się nie udało? Daniela przytaknęła ze smutkiem.

- Dziś o świcie niksy znowu nie przyszły. Ale na razie nie mamy co liczyć na pomoc stryja, skoro od czasu rodzinnej narady myśli tylko o Azizie Kazhegeldinie. Zostałyśmy my i ten nieznanany wróg.

* * *

Nie wiem, czy bardziej było mi żal starodawnego i nieszkodliwego kultu, czy faktu, że straciłem szansę zobaczenia rzadko pokazujących się istot. Szczególnie, że wcale nie pragnęły ludzkiej krwi i nie wykorzystywały swych magicznych zdolności do wyrachowanego handlu ze śmiertelnikami. Żyły z nami w harmonii, jak od zarania dziejów.

Postanowiłem, że spróbuję pocieszyć Daniele. Wykorzystałem to, że była w nastroju do zwierzeń i zęcnie wciągnąłem ją w niezobowiązującą rozmowę o jej życiu. Zdradziła mi, że studiowała etnologię i że zrobiła doktorat. Według niej, najbogatszym źródłem informacji o nadprzyrodzonych istotach są mity, pieśni ludowe i bajki. Jak stwierdziła: „Nie dorównują im nawet tajne akta Watykanu”. Gdy zaczęła opowiadać o literaturze ludowej, jej twarz od razu się rozjaśniła. A ja przytakiwałem, podpytywałem dyskretnie, nie mąciłem wręcz dziecięcej radości Daniela własnym sceptycyzmem. Bo choćbym nie wiem jak wysilił pamięć, w żadnych słowackich przyśpiewkach, które słyszałem na weselach, wiejskich zabawach albo od moich dziadków, nie znajdowałem nic magicznego. Tylko gloryfikowanie alkoholu, mnóstwo wulgaryzmów i aluzji do seksu. Ale w końcu nie byłem specjalistą...

Od opowieści ludowych przeszliśmy do Andersena i braci Grimm, a od nich do Karla Jaromira Erbena i Pavla Dobšinského - równie maniakałnych zbieraczy bajek, tyle że czeskich i słowackich. Na chwilę cofnąłem się myślą do czasów szkolnych czytanek. Tym razem słuchołem ich uszami Daniela i muszę przyznać, że brzmiały zupełnie inaczej. Południca i wodnik stali się żywsi niż przedtem. Chłopczyk o imieniu Psotnik, który doprowadził młode małżeństwo do biedy, po spotkaniu z Bludem, Biesem i Harašilową, wydał mi się o wiele groźniejszy. Czarna Dama obiecująca bogactwo biednemu kowalowi, automatycznie skojarzyła mi się z Pikulikiem.

Daniela od czasów emigracji tylko raz odwiedziła ojczyznę - parę lat po „aksamitnej rewolucji” spędziła krótki urlop w Tatrach. Ale i tak zagięła mnie wiedzą o przeszłości naszego małutkiego narodu.

* * *

Nie pamiętam, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o siostrze Daniela. I nie wiem już, kto pierwszy wypowiedział jej imię. W każdym razie to nie było najszcześliwsze posunięcie.

- Boję się o Tamarę - powiedziała dziewczyna, tak samo jak jej stryj poprzedniego

wieczoru. Twarz Daniela momentalnie spochmurniała. - Jest nieznośnie uparta. Nigdy nie słucha niczyich rad. Od dzieciństwa nie uznaje żadnych autorytetów. Tak było w szkole, potem w pracy, tak samo jest w rodzinie. Rzuca się z jednego niebezpieczeństwa w drugie i nie pozwala sobie pomóc.

- Za to wierzy w siebie jak mało kto - próbowałem rozwiązać obawy dziewczyny. - Jest narwana, ale wie, co robi, i uważa na siebie.

Daniela pokręciła głową.

- Jest różnica między wiarą we własne siły a przecenianiem swoich zdolności. Podróż do południowych Niemiec na własną rękę w poszukiwaniu Aziza?! Nawet treser nie wsadza ręki do paszczy lwa. Zgadzam się, jest inteligentna i ma, hm..., ogromne doświadczenie. Ale istnieje pewna granica, za którą po prostu nie można liczyć na łut szczęścia.

W milczeniu spojrzałem na morze i po raz pierwszy zrozumiałem powagę sytuacji, w której znalazła się Tamara. Zrobiła na mnie wrażenie niepokonanej i samodzielnej. W to, że mogłaby zginąć, nie potrafiłem uwierzyć. Miała charyzmę i zapał szaleńca - cechy, którymi potrafiła hipnotyzować. Ale nawet bohaterowie mitów i legend czasem ponoszą klęski i giną...

Obydwoje na długi czas pograżyliśmy się we własnych niewesołych myślach.

Nad naszymi głowami płaczliwie skrzeczały mewy. Spod tarasu dochodziło rozpaczliwe wołanie fal, które desperacko rozbijały się o urwisko. Nawet słońce zasłonił welon burzliwych chmur. Gdy radość opuści serce człowieka, znika ona również z otaczającego go świata.

* * *

Słońce wyjrzało dopiero pod koniec dnia. Na chwilę zawisło tuż nad linią horyzontu i pokryło czerwienią powierzchnię morza oraz chmury. Ostatnie promienie odbiły się od kamiennych i metalowych płyt tarasu, przynosząc złudne poczucie ciepła i spokoju.

Wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Był niczym eksplozja, która w jednej chwili wypełniła mnie świeżą dawką energii. Pochyliłem się w kierunku Daniela i drżąc na całym ciele, złapałem ją za rękę.

- To tylko impuls, ale może... może... Dziewczyna nagle wyprostowała się i ze zdziwieniem spojrzała mi prosto w oczy.

- Co się stało? - zaczerpnęła powietrza.

- Może umiałbym ci pomóc w sprawie zaklęcia w Świątyni - powiedziałem pełen zapału.

- Co prawda nie należę do Wtajemniczonych i ani za grosz nie rozumiem magii, ale ja też posiadam pewne zdolności. Otrzymałem je razem z klątwą i do tej pory traktowałem jako przekleństwo. Wiesz, co to jest psychometria?

- Wiem - przytaknęła Daniela, a w jej oczach zapłonęła iskra zrozumienia.

- Jeżeli... jeżeli nie byłoby to niezgodne z zasadami - kontynuowałem, rozpaczliwie gestykułując rękami - zaprowadź mnie na dół do jaskini i pozwól mi trochę się rozejrzeć. Tylko parę minut, tuż po zmroku. Wtedy zazwyczaj mam wizje. Może coś bym zauważył. Coś, co zostało przeoczone. Nie mam na myśli nic konkretnego i nie zakładam, że mi się uda, ale kto wie... W końcu to los postawił mnie na drodze pewnej panny Bernáthowej. - Wyczarowałem piękny uśmiech.

Daniela wciąż była poważna.

- Wiem, ile cię to kosztowało! - pokręciła głową i złożyła ręce na kolanach. - Jaskinia jest bardzo stara, na pewno skrywa potężne... Naprawdę jesteś na to gotowy?

- Nie powinno mi bardziej zaszkodzić niż do tej pory - odparłem stanowczo. - Jeszcze tego nie próbowałem, ale teoretycznie istnieje szansa, że mógłbym jakoś kontrolować napływające z zewnątrz bodźce. Jakoś przefiltrować... Z doświadczenia wiem, że im są świeższe tym bardziej intensywne. A skoro walczymy przeciwko ciemnym mocom... - wzdrygnąłem się na myśl o tym co przeżyłem w łóżku samobójcy. Szybko odpędziłem wątpliwości i postanowiłem więcej o tym nie myśleć. - W każdym razie warto spróbować.

Dziewczyna z pochmurną miną zapatrzyła się w dal.

- Naprawdę, dobrze to przemyślałeś? Nie zostawiasz mi zbyt wiele czasu na decyzję.

* * *

Usadowiłem się w przytulnym miejscu pod ścianą kawerny. Paroma wyćwiczonymi ruchami rozluźniłem napięte mięśnie dłoni. Kilka głębokich oddechów uspokoiło przyspieszone bicie serca. Potem zamknąłem oczy. Wyciągnąłem swój nowy miedziany medalion i mocno ścisnąłem go w dłoniach.

Po paru minutach w mojej głowie pojawił się szum. Był niewyraźny, inny niż cichy szmer jeziora lub echo uderzających o urwisko fal.

Nadszedł czas próby.

Zdrętwiałem. Musiałem na nowo pozbierać resztki odwagi, która na tarasie wydawała mi się tak oczywista.

Ostrożnie zacząłem rozluźniać uścisk lewej ręki. Powoli, po jednym palcu. Szum był

coraz bardziej intensywny. Położyłem dłoń na kolanie i skoncentrowałem się na prawej pięści. Mały palec... serdeczny...

Do diabła! Przyspieszyło! Poczulem zawrót głowy. Zakołysałem się i obiema rękami mocno chwyciłem medalion. Zmysły posłusznie uspokoiły się, a świat odzyskał utraconą równowagę.

Od początku! Wdech. Wydech. Koncentracja...

Starałem się oddychać równo i najwolniej, jak potrafiłem. Dużo wysiłku kosztowało mnie utrzymanie wszystkiego pod kontrolą. Miedzianą monetę cały czas trzymałem między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki. Szum zmienił się w jasne, zrozumiałe dźwięki, które zazwyczaj towarzyszyły napadom, gdy jeszcze nie miałem magicznego amuletu. Teraz moje ciało nie odczuwało żadnego dyskomfortu.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Półmrok w kawernie wyraźnie zgęstniał. Wszystkie przedmioty wyglądały jak odbicia w krzywym zwierciadle. Powoli wstałem.

Natychmiast dopadły mnie zawroty głowy. I mdłości.

Dopiero gdy zamknąłem oczy, poczułem się lepiej. W końcu mogłem zrobić kilka kroków. Jedną ręką opierałem się o chropowatą ścianę, a drugą mocno zaciskałem medalion. Powoli przemierzałem nasiąknięte dymem kadzideł pomieszczenie, ostrożnie stąpając po kołyszącej się podłodze.

Kakofonia głosów w mojej głowie była bardziej szalona niż zazwyczaj. Ale nie pozwoliłem, żeby opanowała mi umysł, cały czas wyobrażałem sobie, że mam niewidzialną rękę, która ją delikatnie odsuwa. Szukałem czegoś, co nie pasowało do reszty. Czegoś, co brzmiało niczym fałszywy ton.

Nie było to łatwe. Kawernę wypełniało mnóstwo ludzkich głosów. Nie rozumiałem języka, w którym mówiły, ale odgadłem znaczenie większości lamentów, próśb i modlitw. Kobiety błagały o powrót mężów i synów. Kłaniały się przed duchami morza. Zaklinały je, by oddały ciała żeglarzy, skoro i tak postanowiły odebrać im życie. Za pomoc i miłosierdzie ofiarowywały wszystko, co tylko pozostało. Głębokie męskie głosy śpiewały rytualne pieśni. Ich ręce zapalały święty ogień i przelewały krew, prosząc nadprzyrodzone siły o opiekę dla siebie i bliskich. Wołali o pobłogosławienie swojego nędznego życia, ludzi, łodzi i broni.

Krok za krokiem szedłem dookoła jeziora i nasłuchiwałem w skupieniu.

Nagle dłoń, którą przesuwałem po ścianie, natrafiła na coś miękkiego i delikatnego. Kawałek materiału. Mocno zacisnąłem go w dłoni i...

Świat zawirował mi przed oczami.

* * *

Błysk i ciemności.

Ból i strach.

Ogłuszający hałas.

Przeżona dziewczęca twarz. Wołanie o pomoc.

Silne ręce zdzierające ubranie. Dłonie mocno zaciskające nadgarstki.

Dwóch odzianych w czerń mężczyzn. Na twarzach maski, w oczach rozbawienie i żądza.

Obrzydzenie. Drażniący smród potu i alkoholu.

Wstręt. Histeryczny śmiech, sapanie.

Ból.

Bezradność i poniżenie.

Krew na ścianach...

I to jeszcze nie koniec...

* * *

Ona. Jasne włosy, zielone oczy i małe, jędrne piersi.

Jest naga i związana. Przed sobą widzi rozżarzone żelazo płonące w ciemności niczym pochodnia.

Następny krzyk.

Dym i smród. Odór spalonej ludzkiej skóry.

Łzy. Na piersiach wypalony czarny znak.

Szloch.

Krwawy trójkąt opisany na okręgu, w środku siedem gwiazd tworzących klepsydrę.

Cztery w jej rogach, a trzy ułożone w jednej linii.

Zbeczeszczenie. Gwałt.

Wieczna otchłań.

I to ciągle jeszcze nie koniec...

* * *

Słowa. Błuźniercze słowa.

Ostry męski głos recytujący magiczną formułę. Ona płacze, ale musi ją powtarzać.

- *Clatu verata nictu!* Jeszcze raz:

- *Clatu verata nictu!* Na okrągło:

- *Clatu verata nictu, clatu verata nictu, clatu verata nictu!*...

Musi dobrze ją zapamiętać. Nie wolno jej zapomnieć! Musi spełnić rozkaz.

Inaczej wydarzy się coś złego...

* * *

Cisza.

* * *

Gdy otworzyłem oczy, wszystkie dźwięki i obrazy zniknęły. Siedziałem na podłodze kawerny oparty plecami o ścianę. W ręce ścisnąłem jeden z jedwabnych zielonych płaszczy, które wisiały na drewnianych wieszakach tuż nad moją głową. Naprzeciwko przykucnęła Daniela i chusteczką wycierała mi krew z górnej wargi. Przy jezioru stało kilka kapłanek. Przyglądały mi się ze strachem.

Wziąłem do ręki chustkę i dałem znak, że wszystko jest w porządku.

- Nie zaszkodziło ci to za bardzo? - szepnęła Daniela drżącym głosem.

- Nie.

- A... a znalazłeś coś?

- Chyba tak - kiwnąłem głową i podałem jej płaszcz.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Do kogo należy? - zapytałem. Daniela obróciła się do kapłanek.

- Do Pernill - odpowiedziała któraś.

- Do Pernill, jednej z dziewcząt - powtórzyła Daniela.

- Jest tu? - prześliznąłem się wzrokiem po ich twarzach.

- Nie - pokręciła głową. Westchnąłem.

- Biedaczka. Po tym, co zobaczyłem, będziecie mieć do niej mnóstwo pytań.

* * *

języka za zębami.

W pewnym sensie skróciłem jej cierpienie...

Blade i przerażone twarze obecnych potwierdziły moje przypuszczenia. Daniela pierwsza podeszła do Pernilli, podniosła ją z ziemi i pomogła zaprowadzić do jednej z komnat. Jej surowy wyraz twarzy zniknął już na dobre. Znowu była tą delikatną kobietą, która kieruje się przede wszystkim sercem.

Podczas przesłuchania nie udało się ustalić, kim byli gwałciciele, ale dzięki szczegółom, które stryj i cioteczka wyciągnęli z kapłanki, byli niemal pewni, z kim mają do czynienia. Trop wiódł do pewnej grupy ludzi z okultystycznego półświatka w Koszycach.

Imrich opuścił Świątynię z bojowym wyrazem twarzy. Nikt nie ruszył się z miejsca, dopóki nie ucichło w oddali energiczne stukanie jego laski i nie zniknęło w ciemności tłące się cygaro.

* * *

Cioteczka Jytte zajęła się likwidacją zaklęcia. Cała istota egzorcyzmu sprowadzała się do paru niezrozumiałych zdań i pstryknięcia palcami. W filmach, które oglądałem, wszystkie czarodziejские i nadprzyrodzone działania były bezsensownie wyolbrzymiane potworną ilością efektów specjalnych. Tymczasem siły, które naprawdę kierują światem, okazały się potężne, lecz mało spektakularne.

Na morskie wily musieliśmy czekać aż do północy. Nie wiedziałem, czy kapłanki pozwolą mi obserwować obrzędy, nikt nie miał też pewności, czy niksy wrócą, a jeśli tak, to czy nie pojawią się dopiero rano. Ale Daniela z uśmiechem wskazała mi miejsce na tarasie nad jeziorkiem, a za piętnaście dwunasta przyplłynęło parę astralnych patronek. Kilka razy wesoło obróciły się w wodzie, pomachały ogonami i zniknęły w głębinie. Z daleka zauważyłem tylko rozmyte sylwetki zanurzone w ciemnej toni.

Choć była to tak krótka wizyta, radość, jaką widziałem na twarzach wracających po schodach kapłanek, graniczyła z euforią. Jak u dziecka, które po trzygodzinnym błądzeniu po wielopiętrowym supermarkecie w końcu znalazło rodziców. Raz na zawsze dotarło do mnie, że nie wszystko, co dziwne, musi być z gruntu złe.

A w tym samym czasie...

Mrok spowijał rozległy teren ogrodzony drutem kolczastym i liczne przybudówki otaczające luksusową willę. Cicho cykały nocne świerszcze. W oknach głównego budynku ciągle paliło się światło. Tak samo wczoraj, jak w każdą noc przez ostatnie cztery lata. W

domu złego czarnoksiężnika nigdy nie zapadał mrok.

W pokoju na piętrze zadzwonił starodawny telefon ze złotą słuchawką. Prywatna linia z zastrzeżonym numerem, który znało tylko kilka osób na świecie.

Właściciel domu z rozczarowaniem chwycił za włosy małą prostytutkę, która właśnie miała zrobić mu lodę i brutalnie odepchnął ją na bok. Zapiął spodnie, na nagi tors zarzucił aksamitny szlafrok, udał się do pracowni, zamknął za sobą drzwi i odebrał telefon.

- Aziz Kazhegeldin? - odezwał się w słuchawce czyjś głos.

- Kto mówi? - zapytał po niemiecku czarnoksiężnik.

- Gorynych.

- Gorynych - powtórzył właściciel domu. Usiadł w fotelu, zapalił marlboro i przeszedł na rosyjski. - Coś nie tak?

- Sprawy trochę się skomplikowały. Nie dałem rady spełnić pańskiego polecenia.

- To źle, Gorynych. Nie jestem zadowolony.

- To nie moja wina, *gospodin* Kazhegeldin. Panna Bernáthowa już trzy dni znajduje się poza Słowacją. Wynajął mnie pan zbyt późno. Minęliśmy się. Jestem jednak gotów dalej ją śledzić. Tylko zanim podejmiemy jakieś kroki, chciałbym je z panem dokładnie omówić.

- Słucham.

- Panna Bernáthowa kazała zarezerwować dwa bilety lotnicze na piątek rano z Koszyc do Stuttgartu i dwa na sobotę ze Stuttgartu do Kopenhagi. Jeden dla siebie, a drugi dla tego... no... Dawida Abela. Wykorzystała tylko dwa pierwsze, a pozostałe przepadły. Nie wiem dlaczego. Mogę tylko się domyślać, gdzie jest teraz nasza przyjaciółka. Zapewne w *Giermanii*. A jeśli tak, to ma ją pan w zasięgu ręki. Mogła także przedostać się na północ, tak jak na początku planowała. Nie wykluczam, że w sobotę po prostu spóźniła się na samolot. *Szto dumajet'e?* Zakładam, że pan wie lepiej, co ona teraz zamierza zrobić. Jak już mówiłem, jestem gotów z rana wyruszyć jej śladem. Ale nie jestem pewien dokąd.

Aziz zamyślił się na chwilę. Przytrzymał w płucach dym z papierosa, po czym powoli wypuścił go przez nos.

- Zostańcie w Koszycach, Gorynych - powiedział zdecydowanym głosem. - Nigdzie się stamtąd nie ruszajcie. Tu was nie potrzebuję, a w Danii też mam swoich ludzi. Zanim odnowimy umowę, muszę sobie coś przemyśleć. Czekać na dalsze rozkazy. Niedługo się odezwę.

- *Charaszo* - odparł Gorynych, ale słyhać było, że nie jest zadowolony.

Twarz Aziza poczerwieniała ze złości. Zanim jego rozmówca zdążył cokolwiek dodać, czarnoksiężnik odłożył słuchawkę. Potem wstał i otworzył drzwi prowadzące do holu. Dwóch

ochroniarzy opartych o poręcz schodów w mgnieniu oka wyprostowało się w oczekiwaniu kolejnych rozkazów.

- Ta kurwa Bernáthowa jest w Niemczech - warknął Aziz. - Prawdopodobnie węszy w okolicy! Weźcie jeszcze pięciu ze sobą i przynieście mi tu jej głowę. Marsz!

Uzbrojeni ochroniarze radośnie wyszczerzyli spiczaste zęby i kiwnęli głowami. Wreszcie się zabawią! Przez ostatnie dni prawie umierali z nudów.

Aziz odprowadził ich wzrokiem aż do drzwi wejściowych. Dopiero potem zobaczył, że drżą mu ręce, a popiół z trzęsącego się papierosa spada na drogi perski dywan. Ze złością ścisnął marlboro w dłoni.

- Najwyższy czas na dalsze środki bezpieczeństwa - wymamrotał do siebie.

Wrócił do pracowni. Wyjął z kieszeni mały mosiężny kluczyk, otworzył szufladę w starodawnym dębowym stole i wyjął z niej listę z kilkoma numerami telefonów. Ponownie sięgnął po słuchawkę.

SPIS TREŚCI

Prolog - Stało się na początku.....	3
Część I - Dawid.....	9
Dzień pierwszy - poniedziałek 11.09.....	15
Dzień drugi - wtorek 12.09.....	24
Dzień trzeci - środa 13.09.....	39
Dzień czwarty - czwartek 14.09.....	71
Dzień piąty - piątek 15.09.....	99
Dzień szósty - sobota 16.09.....	116
Dzień siódmy - niedziela 17.09.....	134